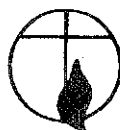


przegląd powszechny

9/889/95

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI - Warszawa

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ, ks. Ignacy Bokwa, ks. Waldemar Chrostowski,
Grzegorz Dobroczyński SJ, Aniela Dylus, Kazimierz Dziewanowski,
Michał Jagiełło, Piotr Jasiński SJ, ks. Helmut Juros, Jan Kieniewicz,
Andrzej Koprowski SJ, Wacław Oszańca SJ, Ryszard Otowicz SJ,
Krzysztof Renik, Wojciech Roszkowski, Adriana Szymańska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Jacek Bołewski SJ (red. naczelny)
Zbigniew Kubacki SJ
Maria M. Matusiak

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

OPRACOWANIE TECHNICZNE

Joanna Kwiatkowska

„PRZEGLĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 211
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-78

PRENUMERATA

roczna 27,50 zł (275 000 zł)
za II półrocze 12,50 zł (125 000 zł)
cena egzemplarza 2,50 zł – (25 000 zł)

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

*Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.*

H+H
Drukarnia Ogólna
PRZEGŁĄD POWSZECHNY
spółka cywilna
ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa, tel. 48-91-31, 48-09-78

Numer zamknięto 18 VIII 1995 r.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów nie zamówionych
i zmiany tytułów. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy.

Spis treści

Nasza przyszłość 153

Polska polityka zagraniczna – drogi do wyboru 155

22 III 1995 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja poświęcona kształtowaniu stosunków zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w pokomunistycznej i jednoczącej się Europie. W rozmowie, którą prowadził Kazimierz Dziewanowski (w l. 1990-1993 ambasador RP w USA), uczestniczyli: Krzysztof Bobiński („Financial Times”), ks. Waldemar Chrostowski (ATK), Maciej Kozłowski (MSZ, Departament Ameryki Północnej i Południowej), Wojciech Roszkowski (Instytut Studiów Politycznych PAN) i Ernest Skalski („Gazeta Wyborcza”).

Andrzej Olechowski **Szanse Polski w Europie 173**

Czy Polska jest politycznie gotowa włączyć się w proces integracji europejskiej? Czy Europa jest politycznie gotowa do przyjęcia Polski? Na pierwsze pytanie można odpowiedzieć twierdząco, jeśli się weźmie pod uwagę zaawansowanie reform gospodarczych oraz politycznych, choć wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Odpowiedź na drugie pytanie jest negatywna: nie określono kolejności przystępowania nowych państw do Unii, brakuje grup nacisku, które zabiegałyby o rozszerzenie, niektóre kraje traktują rozszerzenie tylko jako okazję do uzyskania koncesji w interesujących je dziedzinach.

Leon Brodowski **Aktywna polityka wschodnia kluczem do integracji Polski z Zachodem 185**

Polska winna zmierzać w kierunku integracji z Zachodem, tworząc szeroką wspólnotę państw Europy Środkowo-Wschodniej i prowadząc dialog z demokratami rosyjskimi, kierując się przy tym zasadą jedności w różnorodności.

ks. Wolfgang Beinert **Gdzie dwóch się kłóci O odzyskiwaniu zgody 193**

Kościół jest Kościołem dialogu, czyli wspólnotą potrzebującą komunikowania. Ukazuje wiarę i wyjaśnia jej prawdy nie wyłącznie przez działanie władzy lub dyskusje, ale także przez ducha prawdy i miłości. Teologia chrześcijańska określa Ducha Świętego jako osobową komunikację między Bogiem Ojcem i Jego Synem.

*Vincent J. Duminuco SJ***Wychowanie chrześcijańskie
u progu nowego tysiąclecia**

205

Wychowanie chrześcijańskie nie zmierza jedynie do przekazywania informacji i przygotowania zawodowego. Ostatecznym celem formacji jest pełny rozwój osoby, prowadzący do takiego życia, które – wzorem Jezusa – jest nastawione na działanie na rzecz bliźniego.

*Grażyna Straus**Katarzyna Wolff***Piśmienność Polaków w epoce mediów**

214

Wielopostaciowość współczesnej kultury i równoprawność różnych jej odmian nie zwalnia od wartościowania także w obrębie każdej z nich. Tylko w ten sposób można uniknąć deprecjonowania kultury masowej i pełniej zrozumieć istotę jej żywotności.

*Anna Pawełczyńska***Ludobójstwo w systemach totalitarnych –
Europa XX wieku**

222

Masowość zbrodni ludobójstwa popełnianych w XX w. powoduje, że trudno ustalić nawet liczbę ofiar. Sposób uczestnictwa w tych zbrodniach uniemożliwia wskazanie morderców, zróżnicowanie ich winy i wymierzenie kary.

*Benno Müller-Hill***Genetyka a masowe morderstwa Żydów i innych**

233

To, co zdarzyło się w Niemczech, gdzie genetyka stała się inspiracją ludobójstwa, było wynikiem stopienia nauki i ideologii. Dzisiaj pozostawienie genetyki siłom wolnego rynku może doprowadzić do masowego piętnowania ludzi, którzy mają genotypy „nieodpowiednie” z punktu widzenia np. firm ubezpieczeniowych.

*Peter W. Breslin SJ***Bioetyczne rozważania nad projektem „genom ludzki”**

243

Projekt „genom ludzki” ma na celu zlokalizowanie oraz określenie struktur i funkcji genów, a także – ewentualnie – sekwencji całego genomu człowieka. Możliwość postępu w leczeniu chorób genetycznych uzasadnia prace nad tym projektem. Należy jednak wystrzegać się redukcjonizmu genetycznego, który prowadzi do dyskryminacji.

Sztuka

K. Paluch Staszkiel: Próby odpowiedzi 251

(Wystawa „Gdzie jest brat twój, Abel?“, Galeria Sztuki Współczesnej Zachęta w Warszawie, maj 1995 r.)

Teatr

J. Godlewska: Stuhr panem Jourdain 253

(Teatr Ludowy w Nowej Hucie, Teatr TV, „Mieszczanin szlachcicem” Moliera, reżyseria – Jerzy Stuhr)

Film

A. Pietrzak: Wspomnienia z Łagowa 255

(Lubuskie Lato Filmowe 1995)

Książki

A. Szymańska: Palimpsest 257

(Roman Bąk, „Świt. Wiersze, szkice, przekłady”)

M. Orski: Między naturą a kulturą 260

(Tadeusz Różewicz, „Opowiadania”)

M. Horoszewicz: Bierność USA wobec Szoah 263

(David S. Wyman, „Pozostawieni swemu losowi. Ameryka wobec Holocaustu 1941-1945”)

Informacje o nowościach wydawniczych 266

Z życia Kościoła 267

Sommaire

L'avenir qui est nôtre 153

La politique étrangère de la Pologne – les options au choix 155

Un débat sur le devenir des relations extérieures de la République de Pologne dans une Europe postcommuniste en voie vers l'unité s'est déroulé le 22 mars 1995 à la rédaction de „Przegląd Powszechny”. Animé par M. Kazimierz Dziewanowski (ambassadeur de la Pologne aux USA de 1990 à 1993), ce débat a réuni autour de la table ronde MM Krzysztof Bobiński („Financial Times”), l'abbé Waldemar Chrostowski (Académie de Théologie Catholique), Maciej Kozłowski (Ministère des Affaires Étrangères, Département des Amériques du Nord et du Sud), Wojciech Roszkowski (Institut des Études Politiques de l'Académie Polonaise des Sciences) et Ernest Skalski („Gazeta Wyborcza”).

Andrzej Olechowski

Les chances de la Pologne en Europe 173

Les interrogations que pose l'ancien ministre polonais des affaires étrangères sont les suivantes: la Pologne est-elle prête à s'associer au processus d'intégration européenne? L'Europe est-elle politiquement prête à admettre la Pologne en son sein? A la première de ces interrogations, l'on peut répondre par l'affirmative, à prendre en considération l'avancement des réformes, encore qu'il reste toujours bien des choses à faire sur ce chapitre. A la seconde, la réponse est négative, l'ordre chronologique d'adhésion de nouveaux États à l'Union n'ayant pas été défini, les groupes de pression propres à militer pour son extension faisant toujours défaut, et d'autre part certains pays considèrent l'extension de l'Union uniquement comme prétexte à des concessions ponctuelles dans les secteurs de leur intérêt.

Leon Brodowski

Une active politique à l'Est – clef de l'intégration de la Pologne avec l'Occident 185

La Pologne doit tendre vers une intégration avec l'Occident, en oeuvrant à la promotion d'une vaste communauté des États du centre-est européen et en menant un dialogue avec les démocrates russes. Ce faisant elle doit faire sien le principe de l'unité dans la diversité.

*abbé Wolfgang Beinert***Un troisième larron...****Se remettre à la concorde**

193

L'Église est une Église du dialogue, soit une communauté ayant besoin de communiquer. Elle fait découvrir la foi et en explique les articles sur une voie qui n'est pas uniquement celle de l'autorité ou du débat, mais celle aussi de l'esprit de la vérité et de la charité. La théologie chrétienne définit le Saint-Esprit comme une communication personnelle entre le Père et le Fils.

*Vincent J. Duminuco SJ***L'éducation chrétienne au seuil d'un nouveau millénaire**

205

L'éducation chrétienne vise à quelque chose de plus que l'information et la formation professionnelle. La formation a pour vraie finalité le plein épanouissement de la personne vers une vie qui – à l'exemple de Jésus – est orientée sur l'action en faveur du prochain.

*Grażyna Straus**Katarzyna Wolff***Les Polonais et la communication par écrit à l'époque des media**

214

Le caractère multiforme de la culture d'aujourd'hui et la légitimité égale de ses différentes variétés ne dispensent pas des jugements de valeur à porter sur chacune d'elles. C'est une telle approche qui permet d'éviter une mésestime de la culture de masse, et mieux comprendre l'essence de sa vitalité.

*Anna Pawełczyńska***Le génocide dans les systèmes totalitaires – l'Europe du XX^e siècle**

222

Le caractère massif des crimes du génocide perpétrés au XX^e siècle rend difficile rien que le dénombrement des victimes. Et la façon de tremper dans ces crimes rend dans plus d'un cas impossible l'identification des assassins, la différenciation de leur fautes et, par conséquent, du chatiment.

*Benno Müller-Hill***Génétique et extermination massive des Juifs et des autres**

233

Ce qui était arrivé en Allemagne où la génétique servit d'inspiration au génocide, résulta d'une sorte de fusion de la science avec l'idéologie. De nos jours,

laisser la génétique au libre jeu des facteurs du marché, risque d'aboutir à une stigmatisation massive des individus au code génétique „malpropre” du point de vue, par exemple, des compagnies d'assurances.

Peter W. Breslin SJ

**Considérations bioéthiques sur le projet
„le Génome humain”**

243

Le projet „le Génome humain” a pour objet la localisation et la définition des structures et des fonctions des gènes, et aussi – éventuellement – la description de la séquence de tout le génome humain. Ce qui justifie les travaux en vue de ce projet, c'est la possibilité d'un progrès dans le traitement des maladies génétiques. Il importe toutefois de se garder d'un réductionnisme génétique qui conduit à la discrimination.

Comptes rendus

251



Nasza przyszłość

Jaka nas czeka przyszłość? Prosta, potoczna odpowiedź: Bóg jeden wie – nie jest pełna. Należy bowiem dodać, że Jego wiedza nie ma charakteru statycznego, niezmiennego, ale jest zarazem poddana tajemniczej zmienności – uzależnionej od wolności. Czy „przewiduje” On wszystko, co człowiek może zdziałać w swojej wybieranej własnowolnie, „wybiórczej” grzeszności? Tych ciemnych elementów w ludziach dotyczą ostre słowa Jezusa – samego Boga: *Nigdy was nie znałem* (Mt 7,23). Jednak istotniejsza jest wiedza Jego miłości. W jej świetle Bóg wie wszystko – wie, że stworzenie w całej swej zawodności kryje w swej największej głębi obraz Jego miłości. Jest to wiedza, do której można się odwołać słowami św. Piotra: *Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że cię kocham* (J 21,17).

W naszej refleksji o przyszłości – zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i społecznym – przeważają na co dzień inne pytania. Ważną rolę odgrywa w nich perspektywa ekonomiczno-polityczna. Istotnie, zwłaszcza w dziedzinie politycznej wiele spraw pozostaje otwartych. Są to kwestie dotyczące miejsca, jakie Polska zajmuje na skrzyżowaniu Zachodu i Wschodu. Więcej mówią o tym dyskusyjne głosy w niniejszym zeszycie „PP”. Ale nasza przyszłość zależy jeszcze bardziej od odpowiedzi na inne wyzwanie. Kryje się ono w powtarzanym często zdaniu A. Malraux: *Wiek XXI będzie wiekiem ducha, albo nie będzie go wcale*. Inne wersje tego powiedzenia w miejsce *ducha* wstawiają *religię*, może dlatego, że faktycznie daje się zauważyć nowe zainteresowanie różnymi religiami. Znak nowego wieku? Zjawisko nie jest jednoznaczne. Świadczy z pewnością o duchowej próżni, pozostawionej przez upadłe ideologie świata nowożytnego. Ale jakiego rodzaju są duchy, które usiłują wypełnić opróżnioną przestrzeń ludzkiego serca? Pytanie jest uzasadnione także w świetle Ewangelii (por. Mt 12,43 nn.). Czy nowe duchy postmodernizmu są lepsze od demonów wykreowanych w nowożytnych naukach przyrodniczych (związanych np. z nazwiskami Laplace’a czy Maxwella)?

Także w mnożących się religiach działają duchy co najmniej podejrzone. Dlatego potrzebne jest cierpliwe, rozważne *rozeznawanie duchów*, by pośród ich wielości otworzyć się na jednego Ducha – Świętego. To właśnie otwarcie się na Niego miał na myśli wielki teolog Karl Rahner, kiedy sprecyzował przytoczone maksymy w słowach: *Chrześcijanin przyszłości będzie mistykiem albo nie będzie go wcale*.

Tak, przyszłość zależy od jakości naszego chrześcijaństwa. Nie wystarczy się pocieszać, że „jakoś” to będzie. W chrześcijańskim pojmowaniu przyszłości ważne jest rozróżnienie, które przypomniał J. Moltmann („Bóg w stworzeniu”, Kraków 1995, s. 240 n.). Chodzi o dwa znaczenia, których wyrazem są łacińskie pojęcia: „futurum” (to, co będzie) i „adventus” (to, co przychodzi). Oba znaczenia rozdzieliły się niejako w europejskich językach, gdzie dochodzi do głosu albo pierwsze (np. w ang. „future”), albo drugie (w niem. „Zukunft” i w pol. „przyszłość”). Przyszłość w pierwszym sensie wiąże się z bezosobowym czasem przyrody, natomiast w drugim dochodzi do głosu chrześcijańskie oczekiwanie Tego, *Który jest, i Który był, i Który przychodzi* (Ap 1,4). Wiele zależy od tego, w jakiej mierze otworzymy się na to ostatnie – na przyszłość jako przychodzenie Boga. Jakość naszego otwarcia na Jego przyjście zadecyduje istotnie o naszej przyszłości.

Spróbujmy to skonkretyzować. W naszej polskiej sytuacji ciągle jest aktualne pytanie o miejsce religii, przede wszystkim chrześcijaństwa, w dokonującym się przejściu systemowym. Nie ulega wątpliwości, że polski katolicyzm w swej zorganizowanej, kościelnej postaci, należał do najważniejszych elementów przejścia. Dlatego również w przyszłości może i powinien odegrać ważną rolę. Ale w nim samym musi się dokonać przejście, w którym „publiczna” strona kościelnej organizacji – ruchów i akcji – znajdzie dopełnienie w sferze „prywatnej” – osobiście przeżywanej duchowości chrześcijańskiej. Jedynie wówczas nasze przejście będzie pełne i będzie niosło lepszą przyszłość – przyjście Boga.

J.B.

Polska polityka zagraniczna – drogi do wyboru

22 III 1995 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja poświęcona kształtowaniu stosunków zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w pokomunistycznej i jednoczącej się Europie. W rozmowie, którą prowadził Kazimierz Dziewanowski (w l. 1990–1993 ambasador RP w USA), uczestniczyli: Krzysztof Bobiński („Financial Times”), ks. Waldemar Chrostowski (Akademia Teologii Katolickiej), Maciej Kozłowski (MSZ, Departament Ameryki Północnej i Południowej), Wojciech Roszkowski (Instytut Studiów Politycznych PAN) i Ernest Skalski („Gazeta Wyborcza”).

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Dziękuję wszystkim obecnym, że się stawili na tę rozmowę mimo nawału zajęć. „Przegląd Powszechny” jest pismem, które działa trochę na zasadzie Ducha Świętego, tzn. trudno je dojrzeć w kioskach, a mimo to od lat wywiera duży wpływ na życie umysłowe kraju. Ta dyskusja również może się stać przedmiotem szerszej debaty, bowiem ma dotyczyć naszych najważniejszych dzisiaj problemów narodowych. Chodzi o przedstawienie i przedyskutowanie dróg, które przed nami stoją – dróg do wyboru.

Wiadomo, że w Polsce przynajmniej od 200–250 lat istniało kilka głównych orientacji politycznych. Przede wszystkim rosyjska i niemiecka. Istniały też dwie inne: zachodnia i neutralna, inaczej nazywana dążnością do polegania na własnych siłach. Od czasu do czasu pojawiały się też pewne efemerydy, jak koncepcja Polski federalnej czy międzymorza – jakiegoś kworum, które budowałoby bezpieczeństwo regionu na zasadzie współpracy z najbliższymi sąsiadami. Wydaje się, że te orientacje funkcjonują w kraju także dzisiaj. Jednak sytuacja europejska i geopolityczna Polski zmieniła się w tak dramatyczny sposób, że nabierają one innego sensu. Można by dziś mówić o orientacji niemieckiej, która jest zarazem zachodnią, albo

o zachodniej, która jest zarazem niemiecką. Orientacja rosyjska jest dzisiaj czymś innym niż dawniej. Sprawę podmorszą lansuje właściwie jedna partia, która na dodatek nigdy nie zdefiniowała tej swojej opcji. Sprawa neutralności pojawia się niekiedy nawet w niektórych stronnictwach sejmowych, też jednak nikt nie wytłumaczył, jak by to miało funkcjonować i w jaki sposób zapewniać Polsce bezpieczeństwo. Pojawia się i szósta koncepcja, wyłożona bardzo jeszcze ogólnie przez prof. Antoniego Kamińskiego. Miałaby to być polityka z jednej strony prozachodnia, zmierzająca do włączenia nas w instytucje europejskie i atlantyckie, a z drugiej strony polegająca na znacznie ściślejszej współpracy z Ukrainą, Białorusią i krajami bałtyckimi, nawet za cenę większego niż dotąd narażenia się Rosji. Kwestia naszego stosunku do Rosji i jej do nas to kolejny temat wart zastanowienia. Nie chciałbym narzucać oceny tych różnych orientacji, natomiast proszę obecnych, żeby przedstawili swoje poglądy na ich temat. Według sondaży 60–70% społeczeństwa opowiada się dziś za orientacją zwaną umownie zachodnio-atlantyczną.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Wydaje mi się, że sprawa jest znacznie dramatyczniejsza, tzn. że wybór, przed którym stoimy, dotyczy nie tylko bezpieczeństwa Polski, ale także całej naszej przyszłości, naszego miejsca w światowej cywilizacji. To jest wybór, który się narodom zdarza może raz na tysiąc lat, a może rzadziej. Na ogół ci, którzy takie wybory podejmują, nie do końca zdają sobie sprawę z ich skutków. Przypuszczam, że gdy się Mieszko zastanawiał, czy się ożenić z Dąbrówką, czy nie, to nie zdawał sobie sprawy z długofalowych konsekwencji tego małżeństwa. Mógł się nie ożenić, mógł bronić tradycyjnych wartości pogańskich, mógł się ożenić z jakąś księżniczką ruską i mielibyśmy tu teraz prawosławie. Zaryzykuję twierdzenie, że obecnie stoimy przed podobnym wyborem. Historia dała nam moment, w którym sami możemy zdecydować, czy się zwiążemy z tzw. cywilizacją zachodnią ze wszystkimi tego plusami i minusami, czy nie. Jeśli tak, to nasz los będzie zależał od losów tej cywilizacji. Jeśli nie, to może nastąpić sytuacja, której ja się najbardziej obawiam, mianowicie wessania w rodzaj

czarnej dziury cywilizacyjnej. Nie boję się o bezpieczeństwo Polski. Patrząc realnie, nie Polsce nie grozi w najbliższej dającej się przewidzieć przyszłości.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Czy jest możliwe określenie jakiegoś terminu?

MACIEJ KOZŁOWSKI: Myślę, że dająca się przewidzieć przyszłość to ta, którą możemy ekstrapolować z obecnej sytuacji, mimo że w historii zawsze jest coś nieprzewidywalnego: a to Amerykę odkrywają, a to Tatarzy najadają, i historia, która się toczyła pewnym określonym torem, raptem z niego zbacza. Jeżeli ekstrapolować z obecnej sytuacji, nie sądzę, żeby w ciągu najbliższego pokolenia jakiegokolwiek kraj, z którym graniczymy, stał się dla Polski zagrożeniem. Natomiast pozostaje pytanie, jak się będziemy rozwijać cywilizacyjnie. Istnieje prawdopodobieństwo – choć wolalbym, aby ten scenariusz się nie spełnił – że na Wschodzie będzie się pogłębiała zapaść cywilizacyjna, rodzaj skorumpowanego półkapitalizmu, który kiedyś nazywano latynoamerykańskim: przewrót wojskowy, hiperinflacja, próba reform, następny przewrót itd. To właśnie może nastąpić na Wschodzie: coraz mniejsze zainteresowanie świata, coraz mniej inwestorów, słabnący handel, coraz większa izolacja Rosji, może nie polityczna, ale praktyczna. Takie sytuacje mają tendencję do wciągania sąsiadów. Chociaż nie będzie to się odbywało z piątku na sobotę. Dalej się będzie mówiło o NATO, o Unii Europejskiej, tylko nikt nie będzie traktował tego poważnie. Będzie natomiast wiadomo, że inwestorzy się wycofują, rośnie przestępczość, pojawiają się tendencje autorytarne, istnieją powiązania ze Wschodem. Coraz więcej będzie głosów, że nie mamy czego szukać na Zachodzie, bo Zachód nas zdradził po raz kolejny, a nasza przyszłość leży na Wschodzie, tam mamy misję cywilizacyjną itd. Takie głosy już dzisiaj słychać. I w ten sposób będziemy się powoli zbliżać do owej czarnej dziury. Oczywiście nie musi tak być, ale istnieje takie niebezpieczeństwo dla Polski. Jediną obroną jest wejście w struktury zachodnie, które nas niejako naturalnie oddzielią od tego niebezpieczeństwa. Widać to na przykładzie Białorusi i krajów nad-

bałtyckich. Kraje nadbałtyckie dużym wysiłkiem zerwały kontakty ze Wschodem i w tej chwili mają stabilną walutę, stabilne rządy i kierują się na Zachód. Białoruś tego nie zrobiła i jest tam, gdzie jest.

ERNEST SKALSKI: Wydaje mi się, że Pan ma rację, tylko cokolwiek dramatyzuje sytuację. Rzeczywistość nie jest aż tak dramatyczna, tzn. nasz wybór nie jest typu albo-albo, ponieważ pewien wybór został dokonany przez historię obok nas, poza nami. Nasz wybór, czy też wypadkowa – bo tych wyborów będzie więcej – będzie nas sytuował troszkę wyżej, lub mocno wyżej, bądź na dobrej pozycji. Natomiast nie przewiduję zjazdu w dół. Oczywiście, ten Wschód nas ściąga, ale poza Białorusią też idzie stopniowo do góry, tylko że wolniej. W Rosji też zachodzą zmiany cywilizacyjne; kapitalizm jest tam dziki, zmieszany z socjalistycznym czy zgoła jeszcze bizantyjskim biurokracizmem, ale to jest na pewno lepsze od rzeczywistości sowieckiej. Jeszcze półtora roku temu Ukraina była w fatalnej sytuacji. Tymczasem, kiedy pod koniec 1993 r. pojechałem z Kijowa do Moskwy, miałem wrażenie, że trafiłem do Paryża, bo Kijów był wtedy zupełnie martwy. Z tego, co wiem, na Ukrainie też jest wola polityczna, żeby się wyrwać z tej martwoty. Być może Zachód będzie inwestował u nas jeszcze wolniej, ale tak zupełnie o nas nie zapomną. Położenie geograficzne Polski powodowało, że nie omijały nas wielkie armie wędrujące ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, ale to położenie również sprawia, że handel będzie się bardziej opłacał przez Polskę niż naokoło, przez Karpaty. Musimy też uwzględnić zmiany, które zaszły w Polsce w ciągu tych kilku lat. Groźbą natomiast jest nasza inercja. Największym hamulcem w drodze na Zachód jesteśmy my sami: inercja, lenistwo, strach. To są bardzo przyziemne, drobne sprawy, ale mają ogromne znaczenie. Żeby mieć kontakty z Zachodem, trzeba znać angielski, mieć wyczyszczone buty i wstawione zęby, podczas gdy na Wschodzie czujemy się swojsko. Te teoretyczne drugorzędne kwestie w gruncie rzeczy kierują ludźmi. Znam wielu przedsiębiorców, jak najbardziej kapitalistycznych, którzy wolą inwestować w Rosji czy Iraku, bo się tam lepiej czują.

Wydaje mi się, że to jest do przezwyciężenia, pozostaje tylko kwestia, jak długo to będzie trwało.

Co znaczy „dająca się przewidzieć przyszłość”? W tej chwili historia działa z wyprzedzeniem, żadna wojna nie zaczyna się nagle, bez uprzednich napięć, które pozwalają ją przewidzieć. ZSRR upadł dość nagle, ale przewidywaliśmy to, tylko lokowaliśmy upadek w dalszej przyszłości. Teraz nie jesteśmy w stanie przewidzieć żadnej zmiany, nie mówiąc o ulokowaniu jej w czasie.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Czy jest możliwa taka pomyłka: w tej chwili oceniamy, że w Rosji jest smuta i zapanuje długotrwały chaos, a tymczasem okaże się, że w ciągu paru lat pojawi się tam jakaś ideologia, jakaś grupa rządząca, która po prostu poprowadzi Rosję znowu ku potęgze imperialnej?

ERNEST SKALSKI: Chyba nie. Po pierwsze, potęga imperialna wymaga pewnej mocy materialnej, a po drugie tego typu polityka wymaga również legitymacji. Taką legitymację miał Piotr I, a mimo to musiał pokonywać niesłychane opory, bunt, zanim z Rosji zrobił ekspansywne mocarstwo. Tę legitymację miał Stalin, ale ją utracił.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Czy rzeczywiście musimy dokonywać wyboru? Czy Polski nie stać na prowadzenie polityki zagranicznej, która ma aspekt zachodni i aspekt wschodni? Oczywiście, nie można wykluczyć potencjalnych zagrożeń militarnych czy owej czarnej dziury, ale moim zdaniem nie są one aż tak groźne. Ważne jest, jak Zachód nas postrzega jako partnera, czy jesteśmy dostatecznie atrakcyjni, w jaki sposób możemy zwiększać naszą atrakcyjność. Odcinanie się od Wschodu, od Rosji, wcale nam nie pomoże w marszu na Zachód. Widzę tu wyraźne sprzężenie zwrotne i zbyt gwałtowny ruch na jedną stronę łódki może ją rozkołysać. Zasadniczym pytaniem jest, czy stać nas na harmonizowanie, czy nie jesteśmy skazani na wybór ze względu na dokonujący się już jakiś podział świata i Europy. Jeżeli tak, to moje pytanie jest nieaktualne, ale wcale nie jestem pewien, że to się już dokonuje. Może jest jeszcze czas na takie działa-

nie, jakie nawet umocniłoby nasze przedpole na Wschodzie. Wróciłbym do koncepcji prof. Kamińskiego. Mówimy tu, że Wschód nas obciąża i trzeba się raczej zwrócić na Zachód i nie dać się wciągnąć. Tymczasem prof. Kamiński prezentuje optymistyczną wizję: że jeszcze nie jest tak źle, że rozmawiając o drodze na Zachód, możemy jednocześnie utwardzać przedpole na Wschodzie, tak żeby jakiś nasz gwałtowny ruch i ruch NATO nie spowodował gwałtownego ruchu Rosji. Nie jestem przekonany, że koniecznie musimy szybko dokonać wyboru drogi. Myślę, że możemy ostrożnie i skutecznie kontynuować i politykę wschodnią, i zachodnią, żeby umacniać pozycję strategiczną Polski.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Chciałbym wyostrzyć sprawę, żeby była jaśniejsza. Trochę inaczej rozumiem to, co napisał prof. Kamiński; nie kwestionuję pewnej racjonalności: byłaby to sytuacja idealna, gdybyśmy potrafili uzyskać nasze cele na Zachodzie i jednocześnie umocnić pozycję na Wschodzie. Nie możemy jednak się zgodzić, żeby Rosji udało się substytuować weto ukraińskie i białoruskie za swoje. Rosja próbuje tego i ma sukcesy, bo w pewnej chwili oba kraje wystąpiły przeciwko naszym aspiracjom. Jednak minister spraw zagranicznych Udo-
wenko wyrażał się u nas na ten temat ogromnie delikatnie, i słusznie, bo nie widać żadnego powodu, dla którego Ukraina miałaby się czuć bezpieczniejsza, gdyby Polska była w szarej strefie. Później prezydent Kuczma poparł polskie stanowisko.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Ukraina powinna się czuć bezpieczniejsza z Polską w NATO.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: To, co Panowie powiedzieli, dałoby się sprowadzić do następującego wspólnego mianownika: mamy najważniejszy moment historyczny, możemy dokonać wyboru, od nas zależy przyszłość, a o jej kierunku przesądzi nasza mądrość, ewentualnie nasze wady rozstrzygną na naszą niekorzyść. Otóż ja się z tym nie zgadzam. Pan Roszkowski postawił pytanie, czy MUSIMY dokonać wyboru. Ja bym natomiast zapytał, czy my w ogóle MOŻEMY dokonać wyboru. Czy istotnie cokolwiek zależy od nas? Uważam, że w tym rejonie

świata i w obecnej sytuacji geopolitycznej nie możemy dokonać właściwie żadnego wyboru, podobnie jak to było po II wojnie światowej. Konsekwentnie to, co nastąpiło w 1989 r. i potem, to nie był wynik wyboru, ale swoistego przedstawienia torów: skoro musieliśmy odejść od opcji wschodniej, to w takiej czy innej formie pozostała nam opcja zachodnia. Wybór mielibyśmy wtedy, gdybyśmy byli dla Zachodu realnym, liczącym się partnerem, a takim z pewnością na obecnym etapie nie jesteśmy. Zachód, mając do wyboru Polskę lub Rosję, zawsze zdecydowanie stawia na Rosję. Nadzieje na to, że możemy w tej sprawie coś zmienić, wydają mi się bezzasadne, bo nie było historycznych precedensów, które by od tego wzorca odbiegały, a nie można zasadnie myśleć o przyszłości, pomijając to, co już się wydarzyło w naszych dziejach.

Sprawa następna: Panowie powiadają „dająca się przewidzieć przyszłość”. Myślę, że nie ma żadnej dającej się przewidzieć przyszłości. Pan Skalski stwierdził, że przewidzieliśmy upadek ZSRR, tylko na później. Znaczy to, że go nie przewidzieliśmy i dzisiaj też nie możemy przewidzieć, co się wydarzy za 2 czy 5 lat. Zatem odsuwanie wszelkich myśli o niebezpieczeństwie z zachodu i ze wschodu jest nierealistyczne. Nie tylko na wschodzie istnieją problemy. Zachód też je ma. Na przykład nastroje w Niemczech są bardzo zróżnicowane i ewoluują w kierunku, który jest nam mało przychylny.

Wreszcie kwestia najważniejsza. Kiedy mówimy o możliwościach integracji z Zachodem, to czy mówimy o integracji gospodarczej, a więc wejściu do Unii, czy też mówimy o integracji politycznej i militarnej, a więc o wejściu do NATO? Czy mówimy o jednym i o drugim? Oraz: czy to jest nierozdzielne? Myślę, że trzeba – wzięwszy pod uwagę realia – zastanowić się, czy możliwy jest jakiś jeden rodzaj integracji. I tak dochodzimy do pytania, czy nasz marsz na Zachód jest również marszem Zachodu ku nam. Integracja gospodarcza i polityczna nastąpi wtedy, gdy Zachód będzie miał w Polsce i z Polską konkretne interesy. Wobec tego musimy zapytać, co Zachód może osiągnąć dzięki politycznej, gospodarczej i militarnej integracji z Polską. Czy wybierze tę integrację kosztem pogorszenia stosunków z Rosją i czy ta integracja musi oznaczać pogorszenie stosunków z Rosją? Jeżeli tak, to nigdy nie wejdziemy ani do

NATO, ani do Unii. Wydaje mi się również, że wszystkie te pytania bardziej niż kiedykolwiek przestały być obecnie domeną polityków. Wprawdzie politycy roszczą sobie pretensje do rozstrzygania najrozmaitszych kwestii, tak jak to było w XIV, XVI, XVIII w., ale dzisiaj muszą uwzględnić radykalnie odmienne realia społeczne: zupełnie nowy obieg informacji, a także nową świadomość ludzi, nawet najprostszych. Tymczasem w ciągu ostatnich 5 lat nie odbyła się żadna publiczna dyskusja, w której społeczeństwo polskie zostałoby poinformowane o ewentualnych korzyściach integracji z Zachodem. Wszystko, co się pisze i mówi na ten temat, to jedynie niewiele znaczące ogólniki. Kiedy słyszę, że 60–70% społeczeństwa polskiego jest za wejściem do NATO, czy też ma orientację zachodnio-atlantyczną, to absolutnie nie wiem, skąd te szacunki się biorą. Moim zdaniem, gdyby rozpisano dzisiaj referendum, ta liczba nie sięgałaby 17, 20 czy 25%.

Konkluzja jest taka: do niedawna mieliśmy przymusowe związki ze Wschodem i nikt nas o zdanie nie pytał. Słyszeliśmy slogany, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Niestety, ta mentalność pozostała. Politycy przenieśli dawny sposób myślenia w czasy, które nazywają nowymi. Pan Skalski przeoczył fakt, że w Turcji czy Grecji znajomość angielskiego nie jest powszechna, ludzie nie mają wyczyszczonych butów ani wstawionych zębów, a przecież kraje te są w NATO. Problem nie polega na tym, że jeżeli sami o siebie zadbamy, to już wszystko będzie w porządku. To jest tylko jeden z wielu wątków. Na pewno trzeba o siebie zadbać, ale z tego jeszcze niewiele wynika. Nie powinniśmy nie dostrzegać ani bagatelizować faktu, że Zachód nas zdradzał i zdradza. Na przykład przez 40 lat nikt tam nie mówił o Katyniu, chociaż w Anglii i USA prawda była znana.

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: Mnie uderza to, że decyzja o wejściu do NATO czy do Unii Europejskiej została podjęta już parę lat temu i kompletnie bez dyskusji społecznej. Brakuje mi dyskusji na temat, czym jest obecnie nasz interes narodowy. Myślę, że nie można mówić o polityce zagranicznej, dopóki się nie określi, czym jest interes narodowy pod koniec XX w. Elity polityczne zakładają, że trzeba przystąpić do struktur europejskich,

pozostaje tylko kwestia, kiedy i jak Zachód przyjmie Polskę. Zgadnam się, że jeżeli będzie to przeszkadzać Zachodowi w stosunkach z Rosją, interes Polski zejdzie na drugi plan. Z drugiej strony sytuacja jest kompletnie niejasna, bo rozmawiamy w czasie, gdy w Europie trwa prawie średniowieczna wojna w Jugosławii, a z drugiej strony na Zachodzie Europy postępuje proces poniekąd likwidowania suwerenności państw, co budzi sprzeciw, np. w Anglii. Myślę, że w Europie będzie coraz mniej ważne, czy ktoś jest Belgiem, Francuzem, czy Niemcem, ale w Polsce są to sprawy, które trzeba dobrze przedyskutować. Trzeba się zastanowić, jak nasz interes narodowy ma wyglądać w następnym wieku.

ERNEST SKALSKI: W jednych sprawach możemy wybierać, w innych wybrano za nas i mamy na nie wpływ, ale ograniczony. Mieszko mógł bronić wartości pogańskich i wtedy byłoby z nami to samo co z Obodrytami: kiedyś ktoś by stwierdził, że byli jacyś Polanie, ale nie wiadomo, kto ich wymordował i dlaczego. Mógł się też ożenić z księżniczką ruską i wtedy miał wybór, ale już Masław nie miał wyboru. Zostaliśmy wciągnięci w pewien nurt historii, z którego już nie było wyjścia. Ja się z ks. Chrostowskim nie zgadzając, zgadzam o tyle, że my nie możemy wybrać opcji: Wschód czy Zachód, bo wydarzenia historyczne wybrały za nas, ale możemy wybierać, starając się o lepsze miejsce. Procesy integracyjne mają już obiektywny, cywilizacyjny charakter. Postępuje oczywiście proces utraty czy osłabienia suwerenności, ale kiedyś w Europie utraciła suwerenność Republika Wenecka, Genua, miasta hanzeatyckie. Na to nie ma sposobu, pozostaje natomiast kwestia, JAK my to przeprowadzimy. Znaleźliśmy się w takim miejscu Europy, w takim procesie, do którego możemy się albo dopasować i starać się zająć dobre miejsce, albo stawiać opór i wtedy będziemy nie tyle czarną dziurą, ile szarą strefą, z której przecież chcemy się wydostać.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Red. Bobiński powiedział, że potrzebna jest wielka dyskusja nad interesem narodowym Polski. Dla mnie, urodzonego w 1930 r., zasadniczym interesem narodowym jest to, żeby nie mógł się powtórzyć rok 1939. Jeżeli Polska nie wykorzysta zupełnie unikatowej szansy, jaką

w tej chwili ma na to, żeby się stać członkiem większego, bezpieczniejszego zespołu europejskiego państw, które nie boją się o swoją przyszłość, będzie to znaczyło, że przegrała swą historyczną szansę.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Ale czy ta szansa jest nam realnie oferowana?

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Nie, oczywiście, że nie. Byłoby niesłychaną naiwnością sądzić, że Zachód Europy, bezpieczny i nie zagrożony, będzie się wkiwał w jakieś spory na Wschodzie po to, żeby nam zrobić przyjemność. Ani Polska, ani Słowacja, ani kraje bałtyckie nie miałyby szans zintegrowania się z Zachodem, gdyby to był dar składany w uznaniu naszych zasług. Jeżeli w Ameryce toczy się dyskusja o rozszerzeniu NATO, to wynika ona wyłącznie z przyczyn wewnętrznych. Rzecz polega na tym, że jeżeli NATO pozostanie w nie zmienionym kształcie, nie przetrwa, bo wyschną mu źródła finansowania. Tam się rozważa, czy można po raz trzeci w XX w. dopuścić do upadku organizacji militarnej broniącej demokratycznych krajów Zachodu, czy można wykazać się taką krótkowzrocznością polityczną, żeby znowu powtórzyć to, co USA zrobiły w okresie kongresu wersalskiego i w 1945-1946 r. Wygląda na to, że w USA kształtuje się bardzo potężne lobby, obejmujące i republikanów, i demokratów, wspierane również z innych przyczyn przez znaczną część polityków i opinii w Niemczech, a także w innych krajach, które nie zapominają o doświadczeniach historii. To jest nasza szansa. Dlatego podejmowanie dyskusji na temat tego, co jest polskim interesem narodowym, wydaje mi się abstrahowaniem od historii. My dość dokładnie wiemy, co jest naszym interesem narodowym. Dwukrotnie widziałem, jak się paliło to miasto, w którym dzisiaj dyskutujemy.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Sprostuję dla porządku. Nigdy nie twierdziłem, że na Wschód od nas jest czarna dziura. Twierdziłem, że jest to potencjalne zagrożenie, bo rozmawiamy o potencjalnych zagrożeniach, nie o rzeczywistości. Wydaje mi się – tu muszę wrócić do swojej roli urzędnika państwowego i podyskutować trochę z ks. Chrostowskim – że to nie jest tak, że my nie

podejmujemy decyzji. Pracownicy państwa codziennie podejmują dziesiątki decyzji, które złożone w całość przesądzą, czy pójdziemy w tym kierunku, czy w innym. Weźmy najprostszy przykład: założmy, że mamy ofertę kupna samolotów bojowych F-16, Mirage i SU-29. Ktoś musi zdecydować, które kupimy, a ta decyzja pociąga za sobą następne, dotyczące szkolenia załóg, infrastruktury, części zamiennych, systemu rozpoznania swój-obcy itd., itd., itd.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Z tego rodzaju decyzji nie wynika kierunek naszej polityki. Odwrotnie – z kierunku polityki powinny wynikać decyzje zakupu samolotów od tych, a nie innych oferentów. W przeciwnym wypadku można obawiać się, że wybór oferty będzie zależał od tego, kto wręczy większą łapówkę. Nie obwiniam nikogo, ale takie niebezpieczeństwo na pewno istnieje. Te samoloty jedynie zmuszają do uzewnętrznienia pewnych opcji, które nie bardzo zależą od nas, bo gdybyśmy np. postanowili kupić samoloty od ZSRR, to usłyszymy jutro, że Departament Stanu USA ogłosił, że to opóźni nasze wejście do NATO.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Bo opóźni.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Nie opóźni! Opóźniłoby wtedy, gdybyśmy mieli określoną datę przystąpienia do NATO, a my nic nie mamy.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Muszę sprostować. Istnieje bardzo precyzyjny kalendarz rozszerzania NATO. Konkretnie do czerwca tego roku odbędzie się wewnętrzna dyskusja krajów NATO. Wszystkim krajom należącym do Partnerstwa dla Pokoju zostaną przedstawione dokumenty, każdy z krajów się do tego ustosunkuje. 1 grudnia odbędzie się zebranie ministrów krajów NATO. Po zapoznaniu się z wynikami dyskusji wewnętrznej krajów NATO i po dyskusji z krajami spoza Paktu zostaną podjęte decyzje co do czasu przyjęcia nowych członków. Wiadomo, że te decyzje nie zapadną przed wyborami prezydenckimi w Rosji, czyli przed jesienią 1996 r. To są fakty.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Ale jest ich bardzo mało i nic z nich nie wynika.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Wynika z nich bardzo dużo. Kiedy w 1990 r. w Waszyngtonie próbowaliśmy rozmawiać o NATO, nie podejmowano tematu. Natomiast teraz trwa poważna dyskusja nad formą i terminem przystąpienia Polski do Paktu. Nie jest też prawdą, że my w niej nie uczestniczymy. Jeżeli nie zrobimy wszystkiego co w naszej mocy, żeby sobie pomóc, to oczywiście sobie nie pomożemy. W USA uczestniczyłem w wielu dyskusjach publicznych, telewizyjnych itp. i pytano mnie jako przedstawiciela Polski, co Polacy sądzą o takiej poczekalni do NATO. Odpowiadałem, że jeśli chcę się ożenić z dziewczyną i oświadczam się, a ona proponuje, żebyśmy poszli najpierw do kina z jej kolegami, to cóż ja mówię? – „cudownie, idziemy”. Bo jeśli powiem „nie”, nie będę miał żadnych szans na to małżeństwo. Jest tu pewna analogia z naszymi staraniami o redukcję długów. W 1990 r. podczas wizyty premiera Mazowieckiego kwestię tę skwitowano wzruszeniem ramion. Jednak umiejętne zabiegi kilku kolejnych rządów zmieniły tę sytuację na naszą korzyść.

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: W sprawie redukcji długów kluczowe znaczenie miało stanowisko USA. Podejrzewam, że postanowiono w Waszyngtonie pomóc Polsce, ponieważ był potrzebny pozytywny przykład reformy gospodarczej. Trzeba było wesprzeć Balcerowicza, żeby pokazać innym krajom w tej części świata, że jeżeli się zrobi to, to i to, są nagrody i korzyści bardziej długoplanowe. Prawdopodobnie chodziło o oddziaływanie na Rosję czy kraje Europy Wschodniej.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Właśnie na tym polegają nasze starania o integrację z NATO, żeby przekonać naszych partnerów na Zachodzie, że wejście Polski do NATO, podobnie jak zredukowanie długu, leży w ich interesie.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Zredukowano nam długi nie z dobroci ani nie ze względu na nas, lecz po to, żeby otrzymać przynajmniej tyle, ile jest możliwe.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Jeśli nas przyjmą do NATO, to z tego samego powodu.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Ale naszą rolą jest być tą panienką chętną, tzn. zachowywać się w taki sposób, aby przyszłego konkurenta nie zrazić.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Poza tym trzeba uświadomić sobie i społeczeństwu, że nie ma nic za darmo. Trzeba podejmować temat interesu narodowego. Stale w naszym społeczeństwie pokutuje mniemanie, że bezpieczeństwo i niepodległość są nierozłączne. Być może jest tutaj alternatywa: albo więcej bezpieczeństwa, albo więcej niepodległości gospodarczej. Wyostrożam sprawę, ale może pewnymi elementami niepodległości czy suwerenności trzeba będzie zapłacić za większe bezpieczeństwo, żeby się wrzesień 1939 r. nie powtórzył. W społeczeństwie brakuje takiej świadomości. Mamy być piękni, bogaci, młodzi, bezpieczni i niepodlegli. Wszystko nam się należy, gdy natomiast Zachód nam tego nie daje, to nas zdradza. W 1939 r. ani Anglia, ani Francja nie wykonały zobowiązań sojuszniczych wobec Polski, natomiast w 1945 r. formalnie nikt nas nie zdradził.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Bo uczyniono to już wcześniej.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Jałta to jest inny temat. W Jałcie nikt nas wprost nie zdradził. Zachód zdradził swoje interesy. Często mam do czynienia ze studentami amerykańskimi. Mówię im, że w Polsce się czasami twierdzi, iż Zachód nas zdradził. Ideowo, dodając, to może słusznie się mówi, ale puentuję to następująco: Zachód w Jałcie zdradził przede wszystkim swoje interesy, bo przez 50 lat podatnicy amerykańscy musieli płacić na zbrojenia, bo zimna wojna z tego się wzięła.

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: Znakomicie rozkręciła gospodarkę.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Wszystko ma dwie strony, ale wydaje mi się, że taki argument jest przyjmowany. Oczywiście, że jest interes. Za nasz interes, nawet jeżeli jest to również interes Zachodu, być może będziemy musieli zapłacić, bo jesteśmy słabszym partnerem w rozgrywce.

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: Jaka jest pewność, że jeśli Polska zostanie przyjęta do NATO, to Zachód nas nie zdradzi? Powiedzmy, że wróg pojawia się w Białej Podlaskiej i kapitał NATO zastanawia się, czy rzucić tę bombę, czy nie.

ERNEST SKALSKI: Może wróg by się zastanowił, czy się pojawić w Białej Podlaskiej.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Dziesiątki razy się nad tym zastanawiałem. Myślę, że nie chodzi o to, czy Zachód by bronił Berlina, czy Szwecji, która nie była w NATO. Nikt nie podjął próby ataku, ponieważ jest to najpotężniejsza organizacja wojskowa na świecie.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Problem nie polega na tym czy, lecz jak się skutecznie starać o wejście do NATO i do Unii Europejskiej. Drugi problem to jak ten wybór uwiarygodnić wobec Zachodu oraz wobec prawie 40 mln Polaków. Sądzę, że istnieje w Polsce ogromna nieufność społeczna wobec tej perspektywy, a ponadto silny strach przed przyznaniem się, że taka nieufność istnieje.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Zgadzam się z Księdzem, że gdyby w Polsce zrobiono referendum, to nie wiadomo jak ono by wypadło. Problem polega na tym, że dane statystyczne są bezkrytyczne, ponieważ ankietowani nie zdają sobie sprawy, że za wszystko się płaci. Trzeba będzie przekonać społeczeństwo, dlaczego ten wybór jest taki, a nie inny, i dlaczego warto zapłacić tę cenę.

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Ale czy umiemy to zrobić, czy mamy argumenty i ludzi, którzy są gotowi to zrobić, czy jesteśmy przygotowani do tego ogromnego procesu psychologicznego i społecznego? Trzeba z jednej strony szukać integracji gospodarczej i handlowej, podróżować i przekonywać, lecz z drugiej strony należy też podjąć niezbędną robotę tutaj. Takiego wysiłku we własnym kraju nie widzę. Mówienie o naszych wadach, lenistwie, inercji itp. jest powszechne przede wszystkim wśród tych, którzy chcą wejść do NATO i do Unii, wykazując zadziwiającą inercję w przekonywaniu społeczeństwa do takiej opcji.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Rozmawialiśmy dotąd o jednej opcji w polityce zagranicznej. Czy z tego wynika, że pozostałe są nierealistyczne? Czy Panowie się zgadzają z wnioskiem, że nie mamy innego wyboru w polityce, czy też może mamy?

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: Wydaje mi się, że bez Rosji nie ma Europy, nie wyobrażam sobie dziejów Europy ostatnich 400 lat bez Rosji. Rosję zawsze trzeba brać pod uwagę. Z Tallina widać Rosję mimo wszystko i może ona tam wróci. Przestrzegalbym przed obrażaniem Rosjan. Można było dyskutować, czy Auschwitz może zostać wyzwolony przez Armię Czerwoną, ale niewątpliwie mordowanie w Auschwitz się skończyło, ponieważ Rosjanie weszli. Ten wątek był zamazany podczas uroczystości oświęcimskich. Uważam, że to był błąd. Trzeba mieć jakąś politykę wobec Rosji i trzeba uznać, że Rosja będzie.

ERNEST SKALSKI: Rzeczywiście, musimy mieć aktywną politykę wschodnią. Nie należy Rosji drażnić, odgrywać się na niej za przeszłe upokorzenia, trzeba mieć z nią jak najlepsze stosunki. Nie wolno jednak płacić Rosji naszą szansą na postęp w integracji z Zachodem, z Unią i NATO. Zakładamy, że mamy dużo czasu, ale tak naprawdę nie wiemy, ile tego czasu mamy, należałoby więc go wykorzystać jak najlepiej. Rosja prowadzi awanturniczą politykę, ale też tradycyjnie popełnia błędy w sztuce. Taki błąd to sposób rozegrania Czechenii, wojna w Afganistanie, wojna z Finlandią. W dużych zamierzeniach Rosja jest jednak ostrożna i podobnie jak za carów i za Stalina prowadzi raczej politykę szakala, tzn. jest zaborcza, ale wtedy, kiedy może to robić bezpiecznie. Z różnych względów Rosja nie życzy sobie naszego wejścia do NATO. My ją możemy przekonywać, że to nie jest sprzeczne z jej interesem, a być może nawet leży w jej interesie, z tym że Rosji musimy zostawić prawo określania, co jest jej interesem. Rosja liczy się z siłą. Jeśli będziemy w silnym ugrupowaniu, będziemy bezpieczniejsi. To jest priorytet, nawet jeśli trochę rozgniewamy Rosję. Rosja nie będzie się z nami liczyła, jeśli pozostaniemy poza NATO. Jeśli chodzi o Unię, to na naszym wejściu do Unii Rosja tylko skorzysta. Myśmy skorzystali, że zintegrowana

Europa jest już na Odrze, a nie dopiero na Łabie. Skorzystamy jeszcze bardziej, gdy będzie na Bugu, ale skorzysta na tym również Ukraina czy Białoruś. Przypuszczam, że tutaj Rosja nie ma obiekcji, bo zdaje sobie z tego sprawę.

MACIEJ KOZŁOWSKI: Czytam artykuły o tym, że powinniśmy się Rosji przeciwstawić, utworzyć przedstawicielstwo wolnej Czechenii, usunąć konsula Szardakowa itp. To są gesty moim zdaniem nierozsądne, współgrają z dążeniami Rosji do przedstawiania nas jako rusofobów, a to jest główny argument przeciwko naszemu wejściu do NATO. Musimy więc temu przeciwdziałać, pokazując, że pomyślność Rosji leży w naszym interesie. Przejście Unii na granicę Bugu będzie dla Rosji wielką szansą, tak jak dla nas jest korzystny handel przygraniczny nad Odrą, przynoszący 4 mld dol. rocznie.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Chciałbym zakończyć tę dyskusję pytaniem do wszystkich jej uczestników. Czy uważacie Pano-
wie, że Rosja będzie zdecydowanie cały czas stawiać weto wobec naszych dążeń integracyjnych, czy też stanie się to wcześniej czy później elementem jakiegoś wielkiego układu europejskiego, a może światowego?

MACIEJ KOZŁOWSKI: Moim zdaniem interes Zachodu polega na tym, żeby objąć nas strukturami bezpieczeństwa. Przede wszystkim biurokracja NATO-wska ma w tym interes. Jeżeli sytuacja w Rosji będzie się poprawiać, to cena będzie wyższa, gdy się będzie pogarszać – cena będzie niższa. Obawiam się, że nie wszyscy politycy rosyjscy zdają sobie sprawę, że jednak te bomby zrzucone na Czeczenię nie są zupełnie bez znaczenia. Za to trzeba będzie jakąś cenę zapłacić. Dlatego przypuszczam, że tego weta nie będzie. Jakiś układ będzie, a ile uda się wytargować, będzie w dużej mierze zależało przede wszystkim od rozwoju sytuacji wewnętrznej w Rosji.

ERNEST SKALSKI: Rosja jest w sytuacji dziedzica, któremu chłopci się zbuntowali i nie wychodzą na pańszczyznę ani nie płacą, a on by jeszcze chciał, żeby stali z czapką w rękę, kiedy

jedzie do kościoła. To są te różne prestiżowe historie, w zasadzie bez większego sensu, których oni się domagają. Wydaje mi się, że tam, gdzie to nie koliduje z naszym bezpieczeństwem, można i trzeba na to pójść. Jeśli oni by się domagali traktatu między Rosją a NATO, to na to trzeba zdecydowanie pójść, ponieważ to jeszcze zwiększa stopień naszego bezpieczeństwa. Natomiast nie można przystawać na warunki ograniczające. Rosja nie może ograniczać suwerenności NATO i jej członków. Zakładam, że Rosja to zrozumie. Jeśli będzie nadmiernie agresywna, na Zachodzie powstanie mocniejsze lobby antyrosyjskie.

WOJCIECH ROSZKOWSKI: Zgadzam się z Panami. Tu są dwa czynniki duże i jeden mały. Pierwszy i drugi to sytuacja wewnętrzna Rosji i reakcja Zachodu. Świętowanie przez Clintona zwycięstwa Rosji w Czeczenii może tę cenę podwyższyć. Ale jest również trzeci czynnik – jak my się będziemy zachowywali. Jeżeli będziemy z siebie robili rusofobów i tak będziemy postrzegani, to na pewno cena wzrośnie. Jestem jednak optymistą i myślę, że dojdzie do porozumienia.

KS. WALDEMAR CHIROSTOWSKI: Samo pytanie, czy Rosja będzie stawiać weto wobec naszych dążeń integracyjnych, podaje w wątpliwość naszą możliwość wyboru oraz przekonanie, że mamy niepowtarzalną szansę itd. Okazuje się bowiem, że to wszystko jest bardzo ściśle związane z Rosją. Moim zdaniem odpowiedź na to pytanie wcale nie leży w Rosji, lecz na Zachodzie. Czy Rosja postawi weto, zależy od układów pomiędzy Zachodem a Rosją, a więc od tego, czy obie strony raz jeszcze nie ułożą się za naszymi plecami, oraz czy Zachodowi będzie naprawdę zależało na tym, żeby się związać z Polską, i jak to się będzie miało do integracji z Rosją. Nawet sytuacja wewnętrzna Rosji w najbliższym czasie zależy od tego, jak długo Zachód będzie popierał i utrzymywał prezydenta Jelcyna, udzielając Rosji ogromnych pożyczek.

Druga sprawa: Czy chcemy osiągnąć integrację polityczną i bezpieczeństwo, czy chcemy także jakiegoś dobrobytu? Niekoniecznie takiego jak we Francji czy RFN, ale jak w Grecji, Portugalii lub Hiszpanii. Tu jest ogromny problem, bo dla wielu naszych rodaków – zwłaszcza mieszkańców wsi i robotników –

perspektywa integracji z Zachodem oznacza groźbę pauperyzacji. Nie powiedzieliśmy też nic o takich sprawach, jak Azja i kraje muzułmańskie. Europa mogłaby się silnie i szybko zintegrować, gdyby tam się wydarzyło coś radykalnie nowego. Wtedy w ciągu paru miesięcy możemy znaleźć się w NATO i też nas nikt specjalnie nie będzie o to pytał. Ale jeżeli tam nic znaczącego się nie wydarzy, to biorąc pod uwagę fakt, że coraz wyraźniej ton polityce europejskiej nadają nie Amerykanie, lecz Niemcy, Europa będzie coraz bardziej żyła swoim życiem, natomiast USA zwrócić się ku Azji i Pacyfikowi.

KRZYSZTOF BOBIŃSKI: Ponawiam apel o dyskusję o interesie narodowym i polskim patriotyzmie w następnych 20 latach. Wchodzi nowe pokolenie, które nie pamięta przeszłości. Czy dla niego dobrobyt nie będzie najważniejszy? Czy zatem problemem naczelnym dla Polski i jej polityki zagranicznej nie będzie wypracowanie dobrobytu w ramach struktur, o których mówiliśmy?

Jeżeli chodzi o NATO, to muszę przyznać, że mam problem. Jeśli sojusz obronny nie potrafi powiedzieć, kto jest wrogiem, to przyjdzie taki moment, kiedy społeczeństwa, które płacą za ten sojusz, zastanowią się, za co właściwie płacą. Ale gdy założyć, że NATO przetrwa, to Rosja postawiona wobec możliwości wykluczenia z krajów cywilizowanych będzie oponowała. Czy postawi weto? Nie może postawić weta, bo Polska jest krajem suwerennym, ale będzie oponowała.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI: Dziękuję bardzo. Chcę tylko dorzucić coś, co jest z jednej strony dość pesymistyczne, a z drugiej rzuca pewne światło na naszą sytuację. PIW wydał niedawno wspomnienia markiza de Custine'a z podróży do Rosji i tam we wstępie przeczytałem: *...obraz Rosjan i ich rządu jest podobną o rysach znacznie złagodzonych. Autor posunął się w swoich skrupułach i bezstronności tak daleko, że pominął wszystkie fakty i anegdoty przekazane mu przez Polaków* (s. 9).

Andrzej Olechowski

Szanse Polski w Europie^{*}

Czy i w jakim stopniu Polska jest politycznie gotowa włączyć się w proces integracji europejskiej? Czy Europa jest politycznie gotowa Polskę przyjąć? Postaram się krótko odpowiedzieć na te pytania.

I. Zaczniemy od przypomnienia powodów, dla których Polska deklaruje od momentu odzyskania pełnej suwerenności gotowość przystąpienia do Unii Europejskiej. Sięgnę tu do osobistych doświadczeń.

W swojej działalności publicznej poświęciłem wiele wysiłku i zaangażowania sprawie polskiego członkostwa w instytucjach zachodnich. Byłem głównym negocjatorem pierwszego porozumienia Polski z EWG dotyczącego handlu i stosunków gospodarczych. Jego podpisanie było jednym z pierwszych i najważniejszych aktów międzynarodowych rządu Tadeusza Mazowieckiego, symbolicznym i rzeczywistym drogowskazem dla polskiej polityki zagranicznej. Byłem odpowiedzialny za część gospodarczą traktatu o stowarzyszeniu ze Wspólnotami, który przesądził o wielu rozwiązaniach w naszej transformacji systemowej i ożywił wiarygodne oczekiwania co do ostatecznego miejsca Polski w Europie. Byłem wreszcie, jako minister spraw zagranicznych, odpowiedzialny za całość negocjacji związanych z członkostwem w NATO i Unii Europejskiej. Głównym zadaniem w tym okresie było zmuszenie – to chyba najważniejsze słowo – Zachodu do poważnego rozpatrzenia sprawy polskiego członkostwa w NATO. Wykonując te zadania miałem świadomość, że robię coś niezwykle ważnego, coś, co będzie miało

^{*} Tekst referatu *Europejska gotowość polityczna Polski a kondycja polityczna Europy* wygłoszonego podczas sympozjum Akademii Teologii Katolickiej nt. „Nowy porządek Europy. Między transformacją a integracją”, Warszawa, 26-27 V 1995 r.

zasadniczy wpływ na życie mojej rodziny i dzieci moich dzieci. To silne przekonanie brało się z trzech przemyśleń.

Po pierwsze, integracja europejska jest najpoważniejszą od kilku wieków i rokującą największe nadzieje próbą zapewnienia trwałego bezpieczeństwa kontynentowi regularnie rozdzieranemu konfliktami. Jest ona pomysłem na trwałą likwidację zbrojnych konfliktów przez tak silne wzajemne uzależnienie uczestniczących w niej państw, aby ich samodzielna polityka nie mogła doprowadzić do takich konfliktów. Komu bardziej niż Polakowi może zależeć na pokoju i bezpieczeństwie? Jaki inny pomysł mają politycy przeciwni integracji: postawienie wielkiej armii? otoczenie Polski murem? sojusz ze Wschodem? To, że w procesie integracji trzeba przekazać instytucjom ponadnarodowym część narodowych kompetencji, suwerenności? Po to narody walczą o suwerenność, aby móc jak najlepiej zapewnić sobie bezpieczeństwo i rozwój. Dziś łatwiej, pewniej i taniej można osiągnąć te cele, rezygnując z możliwości samodzielnego podejmowania niektórych decyzji.

Po drugie, we Wspólnocie upatrywałem partnera, który dostarczy nam modelu przemian systemowych i wesprze jego realizację. Postawienie członkostwa we Wspólnocie z początkiem następnego stulecia jako nadrzędnego celu narodowego pozwoliłoby: rządowi – stosunkowo łatwo określić docelowy model gospodarczy oraz zmiany systemowe i instytucjonalne, których trzeba dokonać w procesie transformacji; opinii publicznej – wyobrazić sobie przyszłość, wyzbyć się obaw przed niekompetentnymi poszukiwaniami trzeciej drogi, przed znachorami gospodarczymi, zastosować kryterium zgodności z modelem „europejskim” do oceny działań swoich i rządu; przedsiębiorcom (krajowym i zagranicznym) – uzyskać pewność co do przyszłego miejsca Polski w świecie, charakteru polityki gospodarczej i jej szczegółowych rozwiązań. W kraju, który nie musi przestrzegać dyscypliny, w którym politycy z dnia na dzień mogą zmienić kurs polityki gospodarczej, strach jest oszczędzać i inwestować. Uzyskałem niedawno potwierdzenie tej myśli gdy przedsiębiorcy ze Śląska przyznając mi swój Diamentowy Laur podali w uzasadnieniu, że czynią to w *uznaniu działań, które doprowadziły do wejścia Polski w struktury Unii Europejskiej*,

przesądzać tym samym o ustroju gospodarki rynkowej naszego kraju.

Po trzecie, jak większość Polaków identyfikuję się z Zachodem i kwalifikowanie mnie jako wschodniego Europejczyka zawsze przyjmowałem z niechęcią. Szczególnie że dziś coraz powszechniej – proszę spytać Amerykanina czy Japończyka – przez Europę rozumie się tylko jej zachodnią część. W kraju, który jest marginesem, buforem, szarą strefą, żyć jest nieswojo.

Te trzy proste powody sprawiały, że nie widzę dla Polski innej drogi niż forsowne staranie się o członkostwo w EWG i NATO. Powiedziałem nawet, że gdyby Polska miała przyjąć inny cel, to wówczas będę musiał emigrować – nie skażę dobrowolnie swoich dzieci na niebezpieczeństwo i brak perspektywy dobrobytu. I tak zrobię.

Takie są moim zdaniem ogólne przesłanki przekonania większości Polaków co do konieczności starań o pełny udział w instytucjach zachodnich. Zastanówmy się teraz nad powodami bardziej konkretnymi, choć wciąż bardzo ogólnymi, ale rozważamy wielki projekt – nie chodzi więc nam o wyliczenia z laboratoryjną dokładnością.

Są cztery podstawowe korzyści z uczestnictwa Polski we wspólnocie zachodniej.

Pierwsza to uzyskanie międzynarodowej pozycji politycznej odpowiadającej rzeczywistemu potencjałowi kraju. W warunkach europejskich jesteśmy narodem dużym, a w światowych – średnim. Wielkość naszej gospodarki kwalifikuje nas do krajów średnich, a jakość dokonań kulturalnych i intelektualnych – do dużych. Te parametry nie znajdują odzwierciedlenia na obszarze politycznym – odgrywamy w nim rolę niewielką, marginalną, tak w sprawach światowych, jak i europejskich. Nie jesteśmy krajem uczestniczącym w wypracowywaniu decyzji o istotnym znaczeniu, w tym istotnych dla nas. Każdy dzień przynosi przykłady tej marginalizacji i nie ma sensu ich tu omawiać.

Poczyńmy jednak natychmiast zastrzeżenie, że to stwierdzenie marginalnej roli Polski w polityce międzynarodowej nie jest wyrazem tęsknoty za silniejszą pozycją, jaką mieliśmy w okresie komunizmu. Co z tego bowiem, że bardziej się z nami wówczas liczone, jako drugim największym krajem bloku

wschodniego, skoro wewnątrz tego bloku mieliśmy pozycję wasala i dlatego naszą (silną) pozycję mogliśmy wykorzystywać tylko do celów definiowanych przez ZSRR, na którą to definicję mieliśmy tylko niewielki wpływ. Cele te bardzo często były sprzeczne z naszym interesem narodowym i dlatego silna pozycja międzynarodowa przynosiła nam w ostatecznym rachunku szkodę, a nie korzyść. Nie o taką więc siłę i pozycję chodzi. I nie takiej możemy się we wspólnocie zachodniej spodziewać. Jej podstawowe cele – ochrona i rozwój takich wartości, jak demokracja, prawa człowieka i wolny rynek – są w pełni zgodne z naszymi celami, co sprawia, że uczestnictwo we wspólnocie pozwoli nam lepiej zadbać o realizację naszych interesów.

Druga korzyść z uczestnictwa we wspólnocie zachodniej to wolny dostęp do jej rynku. Polska gospodarka jest – jak gospodarka każdego kraju średniej wielkości – silnie uzależniona od rynków zagranicznych. Dowodów na to dostarcza obecny wzrost gospodarczy, biorący swe źródło w popycie zagranicznym. Rynek Unii Europejskiej jest dziś i największym rynkiem świata, i rynkiem nam najbliższym – tam kierujemy blisko dwie trzecie eksportowanych towarów i usług. Dlatego całkowicie wolny dostęp do tego rynku ma niesłychanie doniosłe znaczenie dla rozwoju polskiej gospodarki. Wszelkie utrudnienia, wszelka dyskryminacja w dostępie do rynku spowoduje, że gospodarka będzie się rozwijać wolniej, niż mogłaby. Całkowicie wolny dostęp do rynku Unii mają oczywiście jedynie jej członkowie. Z oczywistych powodów takiego dostępu nie mogą zagwarantować żadne umowy z krajem nie będącym członkiem – z definicji jest on więc skazany na dyskryminację.

Podajmy w tej części naszych rozważań jeszcze jedną refleksję. Otóż tak jak korzystny jest dla Polski wolny dostęp do rynków zagranicznych, tak samo ważny jest – dla Polski i gospodarki europejskiej – swobodny dostęp do rynku polskiego. Ta oczywista dla ekonomisty prawda natrafia – wszędzie na świecie – na poważne bariery polityczne. Dlatego przyjęto się postrzegać protekcjonizm w handlu międzynarodowym jako pewnego rodzaju fatum i konieczność polityczną. Wielkim wyłomem w tej prawidłowości jest liberalizacja handlu we Wspólnotach Europejskich. Od Traktatu Rzymskiego wewnątrz-

na polityka handlowa Wspólnot rozwija się w jednym kierunku, w kierunku liberalizacji. Oczywiście, było wiele zahamowań, konfliktów i starć, ale trend jest solidny – w stronę coraz bardziej wolnego handlu; logika wspólnego rynku polega przecież na znoszeniu narodowych barier handlowych. Ta spójność, jednokierunkowość, jest sprawą nadzwyczajną. Okres blisko 40 lat jest wystarczająco długi, by oczekiwać zmian tendencji. Tak jak było to w przeszłości, gdy okresy wolnego handlu wyraźnie przeplatały się z okresami protekcjonizmu. Historycy określili wiele przyczyn tej alternacji: cykle koniunkturalne, zmiany instytucjonalne i polityczne, czy wreszcie zmiany w poglądach intelektualistów i opinii publicznej. Mielśmy i my w okresie tych prawie 40 lat z nimi do czynienia. Dlaczego więc tak niewzruszony pozostał ruch w kierunku wolnego handlu?

Zapewne można tu znaleźć wiele wyjaśnień, ja jednakże chciałbym wyeksponować jedno, a mianowicie fakt, że wolny handel był i jest bardzo ważnym, nawet węzłowym, ale tylko jednym elementem znacznie większego przedsięwzięcia – integracji europejskiej. Żaden rozsądny człowiek nie chciałby odwrócić tendencji, która leży u podstaw wzrostu i zamożności Europy Zachodniej. Ale politycy nie zawsze są rozsądni i z różnych powodów promują protekcjonizm. Jednakże, by użyć słów sir Leona Brittaina, *żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie życzyłby powrotu tego rodzaju europejskich polityk, które przez wieki powodowały niewymowny rozlew krwi i cierpienia, w tym dwie wojny światowe w obecnym wieku.* A demokratyczni politycy, cokolwiek by o nich mówić, są ludźmi przy zdrowych zmysłach.

Wyciągam z tej refleksji następujące wnioski: jeśli chcemy, aby wolny handel stał się trwałym elementem polskiej polityki gospodarczej, musimy się włączyć do integracji europejskiej. Jeśli chcemy, aby wolny handel był stałą cechą europejskiej gospodarki, musimy zabiegać o jedną, głęboką, Europę. Standardowe układy handlowe pomiędzy Unią i pozostałymi państwami europejskimi nie wystarczą, aby powstrzymać powrót protekcjonizmu w tych krajach, i w konsekwencji pojawiające się napięcie i konfliktów pomiędzy tymi państwami i Unią oraz w ramach samej Unii.

I trzecia korzyść z uczestnictwa Polski we wspólnocie zachodniej – szansa na jedną Europę i wkład w jej urzeczywistnienie. Pomna swej tragicznej historii Polska musi robić wszystko, by związać Wschód z Zachodem w jedną całość, urzeczywistnić w praktyce zasadę niepodzielności bezpieczeństwa całej Europy i szerzej – całego obszaru euro-atlantyckiego. Wiemy, że mamy dziś historyczną szansę, aby ten projekt zaawansować, szansę, której nie wolno nam zmarnować – nie wiemy jednak, jak ją wykorzystać. Szukamy recepty, by zjednoczyć kontynent, nie wykluczając USA i nie izolując Rosji.

W minionych dwóch stuleciach Europa przeżyła trzy wielkie reorganizacje ładu międzynarodowego. W 1815 r. w Wiedniu, w 1919 r. w Wersalu i w 1945 r. w Jaltie i Poczdamie były tworzone podwaliny już to „koncertu europejskiego”, już to równowagi sił. Pamiętamy te dwie metody utrzymania ładu w Europie.

Szczególną cechą dzisiejszej, czwartej reorganizacji jest to, że nie pojawiała się ona w wyniku zbrojnego kataklizmu. Tym samym zamknięcie epoki zimnej wojny nie następuje w spektakularnej formie, jako jedna konferencja, na której rozstrzyga się podstawowe kwestie dotyczące porządku międzynarodowego. Nie operujemy też poręczną dychotomią: zwycięzca – zwyciężony, wróg – sojusznik, straty – zyski. Dyskusja toczy się w jednym obozie, obozie demokracji. Zadanie jest więc, paradoksalnie, trudniejsze.

Debatą toczy się w sytuacji, gdy część Europy już jest zjednoczona. Unia Europejska i NATO – o obu musimy tu mówić łącznie, skoro chcemy obecności USA w Europie – są zdumiewająco udanymi przedsięwzięciami międzynarodowymi. Integracja okazała się skuteczną i trwałą metodą zaprowadzenia ładu. Jest to wielkie, historyczne, osiągnięcie narodów Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Szczególnie tych pierwszych, przez wieki zorganizowanych w zażarcie ze sobą konkurujące, nawzajem się zwalczające imperia i księstwa.

Zachód jest więc już zjednoczony. Jest solidnym faktem. Konstruując jedną Europę trzeba go uwzględnić. Jak? Można sięgnąć po metodę równowagi sił, skonsolidować (ponownie) „Wschód”, wzmocnić go, a gdy osiągnie odpowiedni poziom, połączyć oba obszary. Ta wywodząca się z zimnej wojny droga

ma wielu zwolenników w Rosji i w zachowawczych kołach na Zachodzie chcących utrzymać ekskluzywność swych instytucji. Znajduje też poparcie w niektórych kołach gospodarczych bądź to tęskniących za RWPG i Paktem Warszawskim, bądź za „fortecą europejską” jako systemami, w których bez troski o konkurencję, „między swoimi”, łatwiej robić interesy.

Można też sięgnąć po metodę „koncertu mocarstw”: strategiczne porozumienie USA, Unii Europejskiej i Rosji, określające reguły współpracy między nimi i warunki działania innych państw przez rozwiązania typu Partnerstwa dla Pokoju, partnerów stowarzyszonych, koncentrycznych kręgów itp. Albo że jak w starym sowieckim marzeniu – można spróbować rozbić Zachód i zbudować coś zupełnie nowego. Ta pierwsza myśl ma wielu zwolenników w Unii Europejskiej, ta druga – wśród „mocarstwowych” polityków w Rosji, ale też i np. w Polsce – upatrują oni w niej szansy dla Polski jako regionalnego centrum lub pomostu między Berlinem i Moskwą.

Jest wreszcie trzeci sposób – integracja. Otwarcie sprawdzonych zachodnich struktur dla nowych członków i stopniowe rozszerzanie ich na całą Europę, aż – używając poetyckiego języka – Zachód stanie się Europą, a Europa – Zachodem. Polska uparcie forsuje ten właśnie sposób. Jest on najbezpieczniejszy, najtańszy, najbardziej praktyczny i dlatego najłatwiejszy w realizacji.

Takie są trzy fundamentalne powody gotowości i pragnienia Polski przyłączenia się do integracji europejskiej. Tak formułują je elity polityczne. Tak też postrzega je opinia publiczna, która, jeśli wierzyć badaniom socjologicznym, w większości (70–80%) popiera ideę przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

II. Być gotowym w sensie chcieć to jedna sprawa, być gotowym w sensie móc – druga. Zastanówmy się teraz, czy Polska jest gotowa do przyjęcia zasad, celów i obowiązków Unii Europejskiej.

Polska w Unii to wielki projekt. W jego wyniku i Polska, i Unia będą inne niż dziś. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Z oczywistych powodów przyłączenie Polski i innych krajów Europy Środkowej do Unii nie nastąpi w sposób tak naturalny, technokratyczny, jak przyłączenie trzech państw EFTA. Nastąpi ono na „wysokiej ścieżce politycznej”, w procesie,

w trakcie którego znacznym zmianom ulegną definicje wspólnych instytucji, a nawet rozumienia Europy i jej granic. Dlatego rozpatrując gotowość Polski do przyjęcia obowiązków członka w Unii, trzeba się zastanowić, jaka ona będzie. Bądź skromniej – jaka mamy nadzieję, że będzie.

Realizując nasz zamysł Zjednoczonej Europy, chcielibyśmy, aby była to Unia, po pierwsze, konsekwentnie rozwijająca zachodnie wartości: demokrację, wolny rynek, prawa człowieka, otwartość. To jest, aby podejmując decyzję o rozszerzeniu na Wschód, nie wyraziła gotowości do modyfikacji tych wartości, ich „skorumpowania” dla spokoju i współpracy. Tendencje takie będą występować. W debatach, które dziś np. obserwujemy w krajach postkomunistycznych, sprawa ta często się pojawia: dlaczego mamy się dostosowywać do zachodnich wzorców? przecież mamy własne, nieraz praktykowane od stuleci, powinniśmy więc zabiegać o ich uznanie, o skorygowanie zachodniego wzorca. Dyskusja ta przenosi się też na forum międzynarodowych instytucji, np. do Rady Europy. Byłoby fatalne, gdyby Unia w poszukiwaniu nowej architektury europejskiej przyjęła ten punkt widzenia. Zachód swoich wypróbowanych zasad, które przyniosły mu dobrobyt i bezpieczeństwo, nie porzuci. Znając jednak „realizm” zachodnich Europejczyków, dopuszczam scenariusz, w którym Unia Europejska – wówczas, rzecz jasna, skomponowana z różnych kręgów czy grup krajów – gromadzi narody o różnych kulturach politycznych. Będzie to wówczas zjednoczenie pozorne, a nie rzeczywiste.

Po drugie chcielibyśmy, aby była to Unia stale pogłębiająca integrację wszystkich członków na wszystkich obszarach życia społecznego, politycznego i gospodarczego, a nie „płytką”, lub „à la carte”. Znowu stawką jest tu faktyczne, a nie pozorne zjednoczenie kontynentu.

Po trzecie Unia winna być zrównoważona, a nie zdominowana przez jednego z członków, np. Niemcy. To nie jest ostrzeżenie przed Niemcami, których demokratyczne instytucje wykazały swą trwałość i cieszą się naszym zaufaniem; to jest ostrzeżenie przed konsekwencjami braku równowagi. Francuska czy angielska Europa byłaby równie niedobra jak niemiecka. Chodzi o to, by była zrównoważona, harmonijna, gdyż wówczas będzie najtrwalsza.

I po czwarte chcielibyśmy, aby Unia była otwarta na nowych członków, a nie zamknięta z góry określonymi granicami.

W jakim stopniu Polska jest przygotowana do uczestnictwa w takiej Unii?

Od momentu odzyskania pełnej suwerenności Polska i inne kraje Europy Środkowej oddały się szybkiemu wprowadzaniu w życie wartości, zasad i rozwiązań zachodnich. Ta decyzja jest u podstawy trudnych reform, które jednakże przynoszą dziś wyniki w postaci tak wzrostu gospodarczego, jak i podobieństwa systemów polityczno-gospodarczych do systemu zachodniego. Wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. W Polsce wciąż trudno jeszcze np. uznać własność prywatną za podstawę ładu społecznego, rynek jest nadal skrępowany, a rozumienie sprawiedliwości społecznej bliższe ideologii komunistycznej niż zachodnioeuropejskiemu rozumieniu dobra wspólnego. Jednakże podstawowe podobieństwo już zostało zakorzenione. Dlatego jest tak istotne, aby to osiągnięcie utrwalić i chronić. Z tego też powodu kraje Europy Środkowej winny uzyskać jak najszybciej wiarygodną obietnicę członkostwa w Unii, podczas gdy ich rządy winny dalsze dostosowanie uczynić narodowym priorytetem. Nie trzeba wyjaśniać, jak bardzo te dwa działania by się nawzajem wspierały.

Podobnie obiecujące wydaje się zaawansowanie gotowości Polski co do pogłębiania i poszerzania zakresu integracji. Choć trudno tę skłonność zmierzyć, zwrócę tu uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze – na tradycyjnie wysoką polską aktywność w międzynarodowych przedsięwzięciach. Polacy wydają się instynktownie życzliwi współpracy międzynarodowej i dobrze się wywiązują z przyjętych na siebie obowiązków. Pod warunkiem że decyzję o swoim zaangażowaniu podjęli sami, dobrowolnie. Nie ma co mnożyć historycznych przykładów zobowiązań wobec innych, które wiernie i ofiarnie wypełnialiśmy. Po drugie – w odróżnieniu od społeczeństw zachodnich nie jesteśmy silnie przywiązani do swoich instytucji. Bieg historii spowodował, że wiele z nich nie jest własnych, a wiele jest bardzo młodych. Nie miałyby więc polska opinia publiczna tak wielkich problemów jak angielska czy niemiecka z wprowadzeniem rozwiązań europejskich w miejsce rozwiązań narodowych.

Wewnętrzna równowaga Unii jest obszarem, na którym Polska mogłaby mieć znaczący, pozytywny udział. Po przystąpieniu do Unii, z Francją i Niemcami mogłaby wspólnie stać się siłą zapewniającą Europie równowagę i harmonię. Ten zamysł, obecny w umysłach budowniczych tzw. Trójkąta Weimarskiego, wymaga ambitnej pracy politycznej, brak bowiem w przeszłości przykładu współpracy tych trzech narodów, który mógłby być wzorem na dziś. Tym większe więc stanowi wyzwanie. Wyzwanie, które Polacy chętnie już dziś podejmują, będąc aktywnym członkiem Trójkąta i darząc go dużym i życzliwym zainteresowaniem.

Wreszcie otwartość Unii. Trudno się oczywiście obawiać, aby Polska, pomna swych własnych doświadczeń, po uzyskaniu członkostwa stała się zwolennikiem zamkniętej Unii. Można chyba przyjąć, że podobnie jak dziś Niemcy stawiają sprawę członkostwa Polski, tak jutro Polska postawi sprawę członkostwa swych wschodnich sąsiadów. Z tych samych powodów. Istotniejsze jest to, czy będziemy potrafili wnieść pozytywny wkład do stosunków Unii z naszymi wschodnimi sąsiadami. Doświadczenia ostatniego okresu chyba wskazują na odpowiedź twierdzącą. Szybko rosnąca wymiana gospodarcza, odżywiający kontakty kulturalne oraz, a może przede wszystkim, bardzo szybko rosnące kontakty międzyludzkie (w zeszłym roku Polskę odwiedziło ok. 10 mln osób z b. ZSRR) wskazują, że Polacy potrafiliby zdynamizować stosunki Unii ze Wschodem i jej otwartość na tę część kontynentu. Szczególnie gdyby została usunięta przeszkoda polityczna, którą w dzisiejszych stosunkach z Rosją są niewątpliwie nasze starania o członkostwo w NATO i Unii Europejskiej.

Gdybym miał dokonać syntetycznej oceny gotowości politycznej Polski do członkostwa w Unii, powiedziałbym, że jest ona dziś dostateczna i zwiększa się. Szczególnie gdy porównać Polskę z innymi państwami z transformacji, w których europejski model organizacji społecznej i rozwoju, jak się wydaje, rodzi coraz większe wątpliwości.

III. Czy Unia Europejska, a może szerzej – czy wspólnota narodów zachodnioeuropejskich jest politycznie gotowa przyjąć Polskę do swego grona?

Gdy w Berlinie upadał mur, gdy w Polsce władzę przejmował pierwszy rząd solidarnościowy, wydawało się, że członkostwo Polski we Wspólnotach Europejskich jest sprawą przesądzoną, kwestią kilku krótkich lat. Taką optymistyczną prognozę można było wyczytać z wypowiedzi ówczesnych przywódców i polityków europejskich. Była to nieprawda. Byliśmy naiwni, wierząc w te wypowiedzi.

Dziś, po pięciu latach starań o członkostwo, do rzeczywistego dorobku zapisać możemy układ o stowarzyszeniu, pomoc w ramach programu PHARE, deklarację szczytu w Kopenhadze oraz strategię przedczłonkowską przyjętą przez szczyt w Essen. Po stronie pasywów zapiszmy brak jednoznacznej zapowiedzi członkostwa w układzie o stowarzyszeniu (może on być pierwszym i ostatnim krokiem w naszych stosunkach ze Wspólnotami), brak strategicznej wizji integracji w rolnictwie, niedostateczne tempo liberalizacji dostępu do rynku Wspólnot dla polskich produktów, nadużywanie przez polityków Unii nieprawdziwych stwierdzeń o wielkich wysiłkach i wyrzeczeniach na rzecz „ubogich krewnych” w krajach postkomunistycznych oraz fakt, że krajów stowarzyszonych jest już 10 i liczba ta się zwiększa. Szczególne znaczenie przywiązuję do tego ostatniego elementu oraz niechęci do całkowitej liberalizacji dostępu do wspólnego rynku. Wiadomo, że 10 i więcej państw nie może zostać szybko przyjętych do Unii. Niedokonywanie więc wyboru co do kolejności wskazuje na brak woli faktycznego rozszerzenia. Podobną wymowę ma niechęć do liberalizacji – polski eksport jest bardzo mały i fakt, że zdecydowano się przed nim chronić, świadczy o przyznaniu wyższej wagi politycznej interesom małych grup przemysłowych niż integracji z Polską. Wreszcie zauważmy, że publiczna debata w Unii Europejskiej na temat rozszerzenia jest bardzo wątpliwa i obejmuje niewielki krąg polityków zajmujących się sprawami zagranicznymi. Z wyjątkiem może Niemiec trudno byłoby znaleźć polityków, którzy temat rozszerzenia akcentują i omawiają ze swymi wyborcami. A jak powiedzieliśmy, wschodnie rozszerzenie Unii wymagać będzie „wysokiej ścieżki” politycznej. Ten brak publicznej debaty na temat rozszerzenia winniśmy uznać za ważny element kondycji politycznej Europy w tej sprawie.

Drugim elementem jest brak wyraźnych i widocznych grup nacisku, które ofensywnie zabiegałyby o rozszerzenie Unii. Fakt ten jest zaskakujący w przypadku kręgów gospodarczych, którym włączenie Europy Środkowej do Unii przyniesie znaczące korzyści. Zresztą korzyści te będą obustronne. Można określić co najmniej 4 obszary takich korzyści, „win-win opportunities”: infrastrukturę, handel, podział pracy i transformację przedsiębiorstw – w których przedsiębiorcy obu stron winni upatrywać poważnych zysków.

Trzecim elementem jest niepewność co do przyszłych rozwiązań instytucjonalnych w Unii Europejskiej. Redefinicja funkcjonujących instytucji, ich dopasowanie do nowych wyzwań, do ewolucji nie zagrażającej z jednej strony brakiem spójności, z drugiej zaś – tendencją do zamykania się, ekskluzywizmu, to bardzo trudny problem. Dyskusja na ten temat jest zrozumiała. Szczególnie że – jak powiedzieliśmy – winno nam zależeć na skutecznej, „głębokiej”, Europie. Można się jednak obawiać, że koncentracja debaty na mechanizmach działania i procedurach wewnętrznych Unii powoduje abstrahowanie od najistotniejszej kwestii, tej mianowicie, że mamy jedną Europę, którą trzeba jednocześnie poszerzać i pogłębiać. A koncentracja ta jest dziś wyraźna, co źle wróży rozszerzeniu Wspólnoty na wschód.

Wreszcie czwarta sprawa – charakterystyczny dla Unii sposób negocjacji wewnętrznych. Sprawa rozszerzenia jest ważna dla jednych krajów (szczególnie Niemiec) i mniej istotna dla innych (np. Portugalii). Tak jak w przypadku innych decyzji, kraje mniej zainteresowane traktują sprawę rozszerzenia jako okazję do uzyskania koncesji w interesujących je dziedzinach. I tak kraje południowe starają się uzyskać możliwie duże środki na współpracę z państwami basenu Morza Śródziemnego, Portugalia i inne małe kraje jako warunek stawiają niepominiejsze nie ich pozycji w nowych rozwiązaniach instytucjonalnych itp. Ten targ również źle wróży rozszerzeniu.

IV. Taka jest moim zdaniem odpowiedź na postawione mi pytania. Polska jest już dostatecznie gotowa politycznie, by stopniowo włączać się do Unii Europejskiej. Unia natomiast nie jest jeszcze politycznie gotowa, by Polskę przyjąć.

Polski euro-entuzjasta jest sfrustrowany!

Leon Brodowski

Aktywna polityka wschodnia kluczem do integracji Polski z Zachodem

Ogólnopolski Klub Miłośników Litwy powołany w grudniu 1988 r. (jako grupa inicjatywna powstał 2 lata wcześniej), na początku swojej działalności traktował małą Litwę na szerokim tle Europy Środkowo-Wschodniej. Formułował dwa uzupełniające się hasła: „Litwa kluczem do polityki wschodniej”, i: „Ukraina filarem polityki wschodniej”. Wówczas, gdy jeszcze nie było niepodległej Ukrainy, wydawało się, że to hasło utopijne. Poparł je jednak publicznie polski Ukrainiec, naukowiec i poseł Unii Wolności Włodzimierz Mokry. Od jesieni 1992 r. zastanawialiśmy się w Klubie nad tym, jaki jest związek pomiędzy naszą polityką wschodnią a naczelnym zadaniem polskiej polityki zagranicznej, jakim jest integracja z Zachodem. Wygłosiłem wówczas, 30 X 1992 r., w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego referat pt. „Europa Ojczyzn” (opublikowany w kwartalniku „Lithuania”, nr 7-8/1992). Wniosek mojego rozumowania był tyleż przejrzysty, ile kontrowersyjny: aktywna polityka wschodnia jest kluczem do naszej integracji z Zachodem. Dopiero 3 lata później zostałem zaproszony do napisania artykułu na ten sam temat na łamach „Przeglądu Powszechnego”.

Mimo historycznej odezwy pierwszego zjazdu „Solidarności” w 1981 r. do Narodów Europy Środkowo-Wschodniej, rządy solidarnościowe w latach 1989-93 nie aprobowały szerokiego, dynamicznego programu polskiej polityki wschodniej, koncentrując się na wysiłkach zmierzających do przyjęcia Polski do NATO i Unii Europejskiej. Była to, moim zdaniem, polityka defensywna i jak się okazało nieskuteczna. Pod tym względem nic się nie zmieniło od 19 IX 1993 r., kiedy to doszły do władzy ugrupowania postkomunistyczne. Nasza klasa polityczna –

zarówno lewica, jak i prawica, żyła przez 7 ostatnich lat złudzeniami rzekomej jedności interesów krajów Europy Środkowo-Wschodniej i krajów Sojuszu Atlantyckiego. Sądzę jednak, że na szczęście złudzenia te ostatnio prysły w wyniku oceny spotkania Billa Clintona z Borysem Jelcynem w Moskwie 9 i 10 V 1995 r. podczas obchodów 50. rocznicy zwycięstwa nad hitleryzmem.

Powinniśmy iść w tym samym kierunku – integracji z Zachodem, ale zupełnie inną drogą. Nie ośmieszajmy się ustawianiem się, każdy sobie, w kolejce do NATO, jak żebracy Europy, lecz nie pytając moźnych tego świata o zgodę, formujemy krok za krokiem, ewolucyjnie, bez nadmiernego pośpiechu, szeroką, konfederacyjną wspólnotę kilkunastu państw Europy Środkowo-Wschodniej, ażeby Zachód dostrzegając naszą atrakcyjność prosił nas o przystąpienie do struktur gospodarczych, politycznych, militarnych i kulturowych Zachodu.

Ażeby usprawiedliwić brak ofensywnej polityki wschodniej, kolejne nasze rządy postsolidarnościowe i postkomunistyczne wysuwały liczne pseudoargumenty, które jednak nikogo nie przekonywały. Przykładowo: że tworzenie wspólnoty środkowo-europejskiej zanadto przypomina bezpowrotnie minioną przeszłość Rzeczypospolitej Obojga Narodów; że współczesne państwa tego makroregionu są przeniknięte nacjonalizmem i nie zgodzą się na taką wspólnotę; że idąc w tym kierunku Polska będzie podejrzewana o zakusy polonizacyjne i megalomańskie; że tworzenie środkowo-wschodniej konfederacji na miejsce rozwiązanego Układu Warszawskiego zagrozi interesom Federacji Rosyjskiej; że taka wspólnota nie znajdzie poparcia ze strony USA, dla których partnerem jest tylko mocarstwo rosyjskie; że narody pomiędzy Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym (makroregion ABC) nie są moralnie dojrzałe do tworzenia wspólnoty, czego dowodem jest kilkuletnia już wojna w Jugosławii; że my, Polacy, jesteśmy za biedni, by prowadzić aktywną politykę wschodnią, na którą stać jedynie bogate Niemcy itd., itd.

Sądzę jednak, że wymieniane argumenty są jedynie dowodem fałszywych wartości i związanych z nimi błędnych postaw społecznych, jakie przeważają w polskich elitach politycznych,

które decydują o naszej polityce zagranicznej. Nie ma właściwej harmonizacji pomiędzy kategorią społecznego integrowania i społecznego różnicowania. Nie ma zrozumienia, że życie społeczne należy opierać na zasadzie jedności w różnorodności. Lewica polityczna dostrzega kategorię jedności, a prawica kategorię pluralizmu, czyli zróżnicowania. Brakuje wciąż w życiu politycznym sił centrowych, które kojarzyłyby obie kategorie.

Przeciwko koncepcji aktywnej polityki wschodniej jako drogi do integracji z Zachodem występują zarówno komuniści, jak i nacjonaści, a także zwolennicy europejskiego kosmopolityzmu, opartego na nihilizmie narodowym. Komuniści i kosmopolity, każdy na swój sposób, pragnęliby oprzeć jedność społeczną na jednolitości. Pierwsi opierają się na filozofii społecznego kolektywizmu, drudzy – na filozofii społecznego indywidualizmu. Nacjonaści opierają się na skonfliktowanej różnorodności i egoizmie prowadzącym do tzw. czystek etnicznych, czyli do ludobójstwa. Nacjonaści są pomniejszycielami patriotyzmu. Konflikty klasowe i konflikty etniczne można natomiast przezwyciężyć patriotyzmem otwartym na Europę i cały świat, czyli uniwersalizmem opartym na zasadzie jedności w różnorodności, nie zaś na jedności w bezbarwnej jednolitości.

Przed przeszło 50 laty w naszym makroregionie nad Wisłą i Niemnem opublikowano mało znane politykom dwa prekursorskie dokumenty w duchu nadchodzącego XXI w. W 1942 r. w polskim podziemiu niepodległościowym ukazała się broszura napisana przez jezuitę o. Józefa Warszawskiego wspólnie z przywódcą Konfederacji Narodu Bolesławem Piaseckim pt. „Uniwersalizm”. Zgodnie z chrześcijańską myślą społeczną szła ona środkową drogą pomiędzy komunizmem i nacjonalizmem. Odcinała się zarówno od kolektywizmu, jak i od indywidualizmu w duchu personalizmu społecznie zaangażowanego. Potępiała antysemityzm i zasadę wodzostwa w duchu demokracji. Na terenie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, w Wilnie, podczas okupacji niemieckiej w konspiracyjnym Instytucie Katolickim, kierowanym przez ks. Józefa Wojtukiewicza, powstał obszerny dokument pt. „Ustrój uniwersalistyczny”. Opowiadał się on m.in. za tworzeniem wspólnoty krajów Europy Środkowo-Wschodniej ze stolicą w Wilnie. Jako kierownik wydziału

młodzieży męskiej w tym Instytucie opracowałem w 1943 r. dokument pt. „Kodeks wychowania rycerskiego”, który został opublikowany na łamach „Rycerza Niepokalanej” w 1946 r.

Ostatnio z uwagą przeanalizowałem tekst referatu „Przemiany w Europie Środkowo-Wschodniej: Polska i Litwa w okresie postkomunistycznym”, który wygłosił w Wilnie 30 IV 1995 r. Zbigniew Brzeziński. Brzeziński jest sceptycznie nastawiony do możliwości szybkiej integracji państw Europy Środkowo-Wschodniej ze strukturami zachodnimi. Natomiast w celu przyspieszenia tego trudnego procesu postuluje realizowanie aktywnej polityki wschodniej. Pod koniec swego wystąpienia przed elitami politycznymi litewsko-polskimi stwierdza: *Bo jedynie te państwa, które dowodzą, że potrafią współpracować na stopniu regionalnym, staną się częścią szerszej Europy.*

Minęło 60 lat od śmierci Józefa Piłsudskiego. Politycy-pragmatycy często mówią: zostawmy historię zawodowym historykom, a sami zajmujmy się dniem dzisiejszym i najbliższą przyszłością. Spór historyczny o wizję Polski pomiędzy Piłsudskim a Dmowskim, mówią pragmatycy, nas nie interesuje. Jak wiadomo, w Polsce okresu międzywojennego toczyła się wśród polityków dyskusja, czy w naszym położeniu geopolitycznym pomiędzy Niemcami i Rosją mamy się kierować w polityce zagranicznej teorią dwóch wrogów i zmierzać prostą drogą do beznadziejności losów Polski, czy też oprzeć się na jednej z dwóch możliwości: albo na orientacji piastowskiej, albo na orientacji jagiellońskiej. W konsekwencji: albo związać się sojuszem z Niemcami przeciwko Rosji, albo odwrotnie.

Piłsudski po traktacie ryskim z 1921 r., kiedy załamała się jego koncepcja federacyjna, a w szczególności pod koniec swego życia w latach trzydziestych, kiedy narodziły się dwa ludobójcze totalitaryzmy – hitleryzm i stalinizm – zdawał sobie doskonale sprawę z kruchości II Rzeczypospolitej oraz z czekającej nas klęski wojskowej w zbliżającej się II wojnie światowej. Dzisiaj, po 60 latach od jego śmierci, mamy, obiektywnie biorąc, niebywałą koniunkturę polityczną, jeśli chodzi o sytuację geopolityczną Polski. Jest to – za grobem – wielkie zwycięstwo obu antagonistów – Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego. Nie musimy wybierać między orientacją piastowską

i jagiellońską. Na zachodzie odzyskalismy granice piastowskie powyżej naszych marzeń, czego się domagał przywódca Narodowej Demokracji. Na wschodzie natomiast mamy w poszerzonych granicach niepodległe: Litwę, Białoruś i Ukrainę, które mogą razem z Polską formować wspólnotę kilkunastu państw Europy Środkowo-Wschodniej, czyli zadanie przewyższające Rzeczpospolitą Obojga Narodów, o czym marzył Józef Piłsudski.

Oczywiście, gdyby polska demokracja miała się przekształcić w anarchię, zmarnowalibyśmy dzisiejszą koniunkturę polityczną. Jako naród jesteśmy podobno pierwsi w Europie, lecz ostatni jako społeczeństwo. W tym miejscu Europy nie ma miejsca na Polskę słabą. Polska silna to zdrowe społeczeństwo i silne państwo. Nie za nami, lecz wciąż przed nami są dwa dylematy, które były dramatem Piłsudskiego: nie Polska samotna, lecz powiązana współpracą z kilkunastu państwami makroregionu ABC; nie złota polska wolność, lecz demokracja odpowiedzialna za dobro wspólne.

Zbliżający się XXI w. będzie już ustrojem postkapitalistycznym, będzie to społeczeństwo wiedzy, wierne prawu naturalnemu. Trzeba w tej epoce na nowo odczytać elementy cywilizacji łacińskiej, do której należą kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Propozycja Jana Pawła II jest zawarta w Akcie Europejskim z 1982 r., ogłoszonym w Santiago da Compostella. Papież oparł charakterystykę cywilizacji łacińskiej na następujących kategoriach kulturowych: miłosierdziu, czyli afirmacji godności każdego człowieka; głębokim poczuciu sprawiedliwości; głębokim odczuciu wolności; etosie pracy w duchu patrona Europy św. Benedykta (*ora et labora*); duchu inicjatywy; tolerancji religijnej; rodzinie jako podstawowej komórce społeczeństwa i Kościoła; szacunku dla każdego poczętego życia; dialogu jako metodzie współpracy między ludźmi, wspólnotami oraz instytucjami; umacnianiu pokoju międzynarodowego i społecznego. Dodałbym od siebie jeszcze jeden element: oparcie stosunków między państwem a Kościołem nie na błędnej koncepcji państwa ateistycznego czy państwa wyznaniowego, lecz na prymacie moralności w życiu osobistym, rodzinnym, zawodowym i publicznym, czyli na konstruktywnej współpracy niezależnego

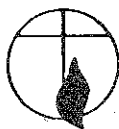
państwa i niezależnego Kościoła, jak mówią prawnicy – na współpracy dwóch podmiotów prawa publicznego.

Przez 150 lat, od rozbioru Polski w 1795 r. do zakończenia II wojny światowej polska myśl polityczna była bardzo bogata, oscylując pomiędzy polityką piastowską a jagiellońską, a w praktyce realizując najbardziej tragiczną koncepcję zwaną teorią dwóch wrogów. Obecnie natomiast, po 1989 r., czyli po uzyskaniu wolności do tyranii, chodzi o koncepcję najbardziej efektywnego realizowania przemiany teorii dwóch wrogów na teorię dwóch przyjaciół. Demokratyczne Niemcy, które zdały egzamin w zakresie radykalnej zmiany stosunków niemiecko-francuskich, są głównym naszym sojusznikiem w drodze do integracji z Zachodem. Nie wiemy natomiast, jak długo potrwa proces przemian w Rosji w kierunku państwa demokratycznego. Toteż nasze główne zadanie w polityce międzynarodowej – integracja z Zachodem – jest oczywiste, ale brzmi zbyt ogólnikowo. Zachód bowiem niezależnie od trudności przekształceń demokratycznych Rosji uważa to międzykontynentalne mocarstwo za swego głównego sojusznika. W tej sytuacji polska racja stanu schodzi na dalszy plan. Obecnie bowiem prymat Rosji w tej części świata nie ma żadnej przeciwwagi. My też bynajmniej nie chcemy izolować Rosji, odwrotnie, chcielibyśmy stać się pomostem między Rosją a Europą, by pomagać jej w procesie tworzenia społecznej gospodarki rynkowej i rozwoju demokracji.

Rolę pomostu może realnie pełnić dopiero cały makroregion ABC. Niełatwo jednak przekonać do tej strategii polityków moskiewskich, którzy przez przeszło 300 lat traktowali Europę Środkowo-Wschodnią jako swoją strefę interesów (od czasów poddania Ukrainy Rosji w 1654 r. przez Bohdana Chmielnickiego). Jestem głęboko przekonany, że w interesie demokracji Rosji leży właśnie przyjaźń z kilkunastoma państwami Europy Środkowo-Wschodniej. Trudności dla sprawy powstania krok po kroku wspólnoty państw tego makroregionu leżą także po stronie Polski. Chcielibyśmy ustawiając się w kolejce do NATO uzyskać jak najszybciej włączenie nas do struktur obronnych Europy Zachodniej, ale jednocześnie, aby nie narażać się Rosji, wolelibyśmy nie prowadzić aktywnej polityki wschodniej. Ta

bojaźń płynie moim zdaniem z braku jasnego, konsekwentnego stosunku do Federacji Rosyjskiej. Ulegamy dwóm błędnym skrajnościom, a jesteśmy widocznie za leniwi, ażeby zmierzać do celu wąską i stromą ścieżką, która jest jednocześnie drogą centrową i awangardową. Niemają jest jeszcze w Polsce środowisk, które w mówiły sobie, że Rosja – niezależnie od tego czy jest biała, czy czerwona – zawsze będzie nie tylko mocarstwem, lecz także państwem imperialistycznym. I w tej sytuacji alimantowanie tego państwa za pomocą dolarów amerykańskich i popychanie w kierunku demokracji może się okazać najbardziej niebezpieczne, bo siejące złudzenia. Natomiast polityczne środowiska polskie zakorzenione w ideałach narodowej demokracji Romana Dmowskiego są skłonne iść na współpracę o charakterze kolaboracji z każdą Rosją i uważać, że na tej drodze należy usunąć przeszkody w postaci niepodległej Ukrainy, Białorusi i Litwy. Środowiska te sądzą, że w interesie polskiej racji stanu leży, ażeby wymienione trzy państwa nie były suwerenne, lecz pozostawały pod okupacją rosyjską. Iść należy pomiędzy tymi skrajnościami – nienawiścią do Rosji i kolaboracją z Rosją – drogą środkową, nawet wówczas, gdyby w pierwszej fazie przyszło się nam posuwać krok za krokiem wąską i stromą ścieżką. Trzeba nawiązywać bliższą współpracę kulturalną, gospodarczą i polityczną ze wszystkimi krajami markoregionu Europy Środkowo-Wschodniej, a jednocześnie prowadzić nieustanny dialog z demokratami rosyjskimi, ażeby ich przekonać, że przyszła wspólnota tych państw leży także w najgłębiej pojętym interesie Rosji. Jak kto słusznie powiedział, nasza przyjaźń z demokratycznymi Niemcami i demokratyzującą się w bólach Rosją powinna być głębsza aniżeli strategiczna przyjaźń Niemiec z Rosją ponad głowami Polaków. Mówi nam o tym doświadczenie ostatnich 200 lat. Nasza efektywna polityka wschodnia nie ma być w żadnym razie przeciwwagą, w dodatku utopijną, do jedynie realnej polskiej polityki zagranicznej zmierzającej do naszej integracji z NATO i z Unią Europejską. Wszystkie rozsądne siły polityczne w Polsce pragną integracji z Zachodem. Alternatywa programowa polega natomiast na możliwości wyboru spośród dwóch metod realizowania integracji z Zachodem. Albo metoda kosmopolityczna – doga-

nianie Zachodu na zasadzie „jedność w jednolitości”, albo metoda uniwersalistyczna, oparta na zasadzie „jedność w różnorodności”. Uniwersalizm pojmuję jako patriotyzm otwarty na Europę i cały świat. Zmierza on do kształtowania Europy Ojczyzn. Metoda kosmopolityczna jest pragmatyczna, zaś metoda uniwersalistyczna – kreatywna, zmierza do tego, byśmy integrując się z Zachodem, wnieśli swój wkład kulturowy, którego istotą są wartości cywilizacji łacińskiej. Zadaniem tej cywilizacji jest porządkować humanistycznie globalną cywilizację techniczną.



ks. Wolfgang Beinert

Gdzie dwóch się kłóci*

O odzyskiwaniu zgody

Kościół jako *communio* i *communicatio*

Jedno z najwcześniejszych określeń Kościoła podał w 57 r. apostoł Paweł mówiąc, że Kościół tworzy Eucharystia, czyli *koinonía* (łac. „*communicatio*”) z Chrystusem: *Kielich błogosławieństwa, który błogosławimy, czyż nie jest UDZIAŁEM we Krwi Chrystusa? Chleb, który łamiemy, czyż nie jest udziałem w Ciele Chrystusa?* Jeśli tak jest, to my, liczni tworzymy *JEDNO Ciało* (1 Kor 10,16-17). Kościół jest więc wspólnotą (łac. „*communio*”), która powstaje z DZIELENIA SIĘ (łac. „*communicatio*”) eucharystycznego Pana ze wspólnotą.

Z tej teologii rozwinął się później, w czasach powstawania symboli wiary, fragment apostołskiego Credo o *communicatio sanctorum* (świętych obcowaniu). Początkowo rozumiano to jako uczestnictwo w sakramentach, jednak bardzo szybko – nie bez wewnętrznej logiki – zaczęto pojmować to wyznanie w odniesieniu do wspólnoty wiary¹. II Sobór Watykański podjął na nowo te idee. Kościół jest opisywany w „*Lumen gentium*” jako *wspólna budowla*². Ta perspektywa, znana jako nowotestamentowa i wczesnochrześcijańska, została włączona również do Kodeksu Prawa Kanonicznego z 1983 r.

Kościół już od czasów Nowego Testamentu ukazuje się w tradycji teologicznej jako *COMMUNIO* tworzona przez *KOMUNIE* i odnajdująca

* *Wenn zwei sich streiten. Über die Wiedergewinnung des Konsenses.* Tekst ukazał się pierwotnie w: W. Beinert (wyd.), *Kirche zwischen Konflikt und Konsens. Versöhnung als Lebensvollzug der Glaubensgemeinschaft*, Regensburg 1989, s. 13-45.

¹G. Kretschmar, *Gemeinschaft der Heiligen im Neuen Testament und in der Frühen Kirche*, US 43/1988, s. 266-276. Nt. *communio sanctorum* zob. J.N.D. Kelly, *Altchristliche Glaubensbekenntnisse. Geschichte und Theologie*, Göttingen 1972, s. 381-390.

²Zwrot „*communio ecclesiarum*” nie pojawia się dosłownie w dokumencie, jednak jego istotę dostrzega się w nim wyraźnie. Zob. W. Aymans, *Gliederungs- und Ordnungsprinzipien*, w: J. Listl H. Müller, H. Schmitz (wyd.), *Handbuch des katholischen Kirchenrechts*, Regensburg 1983, s. 239-247.

swoją misję w KOMUNIKACJI. Wszystko to zakłada istnienie relacji miłości i pokoju. Relacja ta jest ukazana w Nowym Testamencie jako podstawowa, pierwotna relacja Boga wobec człowieka i członków wspólnoty oraz wszystkich ludzi. Wystarczy przytoczyć tutaj tekst 1 Listu św. Jana Apostoła (zwłaszcza 2,9-11; 4,9 nn.).

Wspólnota zakłócona

Powróćmy do Listu Pawła do Koryntian. To, co jest tam napisane o strukturze wspólnotowej Kościoła, nie jest teoretyczną dyskusją, lecz wyjaśnieniem jednego z konkretnych problemów spornych: *Łudzie Chloe donieśli, że (...) zdarzają się spory* (1 Kor 1,11). Podobnie rzecz się ma we wspomnianym Liście św. Jana (2,18-27; 4,1-6). Sytuacja z czasów apostołskich powtarzała się w ramach historii Kościoła stale. Imiona ludzi, okoliczności, problemy, punkty sporne zmieniają się, ale obraz Kościoła spokojnie żyjącego z komunii w duchu wewnątrztrynitarnej jedności pozostaje najwyraźniej utopią. Zadanie jej realizowania jest dzisiaj tak samo aktualne jak niegdyś.

„Zakłócenie” wspólnoty jest jej wypaczeniem. Każdy zaś, kto sądziłby, że Kościół w duchu wspólnoty (komunijny) to utopia, wypowiedziałby największą z możliwych do pomyślenia herezję eklesjologicznych. Kościół niekomunijny zagubiłby wszelki sens i cel istnienia. Chrześcijanin zaś winien pytać siebie, w jaki sposób może się przyczynić do tego, by Kościół stawał się, był i pozostał wspólnotą komunikującą. Jest to oczywiście bardzo delikatny problem teologiczny i musi zostać rozwiązany na przedpolach teologii. Jak powstaje komunikowanie, czym ono jest, kiedy i dlaczego bywa zakłócanie oraz co można uczynić, aby usunąć te zakłócenia? Odpowiadając możemy się posłużyć teorią komunikowania, dyscypliną, która zwłaszcza w ostatnich latach niezmiernie się rozwinęła. Jest ona obecnie w dużej mierze nauką formalną, uprawianą na wysokim poziomie abstrakcji, a jednak jej najważniejsze osiągnięcia poznawcze są łatwo uchwytne i przekazywalne. Należy sięgnąć do nich jako do inspiracji służącej refleksji, w celu przezwyciężenia wielu problemów komunikowania, które pojawiają się zarówno wewnątrz Kościoła, jak i w jego stosunkach ze światem.

Problemy istoty, zakłócenia i przywrócenia komunikowania to ważne czynniki obecnej sytuacji WEWNĄTRZKOŚCIELNEJ. Można tu wymienić wiele przykładów sytuacji krytycznych, chociażby wyjaśnione na II Soborze Watykańskim, ale nawet w przybliżeniu nie spełnione, komunijne zjednoczenie Kościołów wschodnich w ich relacji do Kościoła powszechnego. Podobnie – nie najświeższy, lecz ciągle

na nowo odżywający konflikt w relacji URZĄD NAUCZYCIELSKI KOŚCIOŁA I TEOLOGIA, szczególnie na polu teologiczno-moralnym i etycznym. Podobnie jak najbardziej aktualnym problemem komunikowania jest sprawa RELACJI MIĘDZYKOŚCIELNYCH. Problem EKUMENICZNY jest właśnie problemem komunikowania: chrześcijaństwo uległo rozbiciu w różnych czasach i miejscach na tle sporów o to, jak człowiek wierzący winien prawidłowo pojmować objawienie. Tak powstały rozdzźwięk winien być zastąpiony zgodą, aby możliwe było odtworzenie wspólnoty kościelnej.

Najważniejszym problemem dzisiejszego duszpasterstwa jest – jak wiemy – sprawa autentycznego, stosownego i odpowiadającego dzisiejszym czasom PRZEKAZYWANIA WIARY. To również jest problem komunikowania. Jak można przekazać orędzie wiary chrześcijańskiej w taki sposób, aby rzeczywiście dotarło ono do odbiorcy i by *otwarło się jego serce* (Dz 16,14)? Wszystko się komplikuje, gdy stwierdzimy, że adresat, tak jak w telewizji kablowej, otrzymuje szeroką paletę konkurencyjnych propozycji; nie jest to już sytuacja minionych czasów, kiedy Kościół miał na Zachodzie monopol przekazu treści. Dziś istnieje wiele systemów wartości i treści, które – tak samo jak Kościół – „działają w eterze”.

Zasady komunikowania się

KONIECZNOŚĆ KOMUNIKOWANIA SIĘ. Pierwszy aksjomat teorii komunikowania brzmi: Nie jest możliwe niekomunikowanie³. Istnieją po temu dwie racje: pierwsza to istota poznania ludzkiego, druga zaś to społeczna natura człowieka. W szczególny sposób prawdy duchowe potrzebują przekazu dialogicznego. Nie jest bowiem przypadkiem, że religia chrześcijańska może być określona jako dialog objawiającego się Boga i wierzącego człowieka. Odpowiada to z jednej strony przyjaźni Boga wobec ludzi, który rzeczywiście chce się z nimi komunikować, a z drugiej strony możliwości poznawania prawdy przez człowieka. Dlatego prawda w Kościele może być rozpoznawana tylko w dialogu. Teologiczna teoria poznania od dawna już wskazywała na wewnętrzną spójność takich źródeł teologicznych, jak Pismo Święte, tradycja, Urząd Nauczycielski, teologia oraz zmysł wiary wspólnoty Kościoła.

³P. Watzlawik, H.J. Beavin, D.D. Jackson, *Menschliche Kommunikation. Formen, Störungen, Paradoxien*, Bern – Stuttgart – Wien 1985⁷.

KRĄG REGUŁ TEORII KOMUNIKOWANIA. Na komunikowanie składają się trzy istotne elementy: NADAWCA, który chce coś zakomunikować; PRZEKAZ, czyli to, co ma być nadane; ODBIORCA albo adresat przekazu nadawcy. W zwykłej rozmowie odbiorca natychmiast staje się nadawcą – informuje, jak rozumiał daną wiadomość (feedback), co o niej sądzi i jak sam widzi sprawy, o których była mowa. Komunikowanie ma zatem strukturę podobną do kręgu. Fakt, iż komunikowanie nigdy nie zachodzi bezpośrednio pomiędzy „ty” i „ja”, lecz zawsze jest zapośredniczone przez medium, wprowadza dodatkowy problem. Nadawca musi swoje myśli wyrazić, tj. przenieść je ze swego wnętrza do innego systemu (języka). Musi zakodować swój przekaz. Kodowaniu ze strony nadawcy odpowiada dekodowanie przez odbiorcę. Tak więc proces komunikowania jest bardzo złożony.

Uczestnicy rozmowy mogą pozostawać wobec siebie w różnych relacjach. Gdy są to osoby równej rangi, mówimy o symetrycznym przebiegu komunikowania. Gdy przekaz wymieniają między sobą partnerzy różnej rangi, powstaje komplementarna sytuacja rozmowy. Nie jest jednak powiedziane, że role są od samego początku ustalone i pozostają niezmiennie. Mogą się w każdym momencie zmieniać: na poziomie teologiczno-naukowym być może dominuje teolog, jednak na poziomie praktyki i duszpasterstwa dominować będzie raczej proboszcz. Na poziomie religijnym powstaje w tym miejscu dodatkowa komplikacja wprowadzona przez pojęcie posłuszeństwa. Zakłada ono istnienie sytuacji asymetrycznej lub komplementarnej. Czy jednak może wówczas dojść do rzeczywiście argumentatywnej dyskusji? Ta ostatnia zakłada wszakże układ symetryczny: do prawdy dochodzi się nie przez rozkazy i podległość, lecz przez rozważanie wszystkich punktów widzenia. Autorytet sam z siebie nie uzasadnia prawdy. Czy więc posłuszeństwo jest możliwe?

PRZEKAZ jest w procesie komunikowania najważniejszym elementem, skoro stanowi niezbędne medium jego zaistnienia. Przekaz składa się z czterech elementów. Na pierwszym planie stoi TREŚĆ: przekaz zapośrednicza informację, że coś jest lub zachowuje się tak a nie inaczej (powodzenie komunikowania jest pełne teologicznego sensu). Zarazem jednak nadawca z każdą informacją przekazuje coś z siebie. Tworzy to element SAMOUDZIELANIA SIĘ (nadawca jest teologiem niemieckojęzycznym: z ustnego wykładu można wywnioskować o jego charakterze, temperamencie, stanie głosu itd.). Szczególnie przy wypowiedziach religijnych i teologicznych należy zwracać uwagę na ów drugi element: chrześcijanin czyni to jako wierzący, tj. jako człowiek przyjmujący pewien sens, którego jednak nie potrafi przedłożyć do końca argumentatywnie. Trzecim elementem przekazu jest RELA-

CJA. Nadawca stale wypowiada, co sądzi o odbiorcy oraz jak go traktuje (można np. odebrać ten tekst jako miły, belferski albo jako autorytarny bądź sprytnie przekazany). Wreszcie każdy przekaz związany jest z APELEM. Nadawca chce swoim przekazem coś osiągnąć (niniejsze rozważania pragną wnieść nową wiedzę oraz przyczynić się do lepszego radzenia sobie w sytuacji niezgody). I znowu należy ze szczególną uwagą podejść do tego elementu w dziedzinie religijno-teologicznej. Mowa chrześcijańska jest – wprost lub nie wprost – przepowiadaniem zbawienia w Chrystusie. Zawartość apelatywna ma więc najwyższą wagę: jej celem jest osiągnięcie trwałej wspólnoty człowieka z Bogiem. Chrześcijańskie komunikowanie służy communio zbawienia.

Zakłócenia komunikowania

ODMOWA ROZMOWY wynika z lekceważenia konieczności komunikowania się w ogóle, a szukania prawdy w szczególności. Innym powodem może być przekonanie, że posiada się już prawdę i nie należy jej kwestionować⁴. Takie stanowisko, które można nazwać dogmatyzmem, pomija fakt, że prawda nie jest przedmiotem, który trzyma się w rękach, lecz że musi się ją stwierdzać ciągle na nowo w stale zmieniających się horyzontach historii, umieszczać w nowych kontekstach, wypowiadać z głębszym przekonaniem i rzeczowością. Przyczyną dogmatyzmu jest lęk, a postawa dogmatyzmu wiedzy łatwo do fundamentalizmu i fanatyzmu. W sferze religijnej prowadzi do sekciarstwa⁵.

ZAKŁÓCENIA NA POZIOMIE TREŚCI I RELACJI. Na poziomie treści prawda jest perspektywistyczna: można ją poznawać tylko z określonych punktów. Dlatego też różne sposoby myślenia, różnice kulturowe i społeczne pomiędzy nadawcą i odbiorcą mogą być powodem nieporozumień i przyczyniają się np. do szczególnie dużych trudności w dialogu międzywyznaniowym. Na poziomie relacji natomiast nadawca przy każdej informacji odnosi się w jakiś sposób do odbiorcy. Chodzi o problem stylu. Ponieważ w przypadku religii chrześcijańskiej chodzi przede wszystkim o przykazanie miłości, zatem styl wzajemnych relacji wysuwa się tu na pierwsze miejsce, zakłócenia są szczególnie szkodliwe, a przepowiadanie przy ich istnieniu jest nie-

⁴J. Niewiadomski (wyd.), *Eindeutige Antworten? Fundamentalistische Versuchung in Religion und Gesellschaft*, Thaur k. Innsbrucka 1988, s. 30.

⁵Zob. artykuły w cytowanym powyżej dziele.

skuteczne. Często przywoływany w ostatnich latach „afekt antyrzymski”⁶ polega w gruncie rzeczy na zakłóceniu relacji. Wyraźnie stało się to widoczne na przykładzie nominacji biskupich w krajach niemieckojęzycznych. Zakłócenia przez pomieszczenie płaszczyzn treści i relacji następują często z tego powodu, że prawda jest zapośredniczona historycznie i personalnie. Dochodzi więc do tego, że – a dotyczy to w szczególności sposób prawd religijnych – obie płaszczyzny zostaną tak przemieszane, iż problemy treściowe zostają przeniesione w sferę relacji, poróżnienie zaś w relacjach jest przedstawiane jako niezgoda w sferze treści. Dla pierwszego przypadku typowym przykładem jest myślenie ideologiczne. Wiąże się ono pierwotnie z interesami jednego partnera lub obu i przebiega zgodnie z zasadą, że nic nie może zaistnieć, czemu istnieć nie wolno. Kierunek może być jednak także odwrotny. Rzeczowa dyskusja bywa zamknięta ze względu na domniemany spokój, który winien być zachowany na płaszczyźnie relacji. Można wszak czasem usłyszeć, że nie powinno się mówić o pewnych problemach kościelnych, gdyż Ojciec Święty lub biskup mógłby się tym zmartwić czy zostać obrażony. Zapomina się jednak wtedy, że urząd kościelny jest w służbie Kościoła i musi mieć na względzie jego dobro. Jeżeli to wszystko jest zagrożone przez nie wyjaśnione problemy, to wyjaśnienie ich może tylko pozytywnie służyć urzędowi. Z drugiej zaś strony wykluczenie dyskusji nigdy nie rozwiązuje problemu, lecz najwyżej go odwleka, jeżeli nie powiększa.

ZAKŁÓCENIA APELU. Nadawca zawsze chce coś osiągnąć za pomocą swego przekazu. Zamiar ten może być nawet jedyną motywacją komunikowania. Z całą pewnością taki właśnie jest cel przepowiadania chrześcijańskiego. Dlatego też bardzo łatwo może dojść do tak silnego skupienia się nadawcy na sukcesie swego apelu, że zaniedbana zostanie argumentacja. Można także wyobrazić sobie sytuację, w której nadawca w ogóle nie będzie w stanie przekonać argumentatywnie o słuszności swych zamiarów, ponieważ nie istnieją żadne podstawy do ich poparcia. Nadawca staje się wtedy tendencyjny. Posługuje się środkami propagandy, w której mniej chodzi o prawdę i słuszność, bardziej zaś o oddźwięk ze strony odbiorcy. Dziedzina religii jest szczególnie narażona na tego typu zakłócenia, gdyż w niej, z samej natury rzeczy, element apelatywny jest bardzo silny. Tak np. pedagogika religijna posługiwała się wcześniej wywoływaniem lęku, aby wymóc posłuszeństwo przykazaniom. Dla chrześcijan bardzo często

⁶ Pojęcie to weszło w obieg dzięki H. Urs v. Balthasarowi, tegoż, *Der antirömische Affekt*, Freiburg 1974.

„podgrzewano ogień piekielny”. Wzorcowy przykład myślenia fałszywą metodą apelatywną to argumentacja rzymskiego teologa na kongresie w 1988 r., kiedy to twierdził on, że zapobieganie ciąży jest mordem⁷. I w tym przypadku zachowuje ważność twierdzenie dawnych logików: niczego nie dowodzi ten, kto dowodzi zbyt wiele.

ZAKŁÓCENIA W BŁĘDNYM DEKODOWANIU. Mówimy tutaj o zakłóceniach na poziomie relacji, które są zawinione przez odbiorcę. Tak samo jak nadawca, nie pozostaje on neutralny wobec partnera, lecz zachowuje swe sympatie i antypatie. Mogą one być obiektywne, lecz mogą także wynikać z błędnego roszczyfrowania przekazu. Nadawca miał dobre zamiary, ale partner poczuł się zaatakowany jego tonem. Przyczyny takiego subiektywnego błędu w dekodowaniu mogą leżeć na różnych poziomach języka. Nierzadko wynikają z obrazu siebie, jaki ma odbiorca, często zaś orędzie zawarte w przekazie nie jest w ogóle słyszane. Istnieją również nie tylko pojedyncze przyczyny; mogą się one sumować lub wręcz potęgować. Liczne antypatie wobec Kościoła i jego przedstawicieli sięgają korzeniami zakłóceń w dekodowaniu. Chrześcijanka, która bardzo cierpi z powodu patriarchalizmu kościelnego, powiedziała kiedyś, że koncelebracja jest dla niej widokiem nieznośnym. Widzi w niej wyłącznie panowanie mężczyzn, co budzi jej opór wewnętrzny. Faktu, że koncelebracja ma swoje głębokie uzasadnienie „komunikatoryjne”, nie może ona ani spoznać, ani docenić.

Drogi do konsensu

Dysensusy są nie do uniknięcia. Nie wynikają tylko z (obiektywnej lub subiektywnej) winy, ale – jak widzieliśmy – także z nieporozumień trudnych do uniknięcia. W każdym wypadku, przez szacunek dla prawdy i miłość, należy je usuwać, szczególnie gdy chodzi o niezgodę religijną lub teologiczną. Jak tego dokonać? Droga jest taka sama jak w działaniu lekarskim. Składa się z przypomnienia (anamneza), diagnozy i uzdrawiającej terapii.

Do ANAMNEZY należy w naszym przypadku umiejscowienie punktu wyjścia danego sporu. Często ma to już niewiele wspólnego z aktualną sytuacją. Dotyczy to w szczególnym sensie Kościoła. Widzimy dzisiaj, jak w tworzeniu się różnych wyznań nie zawsze decydującą rolę odgrywały czynniki teologiczne, lecz nade wszystko elementy

⁷Por. KNA, korespondencja nr 541, sobota, 12 XI 1988. Bliski papieżowi prof. Carlo Caffara stwierdził: „Kto używa środków antykoncepcyjnych, nie chce powstania nowego życia, gdyż uważa, za rzecz »złą«, iż jego »ofiara« istnieje”.

biograficzne, kulturowe, społeczne i narodowe. Głośnym przykładem jest tutaj powstanie wspólnoty anglikańskiej. Kiedy rejestrujemy dzisiaj silną awersję wobec „Kościoła urzędowego”, musimy uświadomić sobie, że jej przyczyny leżą również w sposobach samoprezentacji i w zachowaniach Kościoła, których nie rozumieją ludzie wyrosli w środowisku demokratycznym, czyli takim, gdzie we wszystkich dziedzinach – poza religijną – współdecydowanie, wybory, dyskusyjne szukanie decyzji weszły w obyczaj. Jednostkowe decyzje, nieprzejrzyste rozstrzygnięcia, tajemnicze działania nie spotykają się więc ze zrozumieniem, sprawiają wrażenie anachronizmu, który w efekcie jest przypisywany samemu orędiu, jakie dostojnicy chcieliby zakomunikować⁸.

Na drugim miejscu przychodzi DIAGNOZA, w której poszukuje się czynników leżących u źródeł zaistniałego sporu. Spośród czterech elementów przekazu należy tu szczególną uwagę poświęcić relacji. Jeżeli na tym poziomie panuje niepokój, nie ma sensu działać argumentatywnie. Nie wróży także powodzenia często pojawiające się usiłowanie wyłączenia tego poziomu i skupienie się tylko na istocie rzeczy. Stłumione uczucia wybuchną na nowo przy pierwszej lepszej okazji.

TERAPIA idzie za diagnozą. Jeżeli zakłócenie występuje na poziomie relacji, to tam należy ją zastosować. Gdy pojawiają się problemy z kodowaniem i dekodowaniem, należy je usunąć. Ze względu na krąg komunikowania łatwiej to powiedzieć niż wykonać: rozmowa jest wszakże niemożliwa, a właśnie ją należałoby zacząć, aby osiągnąć zgodę... Poza tym warto mieć na względzie, że przyczyny zakłóceń często pozostają nie uświadomione. Samemu nie można ich wykryć. Pomocą może być tutaj doświadczony psycholog, a na obszarze religijnym – mistrz życia duchowego. Gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci zawsze korzysta i on też może tak zadziałać, aby spór został zakończony.

Zgodnie z naszym teologicznym podejściem skupimy się szczególnie na dyssensie rzeczowym. Dotyczy on problemu prawdy bądź przynajmniej prawidłowości – a prawda stanowi najistotniejszą troskę chrześcijańskiego przepowiadania. Niezгода na poziomie treści rzeczowych powstaje zawsze wówczas, gdy nadawca przedstawi pogląd, którego wartość (prawdziwość bądź prawidłowość) nie może być przez odbiorcę zweryfikowana ani w dialogu, ani przez kontekst,

⁸ Zapoczątkowany na II Soborze Watykańskim system rad nie całkiem jeszcze dojrzał.

i wskutek tego budzi w nim wątpliwości. Ażeby umożliwić dalsze prowadzenie rozmowy oraz osiągnięcie zgody, należy uruchomić DYSKURS lub PROCES ARGUMENTATYWNY.

Można tu wyróżnić trzy fazy: u odbiorcy powstały wątpliwości co do prawdy (prawdziwości) jakiejś opinii (PROBLEMATYZACJA WARTOŚCI); musi więc nastąpić faza BUDOWANIA WARTOŚCI. Strona katolicka (reprezentowana np. przez dogmatykę) musi zestawić wątpliwości (strony przeciwnej) i przekonanie (własne). Dokonuje się to przez argumenty, które mają przekonać odbiorcę, aby zgodził się z przesłankami. Dopiero potem może on uznać wartość wniosków. Trzeba przy tym pamiętać, że nie można rozciągać argumentacji w nieskończoność. Tu, jak i wszędzie, zakazany jest regressus in infinitum który nigdy niczego nie uzasadni. Dla konkretnego procesu argumentatywnego oznacza to, że między nadawcą i odbiorcą musi istnieć jakaś podstawowa zgodność, która już nie jest problematyzowana. Obecnie problem podstawowego konsensu lub podstawowego dyssensu należy do najważniejszych w dialogu ekumenicznym. Im szersze pole i intensywniejsze napięcie podstawowego konsensu da się zarejestrować, tym większe będą szanse na powodzenie dyskursu. Gdy w wyniku podstawowego konsensu i „ratyfikacji” przedstawionych argumentów osiągnie się u odbiorcy przejście od wątpliwości do pewności, można mówić o konsensie. Trzecia faza – UZNANIA WARTOŚCI – została osiągnięta. Dyskurs zakończył się sukcesem. Jeśli zaś nie – dyssens trwa nadal.

Nasz szkic zakłada idealną sytuację rozmowy. Dialog jest symetryczny, przynajmniej na poziomie relacji nie ma między partnerami żadnych różnic, nie istnieje też presja natychmiastowego osiągnięcia sukcesu. Partnerzy są zupełnie niezależni i wolni. Taka sytuacja występuje jednak rzadko. Katolicy w rozmowie teologicznej są związani dogmatycznie, a odejście od dogmatu wiąże się z represjami (taka sytuacja występuje zresztą nie tylko w Kościele rzymskokatolickim). Tak więc powstaje problem posłuszeństwa wobec władzy kościelnej, a wraz z nim problem możliwości autentycznej argumentacji teologicznej jako takiej. Czy zobowiązanie do posłuszeństwa nie zakłóca wszelkiego autentycznego rozwiązywania problemów w Kościele?

Posłuszeństwo we wspólnocie Kościoła

Z katolickiego punktu widzenia problem wynika z faktu, że ten, kto sprawuje urząd kościelny, pełni nie tylko funkcję pasterza, lecz także nauczyciela. Jest bezsporne, iż w katolicyzmie także teolog ma władzę nauczania, która rządzi się swoim prawem, ale jest zarazem podporządkowana temu, kto sprawuje urząd. Wynika z tego, że teolog

jest zobowiązany do posłuszeństwa wobec władzy kościelnej. Czy więc może on spełnić swoje zadanie prowadzenia naukowego dyskursu? Czy nie stoi raczej zawsze w sytuacji rozmowy „asymetrycznej”, w której per definitionem jest uczestnikiem podporządkowanym i ostatecznie stojącym na pozycji niższej? Ujmując rzecz praktycznie: co się dzieje, gdy teolog, wskutek naukowo ugruntowanego poznania, w jakiejś materii dochodzi do innych wniosków niż Urząd Nauczycielski Kościoła?

W odpowiedzi należy stwierdzić, że wiara chrześcijańska jest dostępna racjonalnie. Jako religia Boskiego Logosu ma ona „logiczną” strukturę. Wiara opiera się zawsze TAKŻE na wiedzy! Oczywiście nie tylko na niej. Jest ona – pomijając cały wymiar duchowy – wiarą wspólnoty, pochodzi ze wspólnoty i jest w niej wyznawana oraz w niej znajduje swe ujście. Wiara jest WIARĄ KOŚCIELNĄ. Oznacza to, że rozwija się ona w ramach procesów komunikowania. Dlatego w wypowiedziach wiary chodzi nie tylko o prawidłowość poznawczą formuł, lecz także i stale o ich recepcję w kościelnych schematach interpretacyjnych. W tym względzie problemy komunikowania wiary są także problemami porządku i dyscypliny. Jako takie podlegają kompetencji Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Samo to jest stwierdzeniem teologicznym.

W rzeczywistości jednak zawsze istniało napięcie między urzędowym i teologicznym przepowiadaniem nauki wiary. Dotykało ono nie tylko marginalnych postaci po stronie nauki, lecz nawet najbardziej znaczących jej przedstawicieli, nie wyłączając samego Tomasza z Akwinu. Te przykłady wyraźnie pokazują – zauważmy to przy okazji – że w sytuacji wielu napięć zabrakło wypracowania, a jeszcze bardziej zastosowania prawdziwych strategii konfliktów.

Teologia, jeśli nie chce być tylko organem wykonawczym urzędu kościelnego (co zaprzeczałoby jej istocie), musi strzec własnych prawideł działania. Są one jej zadane jako po części nauce, po części jako tej nauce, tj. nauce wiary. Teologia ma zatem różne zobowiązania. Tam gdzie Urząd Nauczycielski wypowiada mocą swej ostatecznej zobowiązawalności jakiś sąd, teolog musi w duchu wiary okazać posłuszeństwo. Oczywiście, jest dzisiaj możliwe do wykazania tylko w nielicznych przypadkach, że takie sądy zostały wyrażone⁹. Najczęściej przypadki sporów i dyssensu zdarzają się przy nie nieomylnym

⁹ Za „nieomylnie” uważa się takie nauczanie, które wyraziście (manifesto) jako takie zostało podane (CIC, can. 749, §3). Gdy chodzi o wypowiedzi papieskie, to po I Soborze Watykańskim chodzi wyłącznie o dogmat Wniebowzięcia.

nych wypowiedziach Magisterium. Obecnie zauważa się silne tendencje do zacierania różnic między dwoma typami nauczania Magisterium. Z pewnej perspektywy da się to zrozumieć, lecz nie ma ona żadnego ugruntowania w tradycji. Z logicznego punktu widzenia obowiązuje: to, co omylnie może być także czasem fałszywe. To zaś, co zostaje rozpoznane jako fałszywe, nie może liczyć na aprobatę – byłoby to nieszczerze. Kościelna tradycja wskazuje nadto, że tzw. teologiczne noty oceniające obowiązywalność nauki wiary były zawsze starannie hierarchizowane i wyważane¹⁰. Inne przedstawienie sprawy byłoby sprzeczne z faktami; nie omylnie nauczanie Magisterium wyrażało w ciągu historii opinie, które były nie do utrzymania, gdyż wynikały albo z fałszywych przesłanek, albo też wymagały rewizji z uwagi na warunki historyczne¹¹. Tylko fundamentaliści mogą zamykać oczy na fakty, nie ma to jednak nic wspólnego z prawdziwą argumentacją. Posłuszeństwo wobec nie omylnych wypowiedzi Urzędu Nauczycielskiego wiąże się więc z rzeczowymi uwarunkowaniami. Dlatego też posłuszeństwo nie oznacza po prostu poddaństwa. Posłuszeństwo chrześcijańskie jest postawą etyczną, która od słuchającego domaga się odpowiedzialności. Także posłuszeństwo musi być uzasadnione. Nie może wystarczyć zwykłe wskazanie na legalność posiadanej władzy, gdy chodzi o sprawy, które mają ukazać znaczenie swojej wartości argumentatywnie. Odpowiada temu także treść kanonu 212 (§3, CIC/1983), oparta na soborowej konstytucji „*Lumen gentium*” (nr 37), że do praw wszystkich chrześcijan (a więc także teologów) należy wolność wyrażania opinii; prawu zaś odpowiada także obowiązek¹². Nie można więc, nie narażając na szwank obowiązku posłuszeństwa wobec hierarchów kościelnych, także w sprawach nauczania, powiedzieć w sposób ciasny, że między nimi a innymi chrześcijanami możliwy jest tylko dialog asymetryczny. Wzajemna relacja nie jest bowiem tylko stosunkiem nadrzędności czy podporządkowania, czyli zwykłą relacją panowania, lecz wszyscy

¹⁰ A. Lang, *De loci theologici des Melchor Cano und die Methode des dogmatischen Beweises* (=MSTH 6), München 1925; A. Dulles, *Lehramt und Unfehlbarkeit: Handbuch der Fundamentaltheologie*, t. 4, s. 166-169; W. Beinert, *Kirchliches Lehramt*, w: *Lexikon der katholischen Dogmatik*, Freiburg 1988², s. 319.

¹¹ Przykładami mogą tu być: zakaz pobierania procentów w średniowieczu (DS, Index systematicus K 4fc), potępienie wolności myśli przez Grzegorza XVI (DS 2731) lub rozstrzygnięcia Papieskiej Komisji Biblijnej (DS 3505-3528, 3561-3593).

¹² Prawo to jest jednak w kan. 223, §2 znów ograniczone! Por. H. Pree, *Freie Meinungsäußerung – Recht und Pflicht des Christen*, w: „Anzeiger für die Seelsorge” 98 (1989) s. 3 n.

chrześcijanie są uprzednio wobec możliwych pozycji wewnątrz Kościoła nade wszystko członkami wspólnoty kościelnej, której zależy na prawdzie objawienia. Prawda zaś, której ma szukać i uzasadniać ją cały Kościół, potrzebuje dialogu. Tam, gdzie jest on zakłócony, należy przede wszystkim zastosować wszelkie reguły pomocne do zakończenia sporu o prawdę.

Rozmowa wewnątrzkościelna jest więc zasadniczo symetryczna. Faktycznie bowiem w czasie dialogu przypisywane będą różne role: raz ta, raz tamta strona musi przejmować rolę komplementarną, odpowiednio do argumentacji. Również ci, którzy pełnią urząd kościelny, są słuchaczami, zobowiązanymi do słuchania i stosowania się do „mądrych rad” laikatu oraz powinni z *ojcowską miłością baczenie rozważać (...) przedsięwzięcia, życzenia i pragnienia* przezeń przedstawione („Lumen gentium”, nr 37). Okazuje się tutaj, że ich urząd nie jest instrumentem siły, lecz służbą dla Kościoła i w Kościele. Dopiero w przypadku faktycznej, a nie tylko domniemanej, groźby rozbicia jedności Urząd Nauczycielski ma obowiązek rozstrzygania a inni chrześcijanie, w duchu prawdy, są zobowiązani do posłuszeństwa. Rozstrzygnięcie takie nie musi dotyczyć prawdy lub fałszu, może się także dokonywać na obszarze regulacji języka, ważnym z teoretyczno-komunikacyjnego punktu widzenia, samą zaś rzecz pozostawić otwartą¹³. Jedność Kościoła musi wszak być katolicka, czyli powszechna.

Tak więc Kościół pozostaje także pod względem posłuszeństwa chrześcijańskiego Kościołem dialogu, czyli prawdziwie i rzeczywiście wspólnotą-communio, potrzebującą komunikowania. Ukazuje swoją wiarę i wyjaśnia jej prawdy nie wyłącznie przez działanie władzy ani przez same dyskusje, lecz najbardziej przez ducha prawdy i miłości, którym jest Duch Święty. Teologia chrześcijańska pojęła Go jako osobową komunikację między Bogiem Ojcem i Bogiem Synem, czyli jak samą osobową miłość. Właśnie z tej miłości trynitarniej żyje Kościół, ona udziela się mu jako światło prawdy – zawsze w postaci i na podobieństwo ludzkiego komunikowania się.

tlum. Grzegorz Dobroczyński SJ

¹³ Wspólnota i komunikacja we wspólnocie możliwa jest tylko dzięki wspólnej mowie. Umożliwianie jej w przestrzeni wiary jest zadaniem Urzędu Nauczycielskiego. Nie znaczy to, że raz ustalona reguła jest optymalna i niezmienna. Zob. na ten temat wyjaśnienie Kongregacji Nauki Wiary *Mysterium Ecclesiae* z 24 VI 1973, nr 5.

Vincent J. Duminuco SJ

Wychowanie chrześcijańskie u progu nowego tysiąclecia*

Wzniosłym celem wychowania katolickiego słusznie pozostaje dążenie do pełnego rozwinięcia w uczniach talentów danych od Boga. Wychowanie takie nigdy nie zmierzało jedynie do przekazania informacji i przygotowania zawodowego, jakkolwiek jedno i drugie jest samo w sobie ważne, a także użyteczne dla nowego pokolenia liderów chrześcijańskich. Ostatecznym celem katolickiego wychowania jest raczej pełny rozwój osoby, prowadzący do działania. Zwłaszcza do działania przenikniętego duchem i obecnością Jezusa Chrystusa, Człowieka dla Innych. Celem działania, które opiera się na zdrowym zrozumieniu rzeczy, ożywionego kontemplacją, jest pobudzanie uczniów do samodyscypliny i inicjatywy, do uczciwości i dokładności. Jednocześnie chodzi o to, aby właściwie oceniać płytkie i powierzchowne, niegodne człowieka sposoby myślenia, niebezpieczne dla świata, któremu przyjdzie im służyć. Szkoły katolickie, chcąc pomóc uczniom w rozwijaniu działania apostolskiego, powinny stworzyć warunki do krytycznego badania wartości i do sprawdzianu wartości własnych. Naszym nadrzędnym celem wychowawczym winno być formowanie mężczyzn i kobiet dla innych – osób, które pojmują miłość Boga nie inaczej niż przez miłość do najmniejszego z bliźnich. Ten cel chrześcijańskiego wychowania chwieje się w obliczu większości ideałów, które ukazują młodym współczesne społeczeństwa w wielu krajach. Jakie są więc realne wyzwania katolickiego wychowania u progu trzeciego tysiąclecia?

Współczesne wyzwania

Wielu młodych przeżywa dzisiaj okres dojrzewania w radykalnym wyczerpieniu na własną wartość i łaknieniu akceptacji. Większa część

* Skrócona wersja tekstu *Some real challenges that face catholic education as it moves into the next millennium*, który Autor przedstawił na spotkaniach ze środowiskami edukacyjnymi w Warszawie i Gdańsku latem 1994 r.

tego bezładnego kolażu istniała już wcześniej. Wówczas jednak funkcjonowały struktury pomocne w osiąganiu konstruktywnego rozwoju: ustabilizowana bliska rodzina i żyjąca w pobliżu rodzina dalsza, wspólnota wartości i przekonań płynących z bardziej spójnego świeckiego i religijnego środowiska, klarowne granice akceptowalnych zachowań, postawa zaufania do znaczących instytucji. Dziś natomiast absolutyzuje się indywidualizm, podkreśla rolę jednostki jako kluczowego decydenta, dba się o własny rozwój. Wiąż pokrewieństwa redukuje się do współlistnienia na obszarze instrumentalnym: Co ja z tego mogę mieć? Wydaje się, że znajduje to odbicie w stosunku młodych do małżeństwa: w niechęci podejmowania zobowiązań małżeńskich i odpowiedzialności (my „żyjemy razem”) oraz łatwości porzucania partnera, jeśli nie wszystko idzie dobrze. Samo pojęcie zobowiązania na całe życie, czy to w małżeństwie, czy w życiu zakonnym, wydaje się wielu młodym niezrozumiałe.

Podjeżewam, że przy uwzględnieniu obecnego tempa przemian oraz ich złożoności, Booth Tarkington, tworząc dzisiaj, nie nazwałby swej powieści o dojrzewaniu „Siedemnastolatek”, lecz „Dwunastolatek”. Mamy bowiem do czynienia z ciągle młodszą i kulturowo sceptyczną młodzieżą. Wśród młodzieży dominuje osąd, że zbyt często była oszukiwana przez rodziców, prezydentów, profesorów. W efekcie już od czasu dojrzewania nastolatki boją się okpienia. Oczywiście, nie jest łatwo przywieść cynika do wiary. Stanie się osobą dla innych stanowi dla niepewnego nastolatka ogromne wyzwanie. Jak wychowawcy jezuicki odpowiadają dzisiaj na to powszechne wyzwanie? Czynią to poprzez pedagogię Ignacjańską. Pedagogia to droga, na której nauczyciel towarzyszy uczniowi. Nie wolno jej redukować tylko do metodologii i określenia właściwego światopoglądu, wiodących zasad, celów.

Pedagogia w duchu św. Ignacego

Aby skutecznie wychować, św. Ignacy i jego następcy formułowali nadrzędne wytyczne pedagogii. Wymienię tu niektóre z nich.

Ignacy rozpatrywał sytuację człowieka jako stan zachwyty i podziwiania Bożych darów stworzenia, wszechświata i samej ludzkiej egzystencji. W kluczowej medytacji o Bożej Obecności w stworzeniu Ignacy chciałby przenieść nas ponad logiczną analizą do uczuciowej odpowiedzi Bogu, który działa dla nas w całej rzeczywistości. Znajdując Boga we wszystkim, odkrywamy Boży plan miłości wobec nas. Rola wyobraźni, uczuciowości, woli i intelektu jest w Ignacjańskim

podejściu centralna. Wychowanie jezuickie implikuje FORMACJĘ CAŁEJ OSOBY: umysłu, uczuć, woli i ciała. Jesteśmy wzywani, aby w naszych szkołach integrować ten pełniejszy wymiar właśnie po to, by dać uczniom możliwość odkrycia sensu życia.

W przygodzie odnajdywania Boga Ignacy szanuje ludzką WOLNOŚĆ. Wyklucza to z edukacji jezuickiej wszelkie pozory indoktrynacji lub manipulacji. Pedagogia jezuicka powinna uzdolnić uczniów do badania rzeczywistości otwartym sercem i umysłem. By ochronić ich uczciwość, powinna też ostrzegać przed możliwymi pułapkami ich własnych założeń i przesądów, przed zawiłymi hierarchiami popularnych wartości, które mogą zaślepić na drodze do prawdy.

Ignacy ukazuje także ideał najpełniejszego rozwoju ucznia. Podkreśla w typowy dla siebie sposób magis-więcej, wskazuje na większą chwałę Boga. Magis odnosi się nie tylko do studiowania dziedzin akademickich, lecz również do działania. Podczas własnej formacji jezuici są tradycyjnie zachęcani do poznawania przez różne doświadczenia zakresu środków wyrazu posługi chrześcijańskiej oraz do osiągnięcia stanu wielkodusznego oddania. Nasze szkoły przejmują ten impuls Ignacjańskiej wizji. Mają inspirować w programach posługi do aktywnego doświadczenia i sprawdzenia akceptacji magis. W ten sposób uczeń może być prowadzony do odkrycia dialektyki działania i kontemplacji.

Nie każde jednak działanie prowadzi do większej chwały Boga. Dlatego Ignacy oferuje drogę odkrycia i wyboru woli Bożej. Decydujące jest rozeznawanie. Z tego powodu w naszych szkołach, kolegiach i uniwersytetach należy nauczać i praktykować REFLEKSJĘ I ROZEZNANIE. Dokonywanie wolnego wyboru dzisiaj, w obliczu konkurujących ze sobą wartości, które nas bombardują, jest niełatwe. Rzadko się zdarza, że mamy wszystkie dane do podjęcia wyboru. Zawsze są racje „za” i racje „przeciw”. W takiej sytuacji rozeznawanie staje się elementem kluczowym. Zakłada ono zbieranie faktów, a następnie refleksję, porządkowanie motywów, które na nas oddziałują, ważenie możliwych skutków, wartości i priorytetów. Zakłada też określenie, jakie skutki wywrą nasze znaczące decyzje na ubogich, którzy z kolei podejmują własne wybory i żyją w obliczu naszych rozstrzygnięć.

Odpowiedź na wezwanie Jezusa nie może prowadzić do egocentryzmu, lecz do tego, abyśmy sami byli i uczyli naszych studentów być altruistami. Światopogląd Ignacego jest skupiony wokół osoby Jezusa. Rzeczywistość wcielenia dotyka samego serca wychowania jezuickiego. Z tego właśnie powodu prawdziwym powodem istnienia szkół jest formacja mężczyzn i kobiet do życia dla innych w naśladowaniu

Jezusa Chrystusa – Syna Bożego, Człowieka dla Innych par excellence. Dlatego wychowanie jezuickie, w wierności wobec zasady wcielenia, jest humanistyczne.

Przy całym wysiłku formowania ludzi kompetentnych, świadomych i pełnych pasji, Ignacy nigdy nie tracił z oczu pojedynczych osób. Wiedział, że Bóg daje każdemu z nas różne dary. Bezpośrednio stąd wywodzi się jedno z najbardziej powszechnych principów jezuickiej pedagogii, mianowicie *alumnorum cura personalis*: autentyczna miłość i osobista troska o każdego z naszych wychowanków. W szkole jezuickiej odpowiedzialność wobec Boga za formację intelektualną i moralną spoczywa na nauczycielu. Szkoła jezuicka ma być wspólnotą „twarzą w twarz”, gdzie rozkwitają autentyczne relacje osobowe między studentami a nauczycielami. Faktycznie, bez takich relacji przyjaźni zagubiono by większość mocy naszego wychowania. Autentyczna relacja zaufania i przyjaźni między nauczycielem a uczniem stanowi bowiem nieoceniony warunek autentycznego przywiązania do wartości.

Jak więc – przyjmując jezuicki pogląd na świat – podejść do poszczególnych wezwań z którymi konfrontowane jest wychowanie do wartości, o którym tu mówimy?

Ograniczona wizja wychowania

Jako cel wychowania zakłada się często przekaz kulturowy, czyli przekazanie nowym pokoleniom nagromadzonej mądrości wieków. Z pewnością jest to zadanie ważne dla ochrony wszelkich wysiłków społeczeństw i całej rodziny ludzkiej. Niepowodzenie w ćwiczeniu i informowaniu młodzieży o tym, czego nauczyliśmy się sami, mogłoby prowadzić do tego, że każde pokolenie zmuszone byłoby do ponownego wynajdywania koła.

Oprócz przekazu kulturowego, ważne jest przygotowanie do znaczącego udziału w rozwoju kulturowym. Ludzkość trzeciego tysiąclecia będzie z pewnością potrzebować nowych sprawności technologicznych, ale o wiele bardziej jeszcze – miłującego rozumienia i krytycznego podejścia do wszelkich aspektów życia, po to, by podejmować decyzje (osobiste, społeczne, moralne, zawodowe, religijne), które poprawią nasze życie.

Wartości chrześcijańskie

Wychowanie zorientowane na wartości, takie jak nasze, formujące ludzi dla innych, nie zostanie zrealizowane, dopóki dzięki programom

przewidzianym na każdym poziomie nie umotywuujemy naszych uczniów do zastanowienia się nad implikacjami tego, co studują, dla sfery wartości. Nauczylismy się, niestety, że samo przyswajanie wiedzy niekoniecznie humanizuje. Miejmy nadzieję, że nauczylismy się także, iż nie istnieje wychowanie wolne od wartości. Bez wartości dryfuje się jak kawałek drewna na wodach oceanu. Wartości stanowią centrum życia osoby, każdego życia. Określają jego jakość, naznaczają szerokość i głębokość.

W każdej dyscyplinie akademickiej z dziedziny humanistyki i nauk społecznych – jeśli tylko jest uprawiana uczciwie – istnieje świadomość, że przekazywane wartości zależą od przyjętych przesłanek ideału człowieka. Nasze instytucje wnoszą istotny wkład w życie społeczne, wcielając w proces wychowawczy solidne, wnikliwe studium zasadniczych problemów i trosk człowieka. To jest powód, dla którego szkoły katolickie, kolegia i uniwersytety muszą zabiegać o wysoki poziom akademicki. Mówimy więc o czymś odległym od łatwych, powierzchownych haseł i sloganów, ideologii, emocjonalnych i egocentrycznych odpowiedzi, błyskawicznych, uproszczonych rozwiązań. Nauczanie i badanie, wszystko, co stanowi element procesu wychowawczego, ma w naszych instytucjach najwyższe znaczenie, gdyż odpierają one i odrzucają każdą częściową i zniekształconą wizję człowieka. Stanowi to kontrast do instytucji wychowawczych, które często, właśnie z powodu cząstkowych podejść do specjalizacji, mimowolnie pomijają zasadnicze pragnienia osoby.

Złożoność – zdolność refleksji

Z praktycznego punktu widzenia kluczowe problemy, z którymi borykają się ludzie u progu XXI w., nie są proste. Która z poszczególnych dyscyplin naukowych sama z siebie może być uprawniona do przedstawienia całościowych rozwiązań rzeczywistych problemów, takich jak np. badania genetyczne, zbiorowe przedsięwzięcia, definicje określające życie ludzkie – jego początek i kres, bezdomność i planowanie miast, ubóstwo, analfabetyzm, rozwój technologii medycznych i wojskowych, prawa człowieka, środowisko naturalne, sztuczna inteligencja? Wszystko to wymaga danych empirycznych i wiedzy technologicznej. Jednocześnie sytuacja domaga się też gwałtownie rozważenia wpływu tych zjawisk na ludzi z bardziej holistycznego punktu widzenia. Jeżeli więc proponowane rozwiązania nie mają pozostać jałowe, potrzebują dodatkowo perspektyw socjologicznych, psychologicznych, etycznych, filozoficznych i teologicznych.

Stale wzrastający potencjał kontroli ludzkich decyzji przynosi problemy moralne najwyższego rzędu. Nie można ich rozwiązać unidyscyplinarnie, gdyż chodzi tu o wartości ludzkie, a nie tylko o sprawy techniczne. Czy przygotowujemy naszych wychowanków do wiedzy i do kształtowania płynących z niej faktycznych przekonań, że sam postęp techniczny, jaki leży w zasięgu naszych rąk, nie usprawiedliwia nas w jego promocji i używaniu? Czy wzywamy jutrzejszych liderów do krytycznej refleksji nad założeniami i skutkami „postępu”? Czy skłaniamy ich do równoczesnego rozważenia możliwości i granic nauki? Czy pomagamy im zauważyć, że znaczące decyzje państwowe bądź finansowe bywają często nie tylko manifestami politycznymi, lecz także stwierdzeniami moralnymi?

Troska o bardziej holistyczne badania powinna istnieć w każdej instytucji wychowawczej. Ale w przypadku katolickich instytucji wychowawczych nauczanie i badania szczególnie nie mogą się obyć bez integracji różnych form poznania i teologii. Dlatego konieczne jest odkrywanie dróg, na których umożliwiłoby się uczniom wypracowanie zdolności refleksji, oceniania wartości i ich skutków dla istot ludzkich, szacowania poznawanych nauk pozytywnych i humanistycznych, rozwijanych technologii, całego spektrum programów społecznych i politycznych proponowanych zarówno przez proroków, jak i przez polityków. Cała trudność leży w pytaniu, jak to robić. Jakie perspektywy uwzględniać, by zaangażować uczniów studiujących historię, literaturę, nauki ścisłe, kulturę? Czy zwraca się uwagę na problem ubogich? Czy stawia się ważne pytania o to, jak należy używać i rozdzielać wspaniałe dary Bożego stworzenia pośród ludzi mniej szczęśliwych? Ta fundamentalna troska katolickiego wychowania jest zakorzeniona w biblijnym rozumieniu daru. Teologowie zauważają, że wszystkie dary, talenty, bogactwa poruszają się jak gdyby w okręgu. Po pierwsze dar pochodzi od Boga. Następnie jest on przyjęty i zaakceptowany jako swój własny. Z kolei następuje wzrastanie przez dzielenie się darem z innymi. Wreszcie dar zwracany jest Bogu w chwale i dziękczynieniu. W momencie, w którym powinno nastąpić dzielenie się darem, może jednak się zjawić wielka pokusa zatrzymania go dla siebie i przekształcenia w narzędzie pomnażania osobistej siły. Ta niebezpieczna pokusa zdobywania ciągle większej siły za pośrednictwem bogactwa staje się nienasycona. Tak sieje się ziarna niesprawiedliwości. Refleksja podobna do tej, o której mówimy, pomoże naszym uczniom unikać łatwych i fałszywych rozwiązań prawdziwych problemów, z którymi będą się zmagać w miarę dojrzewania.

Przewaga pragmatyzmu

Jednak z ważniejszych źródeł niepewności, o których dzisiaj mówią uczniowie, jest troska o możliwości zatrudnienia po zakończeniu nauki. Z pewnością obawa ta jest usprawiedliwiona.

W celu osiągnięcia rozwoju ekonomicznego, skądinąd usprawiedliwionego, wiele rządów podkreśla wyłącznie pragmatyczny element wychowania. W efekcie wychowanie zostaje zredukowane do ćwiczenia w wykonywaniu zawodu (job training). Ten trend bywa wspomagany przez interesy ekonomiczne, ale oddaje niedźwiedzią przysługę szerszym, kulturowym celom wychowania. W ostatnich latach instytucje akademickie w wielu częściach świata przyjęły tę wąską perspektywę określającą przestrzeń edukacji. Towarzyszy temu zatrwajające odwracanie się studentów od przedmiotów humanistycznych, nauk społecznych, psychologicznych, filozofii i teologii na korzyść studium biznesu, ekonomii, inżynierii lub nauk fizycznych i biologicznych.

W wychowaniu katolickim nie można tylko desperować nad faktami. Trzeba je również rozważać i działać. Znaczy to, że wychowanie katolickie musi się upierać przy integralnej formacji studentów za pomocą programów zawierających takie elementy edukacyjne, jak nauki humanistyczne, filozofia, perspektywy teologiczne, kwestie społeczne itd. Dodatkowo można zastosować metodę wtapiania w poszczególne specjalizacje tych elementów, które naświetla głębsze implikacje ludzkie, społeczne i etyczne studiowanego przedmiotu.

Globalny układ odniesień

Próg trzeciego tysiąclecia przynosi również wyzwanie związane z zakresem przygotowania młodszej generacji. Żyjemy w epoce, w której bezpośrednią przyszłością jest myślenie i działanie globalne. Międzynarodowe przedsiębiorstwa mnożą się gwałtownie, adaptując się do ogólnoświatowej społeczności, towarzystwa lotnicze szybko stają się „światowymi przewoźnikami”, media nadają programy przez satelitę na cały świat. My, którzy jesteśmy posłani, by budować królestwo Boże, nie możemy pozostać w granicach indywidualnego lub parafialnego entuzjazmu.

Liczne katolickie instytucje wychowawcze wykonały wiele kroków w kierunku współpracy międzynarodowej. Są to znaki prawdziwie „katolickich” impulsów, służących wcielaniu globalnego wymiaru w nasze programy wychowawcze, tak by nie było to nadzwyczajnym i okazjonalnym wydarzeniem, ale częścią struktury tego, co ma być

katolicką instytucją wychowawczą. Problem leży w określeniu celów programów międzynarodowych. Czy są to dyskretnie zawoalowane wycieczki turystyczne, czy planuje się je raczej tak, by ułatwić młodym zrozumienie, że poczucie różnicy nie jest równoznaczne z poczućciem niższości? Taka międzynarodowa świadomość może tylko pomóc, aby nasi studenci byli wyposażeni na całe swe życie w globalnej wiosce w głębsze zrozumienie i poszanowanie innych kultur oraz bogactw, jakie wnoszą one do rodziny ludzkiej.

Konkluzja

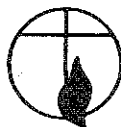
w okresie nauki w szkołach średnich młodzi są jeszcze wystarczająco wolni, by słuchać i szukać. Świat nie zamknął się jeszcze dla nich. Szukają głębszych odpowiedzi na pytania „dlaczego?” i „po co?” Młodzi są zdolni do marzeń, poruszają ich wizje, które być może się spełnią. Dlatego właśnie Kościół poświęca tak wiele środków i skłania tak wielu ludzi do edukacji młodych, gdyż poszukują oni źródeł życia poza akademicką doskonałością. Z pewnością każdy nauczyciel wart tego imienia musi wierzyć w młodych i zachęcać ich, by sięgali do gwiazd. Znaczy to, że wizja życia nauczycieli, rodziców, duszpasterzy musi być atrakcyjna dla uczniów, zapraszać ich do dialogu o sprawach, które się liczą. Musi zachęcać do internalizacji wartości głębokiego współczucia wobec cierpień ludzi, do stawiania się ludzmi pokoju i sprawiedliwości, autorami przemian w świecie, w którym tak bardzo szerzy się niesprawiedliwość, niewola, samolubstwo i konsumpcjonizm.

O wiele częściej niż młodzież wcześniejszych pokoleń uczniowie mają dziś powody by *odejść smutnymi* po zapoznaniu się z konsekwencjami chrześcijańskiej wizji życia, z perspektywą zasadniczej zmiany poglądu na świat, prowadzącą do odrzucenia miękkości i rozprasającego blasku obrazu życia dostarczanego przez chodliwe czasopisma i tanie filmy. Są bardziej niż każde inne pokolenie w historii wystawieni na kuszenie narkotykami i obiecaną przez nie uludę ucieczki od bolesnej rzeczywistości.

Młodzi potrzebują pewności, gdy patrzą w przyszłość. Od nauczycieli wszystkich poznawanych dziedzin potrzebują siły, gdy widzą swą słabość przy wchodzeniu w groźną tajemnicę życia. Potrzebują też dojrzałego zrozumienia i miłości. Jako nauczyciele w szkołach katolickich jesteśmy więc wzywani, aby, z zachowaniem koniecznego profesjonalizmu wychowania, być ludźmi Ducha. Czy chcemy, czy nie, jesteśmy *miastem położonym na górze*. To, kim jesteśmy, prze-

mawia głośniejsz niż to, co głośmy słowem. Słowa o całkowitym oddaniu i służbie ubogim, o sprawiedliwym porządku społecznym, nierasistowskim społeczeństwie, otwartości na Ducha itd. mogą przywieść młodych do refleksji. Autentyczny przykład zaprowadzi nadto ponad poziom refleksji, do pragnienia tego życia, które opisują słowa. Dlatego nasze stałe wrastanie w sferę Ducha musi prowadzić do życia taką pełnią, byśmy zaofiarowali młodym całościową alternatywę, gdy dokonują wyborów na całe życie i podejmują brzemienne w skutkach decyzje. *Bądźcie naśladowcami moimi, jak ja jestem naśladowcą Chrystusa.*

thum. Grzegorz Dobroczyński SJ



Grażyna Straus
Katarzyna Wolff

Piśmienność Polaków w epoce mediów*

Znawca i badacz kultury pisma Walter J. Ong twierdzi, że *dzisiaj (...) każda kultura wie o piśmie i jakoś jego skutków doświadcza*¹. Piśmienność wydaje się powszechną i oczywistą cechą naszego kręgu kulturowego. Pismo towarzyszy nam niemal wszędzie: w domu, szkole, na ulicy, w sklepie, pracy, kościele. Odczytujemy ceny, instrukcje, zakazy, pouczenia, ogłoszenia, zarządzenia, rozkłady jazdy pociągów, napisy w kinach, informacje na ekranie komputera, nawet reklamy telewizyjne, czytamy gazety, elementarze, modlitewniki, podręczniki, powieści itd.

Umiejętność pisania i czytania jest istotnym, a może nawet niezbędnym składnikiem naszego wyposażenia cywilizacyjnego i zazwyczaj nabywa się ją w toku zorganizowanej, często zinstytucjonalizowanej, rozbudowanej edukacji. Wielostopniowe wprowadzanie w świat pisma, słowa drukowanego jest podstawową częścią wszystkich współczesnych systemów oświatowych. Żaden z nich tak starannie, a przynajmniej w takiej skali, nie przygotowuje do poznawania innych dziedzin kultury, np. sztuki filmowej, muzycznej czy sztuk plastycznych. Jakkolwiek żyjemy w wieku mediów, nie uczymy się ani oglądania telewizji, ani słuchania radia.

Ludzie XX w. są w zasadzie czy przede wszystkim ludźmi piśmiennymi, których – zdaniem W.J. Onga – *proces myślenia nie wyrażał w sposób naturalny, lecz został ukształtowany czynnikami podporządkowanymi, bezpośrednio lub pośrednio, technologii pisma*². Prze-

* Nieznacznie rozszerzona wersja referatu, który został przygotowany na Forum Czytelnicze *Książka – Prasa – Video*, zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Czytelnicze 11 X 1994 r.

¹ W.J. Ong SJ, *Oralność i piśmienność. Słowo poddane technologii*, Lublin 1992, s. 32.

² Tamże, s. 113.

kształciła ona – już chociażby przez powszechność swego zastosowania – świadomość ludzką, formując sposób myślenia, który różni się zasadniczo od myślenia ludzi pozostających wyłącznie pod wpływem kultury oralnej. Wskażmy bodaj na wynikającą z linearności pisma możliwość oddzielenia przyczyn od skutków, dążenie do coraz większej precyzji, zdolność do tworzenia pojęć abstrakcyjnych, oderwanych od kontekstu sytuacyjnego.

Nowoczesne środki elektroniczne nie wyeliminowały wprawdzie typowych wytworów kultury pisma (druku), takich jak książka, lecz przyczyniły się do zmiany sytuacji, w której funkcjonują te wytwory, a zatem do zmiany ich statusu kulturowego oraz znaczenia społecznego.

Z jednej strony współczesne technologie otworzyły przed książką zupełnie nowe możliwości rozwoju. Nigdy dotąd produkcja książkowa nie była tak duża i różnorodna jak w epoce mediów. Nigdy tak szybko jak dzisiaj nie można było przygotować książki do druku i wydać, do czego niewątpliwie przyczynia się technika komputerowa. Dzięki telewizji książka stała się jednym z towarów oferowanych i reklamowanych masowemu audytorium na równi z innymi cywilizacyjnymi niezbędnikami, jak pralka, proszek do prania czy guma do żucia. Wchodząc w nastawione na możliwie najszerszy odbiór kanały telewizyjne, książka traci w pewnym sensie swój elitarny charakter wytworu kultury wyższej, mającego wyspecjalizowane czy nawet specyficzne sposoby docierania do wybranych kręgów publiczności. W zamian za to zyskuje rangę produktu naszej cywilizacji, atrakcyjnego i wartego przynajmniej tyle, ile inne jej wytwory, i co najważniejsze, tak jak one dostępnego dla każdego i bez wątpliwości, w sposób oczywisty pożądanego. To dzięki urządzeniom elektronicznym stało się możliwe wylansowanie nowego typu bohaterów książkowych i nowego typu czy rodzaju literatury. Znane powszechnie dzięki kinu, telewizji czy radiu osoby publiczne – politycy, piosenkarze, aktorzy, dziennikarze – zaczęli „się sprzedawać”, dzieląc się swymi przeżyciami, doświadczeniami także za pośrednictwem publikacji książkowych w formie pamiętników, wspomnień czy tzw. wywiadu-rzeki. Zaczęła się też pojawiać literatura „gorąca”, literatura „chwili”, która swą aktualnością dorównuje niemal gazetce, a przynajmniej ją przypomina. Miarą jej „rynkowej” wartości jest – podobnie jak miarą wartości gazety – przede wszystkim chwila bieżąca, „dzisiaj”, i aby ją sprzedać, trzeba tak jak gazetę jak najszybciej ją wyprodukować, bowiem jutro dostarczy już czegoś nowego. Właśnie dzięki nowoczesnym technologiom stało się możliwe – i często dba

się o to – wydawanie książki równocześnie z wprowadzeniem do kin jej adaptacji filmowej. Pojawiają się też książki pisane niejako wtórnie, na podstawie filmowych scenariuszy, zwłaszcza do tych filmów, które osiągnęły dużą popularność. Wydaje się nawet, że kierunek rozwoju niektórych gatunków literackich czy ich odmian, takich choćby jak horror, pewne typy fantastyki czy powieści sensacyjnej, zostały w jakimś stopniu wyznaczone, a przynajmniej współgrają z technicznymi możliwościami sztuki filmowej. Nie zaszkodzi również wspomnieć, że nawet telewizja korzysta z technologii pisma, proponując widzom np. telegazetę.

Z drugiej strony – jak twierdzą klasyczni znawcy przedmiotu, M. McLuhan i wspomniany W.J. Ong – wiek mediów za sprawą telefonu, telewizji i innych elektronicznych środków wprowadził tzw. wtórną oralność³. Jest to, w odróżnieniu od pierwotnej kultury tego typu, oralność kultury wysokiej technologii, która jest konsekwencją rozwoju pisma (druku) i niejako na nim się wspiera. Społecznym modelem tejże kultury jest McLuhanowska *globalna wioska*, w której człowiek – pierwotnie zbieracz pożywienia – całkiem nieoczekiwanie staje się zbieraczem informacji; żyjąc w epoce elektronicznej, jest także koczownikiem, jak jego przodek z epoki kamienia⁴.

Wtórna oralność pojawiająca się za przyczyną mediów takich jak telewizja zmienia niewątpliwie ludzką mentalność. Przekaz telewizyjny ze swą mozaikowością, równoczesnością, natłokiem zdarzeń, obrazów różnej wagi i z rozmaitych zakątków świata, tworzy całość, w której komunikaty wojenne, informacje o katastrofach żywiołowych mieszają się z plotkami z wyższych sfer, wynikami sportowymi, a okrutne obrazy śmierci głodowej w Afryce przeplatane są migawkami z sukcesów idoli i reklamami towarów luksusowych czy przedmiotów zbytku dostępnych w Warszawie. Czasoprzestrzeń rozmywa się, rozplywa we wszechogarniającej i w pewnym sensie niwelującej wczoraj i jutro teraźniejszości.

Ów sensualistyczny, nieliniarny, pozbawiony jakichkolwiek hierarchii elektroniczny świat wielości i różnorodności wskazuje, że wszystko jest możliwe, osiągalne i na pierwszy rzut oka nieograniczone, niewyczerpane. Stale bowiem nadarza się sposobność zaspokajania swych gustów, dzięki odpowiedniemu powielaniu sprawdzonych już schematów, standardów estetycznych. Ich kolejne odmiany spra-

³Tamże, s. 32; M. McLuhan, *Wybór pism*, Warszawa 1975.

⁴M. McLuhan, dz. cyt., s. 135.

wiają wrażenie czegoś nowego, jak owe wciąż udoskonalane kosmetyki czy proszki do prania tej samej marki, gwarantujące (jak ich starsze wersje) taką samą doskonałą gładkość skóry czy idealną biel, tylko jeszcze (!) doskonalszą, bo sięgającą (z impetem) w głąb. Ten nadmiar obiektów do wyboru niesie jednak w konsekwencji przesyty, zmęczenie, a nawet rezygnację z wyboru. Pozostaje się zwykle w świecie proponowanym przez wytwórców czy producentów, którzy pragną się dostosować, trafić w gusta większości. Taki mechanizm sprzężenia zwrotnego przypomina niekiedy błędne koło, albowiem wyjście z raz wykreowanego i wciąż samokreującego czy samoodtworzającego się świata staje się prawie niemożliwe. Ryszard Kapuściński twierdzi, że w świecie mediów *manipulacyjne zabiegi wielkich stacji telewizyjnych są robione pod gusta publiczności. Odbiorcy dostają dokładnie to, co chcą dostać. W przeciwnym wypadku przestaną oglądać i płacić. Trzeba zatem ciągle trafiać w gusta, a one z kolei są kształtowane przez media; to dzieje się finezyjnie na zasadzie dopasowywania się obu stron. Rezultatem jest nowa cywilizacja telewizyjna*⁵.

Wchodząc w obieg masowy, książka dociera do szerokich kręgów odbiorców o zmienionej mentalności. Zacytujmy jeszcze raz R. Kapuścińskiego: *Rozmawiałem niedawno z producentem jednej z wytwórni reklam w Stanach Zjednoczonych, bo oni zbadali, że uwagi widza amerykańskiego nie można utrzymać dłużej niż pięć sekund. Jeśli więc producent ma 7-sekundowy message reklamowy, to widz nie wysłucha końcówki i włącza następną stację. To choroba polegająca na ciągłym zmienianiu kanałów: telewizja może mieć ich 30, 40 czy 100. Jest to rodzaj zabawy, w której się przełącza kanały, ale nic się nie widzi. Owo schorzenie cywilizacyjne występuje wówczas, gdy człowiek jest bardzo zmęczony, a umysł nie jest w stanie skupić się na niczym. Przelatuje się więc przez kolejne obrazy. Na tym polega mechanizm manipulacji: stacja musi się dostać do tego umysłu, a z kolei ten stan umysłu jest utrwalony przez mechanizm 30-sekundowych obrazów. Dlatego tak zmniejszył się element myślenia krytycznego – na Zachodzie, poza nielicznymi stacjami, nikt nie nadaje już poważniejszych programów*.

Inną konsekwencją owych niemal niezmiernych możliwości wyboru środka, formy przekazu jakichś treści staje się zacieranie

⁵ Koniec wieku. Z Ryszardem Kapuścińskim rozmawiają Witold Bereś i Krzysztof Burnetko, „Tygodnik Powszechny”, nr 36/1994.

granic między nimi w potocznej świadomości. Czytanie seryjnych powieści traktuje się jako przedłużenie seriali telewizyjnych. Autorzy i wydawcy książek poszukują innych, pozatekstowych form wypowiedzi, a najczęściej jest to przedstawienie obrazowe. Coraz więcej powstających dziś książek popularyzujących różne dziedziny wiedzy, zwłaszcza wśród młodszych odbiorców, zawiera proporcjonalnie tyleż samo, lub nawet więcej, rysunków i zdjęć, ile tekstu do czytania. Młodsze dzieci uczące się języka obcego mogą sięgać do słownika z odpowiednią ilustracją. Zdarzają się już podręczniki historii literatury w formie komiksu, a część literatury szkolnej, mającej już swoje filmowe adaptacje czy aktorskie nagrania na taśmie, uczniowie poznają za pośrednictwem kasety video czy magnetofonowej. Niektórzy nauczyciele nie mają nic przeciwko takiemu przyswajaniu dorobku literackiego. Aby nie mnożyć już przykładów świadczących o zmianie statusu tego typowego wytworu kultury pisma w epoce mediów, jakim jest książka, wspomnijmy jeszcze tylko o wychodzących dziś w masowych nakładach „książkach-gryzaczkach” dla najmłodszych. Oglądając w księgarni produkty niektórych wydawców, trudno nieraz rozstrzygnąć, czy są one jeszcze publikacją książkową, czy już nie. Książka stała się zatem dzisiaj produktem powszechnie dostępnym nie tylko fizycznie, ale także – wskutek wielości swych form i odmian – intelektualnie niemal dla każdego, także dla odbiorców, którzy posługują się – jakby to określił Basil Bernstein – kodem ograniczonym, czyli odbierających świat w kategoriach znaczeń partykularnych, ściśle uzależnionych od konkretnego kontekstu⁶.

W przyjętej tu perspektywie poznawczej czytelnictwo to „pragmatyka” piśmienności, faktyczne społeczne wykorzystanie owej umiejętności cywilizacyjnej naszego kręgu kulturowego, jakim jest pisanie i czytanie w warunkach szerokiej dostępności wytworów kultury pisma. W badaniach przeprowadzonych przez Instytut Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej w 1992 r. ustalano ową pragmatykę na podstawie styczności z trzema typowymi środkami przekazu tej kultury: gazetą, czasopismem i książką. Wyróżniono trzy jednoznaczne postawy w odniesieniu do słowa drukowanego, trzy sytuacje kulturowe różnicujące mieszkańców Polski.

Pierwszą z nich określiliśmy jako sytuację pozostawiania poza piśmiennością. Znalazły się w niej osoby nie czytające ani gazet, ani czasopism, ani książek, które stanowiły 8% reprezentatywnej ogólno-

⁶B. Bernstein, *Odtwarzanie kultury*, Warszawa 1990.

polskiej próby dorosłego społeczeństwa. Połowa z tych osób to faktyczni analfabeci, co szósta zaś wyjaśniała swą postawę chorobą oczu. „Piśmienność od przypadku do przypadku” cechowała odbiorców sporadycznie sięgających po wspomniane środki. Przeglądali oni zwykle kupione przez domowników sobotnio–niedzielne wydania gazet, często tylko w celu zorientowania się w programie telewizyjnym czy rubrykach ogłoszeń, czasem sięgali po jakieś czasopismo, najczęściej magazynowe, w ciągu roku zaś czytali nie więcej niż 6 książek, będących niejednokrotnie przedmiotem lektury bliskich czy znajomych. W tej grupie znaleźli się również użytkownicy wyłącznie modlitewników. Tacy sporadyczni odbiorcy, o których części można by bez większej przesady mówić jako o osobach dotkniętych funkcjonalnym analfabetyzmem – stanowili 18% populacji. Systematyczne, regularne czytanie gazet, czasopism i ponad sześciu książek rocznie deklarowało 21% badanych, przejawiających „piśmienność na co dzień”.

Takie dość jednoznaczne postawy w odniesieniu do wszystkich trzech środków przekazu, poczynawszy od zupełnego braku zainteresowania, przez kontakty sporadyczne, do regularnego korzystania ze wszystkich, prezentuje blisko połowa badanej populacji. Pozostałych – a jest ich więcej niż połowa badanych – można zaliczyć do wielu kręgów odbiorców, którzy albo rezygnują z korzystania z któregoś z tych interesujących nas środków przekazu, albo różnią się częstością czytania, sięgania po każdy z nich. Najliczniejsi są regularni czytelnicy gazet i czasopism, stanowiący 13% populacji, następnie czytelnicy czasopism i książek – 10% oraz osoby systematycznie sięgające albo po gazety, albo po czasopisma, albo po książki – po 8%. Stosunkowo najrzadziej zdarzają się regularni czytelnicy zarówno gazet, jak i książek – 5%.

Stosunek do słowa drukowanego wyrażający się korzystaniem z gazet, czasopism i książek niewątpliwie różnicuje polskie społeczeństwo. Niemal co szósty dorosły mieszkaniec Polski znajduje się na obrzeżach kultury pisma, a co dwunasty – poza jej oddziaływaniem. Pamiętając jednak o wcześniejszych uwagach na temat statusu książki w epoce mediów, w odniesieniu do 3/4 polskiego społeczeństwa znajdujących się w kręgu kultury pisma nie można powiedzieć nic więcej ponad to, że w różnym stopniu korzystają z możliwości, jaką dała im nabyta umiejętność pisania i czytania. Nie deprecjonując bowiem faktu w miarę systematycznego czytania np. książek, sprawą otwartą pozostają zakorzenione w tradycji kultury pisma kryteria wyboru i hierarchie wartości porządkujące różne wytwory tej kultury.

Masowo czytana literatura popularna może być tylko inną formą doświadczania, przeżywania, wzruszania się, czyli doznawania wrażeń często ulotnych i pod wieloma względami podobnych do tych, które wywołuje ciągłe oglądanie seryjnej produkcji telewizyjnej. Nie ludźmy się, że namiętna czytelniczka wyłącznie np. Harlequina zechce w jakimś momencie sięgnąć po dzieła o znacznie wyższych wartościach artystycznych, których przyswojenie wymaga nie tylko pewnego wysiłku, ale i obycia z kulturą literacką. Jeśli zabraknie na rynku książek ulubionego gatunku czy popularnej serii, nasza czytelniczka najprawdopodobniej poprzestanie na odpowiednich magazynach, lub też ograniczy się do oglądania telewizyjnych seriali, zasilając zbiorowość sporadycznych odbiorców książek, którzy sięgają po nie, gdy natrafią na coś odpowiedniego, w tym przypadku coś przypominającego powieści ulubionego typu.

Nie należy jednak lekceważyć czytelnictwa literatury popularnej, eliminując z pola uwagi czy też unikając wnikliwszej analizy piśmienniczych (drukowanych) wytworów kultury masowej. Obfitość i różnorodność literatury popularnej obecna w dzisiejszej ofercie wydawniczej, opartej w dużym stopniu na kalkulacji ekonomicznej, świadczy, że ten typ piśmiennictwa jest najbardziej atrakcyjny dla większości odbiorców. Jego poczytność wskazuje bowiem, iż ukazując zwykle uproszczoną, lecz klarowną wizję świata, zaspokaja jakieś istotne potrzeby, tęsknoty, syci marzenia, wypełnia luki, budzi nadzieje, potwierdza przekonania.

Między różnymi utworami popularnymi, w obrębie każdej odmiany tego typu piśmiennictwa, istnieją różnice jakościowe, podobnie jak między dziełami o dużych walorach poznawczych czy artystycznych. Różnice te dostrzegają i odczuwają także odbiorcy, jakkolwiek nie zawsze potrafią zwerbalizować czy sprecyzować swoje kryteria oceny. Jednakże spośród wielu przeczytanych popularnych publikacji tylko część zyskuje w świadomości potocznej swą tożsamość czy samostność, wskutek tego, że czytelnicy zapamiętują i rozpoznają ich tytuły lub nazwiska autorów. Na przykład w obrębie beletrystyki obyczajowo-romansowej wymienia się powieści M. Rodziewiczówny, J. Courts-Mahlerowej, D. Steel i anonimowe „harlequiny”. Z literatury sensacyjnej czytuje się R. Ludluma, F. Forsytha, A. MacLeana i wielu innych, nie zapamiętanych rzemieślników pióra. I chociaż kryteria wartościowania odbiorców nie są wyraźne, to często oceniają oni i hierarchizują czytaną literaturę, twierdząc np., że pisarstwo M. Rodziewiczówny jest „lepsze” niż twórczość B. Cartland, ta ostatnia jest „gorsza” od D. Steel, a nie zapamiętany autor jakiegoś

„horroru” ustępuje współczesnemu klasykowi tego gatunku, S. Kingowi.

Istnienie produktów wszechogarniającej kultury masowej nakłada na środowiska opiniotwórcze powinność poświęcania im większej niż dotąd uwagi w celu poznania współcześnie zachodzących zjawisk w całym ich bogactwie i różnaitości. Wielopostaciowość współczesnej kultury i uznawanie równoprawności różnych jej odmian nie zwalnia od klasyfikowania i wartościowania, a więc dokonywania wyboru nie tylko „cenniejszych”, „ważniejszych” ze względu na uznawane kryteria postaci kultury, ale także oceny i wskazywania „lepszych” wytworów w obrębie każdej z nich. Możliwy i potrzebny, choć wcale niełatwy jest zatem trud porządkowania i hierarchizowania utworów popularnych. Tylko w ten sposób można uniknąć deprecjonowania kultury masowej czy literatury popularnej jako całości i pełniej zrozumieć istotę jej żywotności.



Anna Pawełczyńska

Ludobójstwo w systemach totalitarnych – Europa XX wieku*

Pięćdziesięciolecie zakończenia II wojny światowej w Polsce to nie tylko nasze narodowe Zaduszki – czas pamięci o poległych i zamordowanych, czas refleksji nad tragizmem losów kilku pokoleń. Rocznicą ta koncentruje równocześnie intelektualny wysiłek na weryfikacji faktów i podsumowaniu historycznych doświadczeń Europy XX w., a także na formułowaniu wniosków wyjaśniających mechanizmy regulujące nasze współczesne życie i wskazujących na teraźniejsze i przyszłe zagrożenia ludzkości.

Planowa eksterminacja

W 1939 r., zaraz po dokonaniu IV rozbioru Polski, obaj okupanci rozpoczęli stopniową eksterminację Polaków, stosowaną w pierwszej kolejności wobec wyższych warstw społeczeństwa. Do końca grudnia 1939 r. w tzw. Kraju Warty rozstrzelano około 30000 osób, a w Generalnej Guberni aresztowania i egzekucje rozpoczęto od ludzi znanych i powszechnie szanowanych. Również w 1939 r. sowieccy okupanci rozpoczęli akcję ludobójczą wobec Polaków od masowych aresztowań i wywózki przedstawicieli warstwy inteligentkiej.

Brak dowodów na temat współdziałania w eksterminacji polskiego społeczeństwa między ośrodkami władzy III Rzeszy i ZSRR. Istnieją poszlaki, że miały miejsce uzgodnienia i wymiana doświadczeń. Niewątpliwa jest natomiast wspólnota interesów. Priorytetowe znaczenie eksterminacji inteligencji charakteryzowało politykę obu okupantów. Propaganda sowiecka, posługująca się sloganem walki klasowej,

* Rozszerzony tekst referatu wygłoszonego 4 V 1995 r. w Wiedniu na Międzynarodowym Sympozjum „Miejsce Mauthausen w pamięci historycznej”, przeznaczonego do publikacji w języku niemieckim.

agresję społeczną sterowała jawnie w pierwszej kolejności na warstwy wykształcone i posiadające: inteligencję, szlachtę, zamożne mieszczaństwo. Władzom hitlerowskim chodziło o to samo – o całkowite unicestwienie tych warstw, które z racji przekazywanych od wielu pokoleń tradycji, poziomu kultury i wykształcenia, poziomu moralnego, zdolności twórczych, poczucia odpowiedzialności społecznej, zdolności organizacyjnych, mogły tworzyć ośrodki samoobrony przed totalitarnym ludobójstwem. Zagłada warstw społecznie wiodących, zdolnych do przekazu kultury, tworzenia ośrodków dowodzenia ważnych zarówno dla zbiorowego oporu, jak też niezbędnych dla funkcjonowania społeczeństw w okresie pokoju, była konsekwentnie prowadzona przez Niemców i Sowietów, a po wojnie kontynuowana przez władze sowieckie i jej polskich kolaborantów. Dokonana została zagłada ludzi mających autorytet ogólnonarodowy w środowiskach lokalnych. Zgodnie z planem eksterminacji narodu polskiego po całkowitym zwycięstwie hitlerowskich Niemiec i umocnienia ich władzy w krajach podbitych miała być zachowana rezerwa niewykwalifikowanej siły roboczej, wykorzystywanej do prac najcięższych i najbardziej niebezpiecznych, a także sezonowych (robotnicy ci mieli być skoszarowani w jednym regionie). Regulację liczby potrzebnych III Rzeszy w okresie wojny robotników prowadzono metodą ekonomiczną – przez nadmierne obciążenie pracą i niedożywienie. Dostawę ludzkiego „żywca” na przymusowe roboty prowadzono przez aresztowania, „łapanki” uliczne oraz przez organizowanie w miejscach zamieszkania przymusowych brygad roboczych. Po wojnie planowano masową sterylizację Polaków, lecz eksperymenty z tym związane należały już do funkcji obozów koncentracyjnych.

Organizacje zbrodni

Dla zbrodni ludobójstwa popełnianych w Europie Środkowej i Wschodniej przez III Rzeszę i ZSRR można znaleźć racjonalne uzasadnienia w celach polityki imperialnej, społeczno-demograficznej i ekonomicznej obu mocarstw. Organizacja i realizacja tych zbrodni nie byłaby możliwa bez upowszechnienia pseudoracjonalnych teorii uzasadniających nienawiść i pogardę do innych ludzi. Teorie te wykorzystywały podatność irracjonalnej strony ludzkiej natury na demagogiczną manipulację sterującą agresją.

Identyfikacja narodowa Niemców była od paru wieków na tyle silna, iż nie istniała konieczność wzmacniania jej przez upowszechnianie nienawiści rasowej czy narodowej. Dla realizacji imperialnych

celów hitlerowskiego rządu, odwołujących się do narodowej pychy, było jednak przydatne wskazanie Żydów jako wspólnego wroga, aby w ten sposób silniej zintegrować społeczność zdolną do każdej agresji. Identyfikacja narodowa Rosjan, a zwłaszcza rosyjski racjonalizm, kształtuje się od paru wieków w znacznej mierze na zasadzie programowo upowszechnianej przez kolejne rządy nienawiści wobec różnych narodów, a zwłaszcza Polaków. Tą nienawiścią (pobudzaną zarówno za cara, przed 1939 r., po 1944 i dziś) żywi się rosyjska tożsamość narodowa zagrożona kompleksami, systemami rodzimego terroru, a obecnie klęską komunizmu.

Do masowych realizacji zbrodni ludobójstwa niezbędne były w III Rzeszy i ZSRR zhierarchizowane struktury, na których szczycie stały wysoko kwalifikowane zespoły autoryzujące plan i system działań oraz zespoły metod gwarantujących ich wykonanie. Konieczna była koordynacja metod policyjnych, politycznych, administracyjnych i ekonomicznych oraz odpowiednich działań socjo- i psychotechnicznych, niezbędnych do indoktrynacji danej zbiorowości mającej brać udział w zbrodni. Konieczne było stworzenie odpowiedzialnej za całość lub fragmenty działań warstwy polityczno-urzędniczej oraz rzeszy szeregowych wykonawców. Stosowano wobec nich takie metody indoktrynacji, jakie ich degradowały moralnie lub sprzyjały uznaniu celów totalitarnego państwa za wartość wyższą. Odwoływano się również do najniższych pobudek i interesów, co pozwalało wyzwalać agresję w zamian za korzyści materialne. Stworzone zostały dwa imperia zła. Szowinizm i społeczną demagogię mobilizującą wykonawców zbrodni symbolizowali Hitler i Lenin. Twórcami monstrualnych mechanizmów skutecznego ludobójstwa byli Hitler i Stalin. Aby jednak ludobójstwo i zacieranie śladów zbrodni było możliwe, musiały uczestniczyć w tych działaniach wielkie, moralnie zdegradowane społeczności.

Najcięższe formy terroru

Obozy koncentracyjne stanowiły najbardziej drastyczną formę terroru, a sam fakt ich istnienia pełnił w zniewolonych społeczeństwach dodatkową funkcję zastraszającą.

Na podstawie nazewnictwa stosowanego przez esesmanów można wydzielić funkcje pozorowane tj. takie, które mają na celu zamaskowanie właściwych działań. Wśród nazw oznaczających cel izolowania więźnia były takie, jak „środki zabezpieczające”, „środki wychowawczo-poprawcze”, „środki ochronne” (bliskie swym znaczeniem internowaniu), „specjalne potraktowanie” (oznaczało to rozkaz wykonania

w dowolny sposób wyroku śmierci). „Wychowaniu” czy reedukacji podlegali Badacze Pisma Świętego, „przestępcy” seksualni (prosty-tutki, homoseksualiści), ludzie złapani po ucieczce z przymusowych robót na terenie III Rzeszy. Takie nazwy nie wyróżniały Auschwitz od innych obozów koncentracyjnych. W Auschwitz specjalną kategorię stanowili więźniowie ze Śląska – nie tatuowani i nie rejestrowani w ewidencji obozu, z których część znalazła się w obozie za naj-skromniejszą nawet próbę pomocy więźniom (np. pozostawienie żywności w miejscu pracy komanda). Funkcje pozorowane obozów słu-żyły temu, by zamaskować funkcje faktyczne, stworzyć fikcję działań praworządnych. Było to przydatne dla hitlerowskiej propagandy upowszechnianej w niemieckojęzycznych społecznościach, a także w tych krajach Europy, które wyłoniły rządy kolaborantów. Miały również praktyczne znaczenie przy zacieraniu śladów zbrodni oraz stwarzały dokumentację przydatną do fałszowania historii.

Głównym celem obozów była zagłada więźniów, a zatem ich faktyczną funkcją była realizacja różnych form zagłady. Istniały jeszcze inne cele: korzyści ekonomiczne i eksperymenty pseudomedyczne. Należy je zaliczyć do funkcji obozów, ale można też je traktować jako działania wzbogacające zespół metod zabijania.

Systemy terroru hitlerowskiego i stosowanego w ZSRR stworzyły sprawne struktury organizacyjne, umożliwiające realizację różnych sposobów ludobójstwa oraz planowanie w taki sposób czasu zagłady, aby mogły temu sprostać mechanizmy służące zadawaniu śmierci i likwidacji jego śladów. Uwzględniano również interesy ekono-miczne (przede wszystkim eksploatację pracy niewolniczej i rabowanie mienia).

Zanim przystąpię do próby klasyfikacji działań realizowanych przez obozy koncentracyjne, przedstawię przykładowo kilka liczb, które rozpowszechniane bez prawidłowej klasyfikacji i interpretacji, prowadzą do zniekształcania obrazu i sposobu rozumienia zjawisk. Spośród około 335 tys. więźniów przywiezionych w latach 1940-44 do Mauthausen przeżyło około 212 tys., czyli ca 63%. Spośród około 1228 tys. (do 1246 tys.) ludzi, którzy zostali przywiezieni w latach 1940-44 do Auschwitz obóz ten przeżyło około 146 tys., czyli 12%. Spośród nieznaney liczby więźniów przywiezionych w latach 1942-44 np. do Treblinki, Bełżca, Sobibora, Chełmna – przeżyło około 0%.

Dla zrozumienia, co oznaczają podane przykładowo liczby, trzeba wprowadzić pojęcia zagłady natychmiastowej¹, zagłady przyspieszo-

¹ Por. M. Turski, „Polityka”, 28 I 1995.

nej, zagłady stopniowej, a także zagłady pośredniej, tzn. wymierzonej w następne pokolenia.

Sobibór, Treblinka i inne obozy zagłady natychmiastowej stanowiły tereny Shoah – zbrodni ludobójstwa popełnianej na ludności żydowskiej i pochodzenia żydowskiego bezpośrednio po dowiezieniu ich na miejsce stracenia. Popełniano tam systematyczne zbrodnie. We wszystkich tych jednofunkcyjnych miejscach zagłady natychmiastowej sprawcy zdolali zniszczyć wszelkie ślady Shoah. Ponadto ze względu na powszechność zagłady prowadzonej na skalę przemysłową nie ocaleli świadkowie zdarzeń ani dokumenty, a nawet informacje o topografii obozów. Nieznana jest również liczba ofiar, która zapewne sięga kilku milionów, ani granice tych największych cmentarzy żydowskich na świecie. O sposobach i okolicznościach dokonywania tam zbrodni wiadomo stosunkowo niewiele. Między innymi dlatego Auschwitz stał się głównym symbolem Shoah, że tu właśnie ocalały materialne ślady zagłady Żydów, świadkowie zdarzeń (więźniowie, którzy obóz przeżyli) oraz część dokumentów. Auschwitz również (podobnie jak inne wymienione miejsca Shoah) spełnił funkcję miejsca zagłady natychmiastowej dla ponad 900 tys. Żydów, którzy bezpośrednio po przywiezieniu do obozu, prosto z rampy kolejowej zostali skierowani na śmierć do komór gazowych. I właśnie polscy Żydzi i Żydzi z całej Europy byli przede wszystkim ofiarami zagłady natychmiastowej w latach 1942-44. Począwszy od 1940 r. zagłada natychmiastowa obejmowała również innych więźniów, przede wszystkim Polaków. Działo się to najczęściej na bloku śmierci (rozstrzeliwanie, zastrzyki z fenolu, śmierć głodowa oraz inne sadyistyczne metody indywidualnych tortur i mordowania), lecz również w tzw. rewirach, czyli blokach szpitalnych i w innych miejscach.

Obóz koncentracyjny Auschwitz był ponadto miejscem zagłady przyspieszonej. Polegała ona na tym, iż wśród 405 tys. więźniów, którzy zostali wpisani do ewidencji obozu, dokonywano systematycznie selekcji, w wyniku której mordowano w sposób masowy najsłabszych, niezdolnych już do pracy. Selekcje takie do przełomu lat 1942/43 obejmowały więźniów różnych narodowości, w latach 1942-44 prowadzone były niemal wyłącznie wśród Żydów. Niezależnie od stałego kryterium, jakim była niezdolność do pracy, w wyniku sadyistycznych skłonności esesmanów (zwłaszcza w początkowym okresie działania obozu koncentracyjnego Auschwitz), wprowadzano okazjonalne kryteria selekcji (np. kobiet ciężarnych, mężczyzn o niskim wzroście, co w efekcie spowodowało morderstwa dokonane głównie na młodocianych). Funkcje zagłady przyspieszonej pełniło również

Mauthausen i inne obozy koncentracyjne, ale w Auschwitz zagłada przyspieszona była prowadzona systematycznie i miała formy bardziej zorganizowane. Prawdopodobnie różnica umieralności więźniów Mauthausen (37%) i zarejestrowanych w ewidencji więźniów Auschwitz (64%) związana jest m.in. ze sposobem realizowania funkcji zagłady przyspieszonej. Tej formie zagłady poddano również więźniów obozów rodzinnych (cygańskiego i żydowskiego), którzy zdolali przeżyć okres obozowej codzienności.

Zagłada stopniowa prawdopodobnie była realizowana podobnie w Auschwitz, Mauthausen i w innych ciężkich obozach koncentracyjnych. Głodowe racje żywnościowe, warunki życia, brak snu, przymus pracy ponad siły, brak ochrony przed wilgocią i zimnem, stosowany wobec więźniów terror oraz przekraczający możliwości wyobraźni i stwarzający dodatkowe upokorzenie brak podstawowych warunków higieny – pozwalały na przyjęcie założenia, iż średnia szansa przeżycia więźnia wynosiła około 3 miesięcy. Z zagładą stopniową wiązała się realizacja funkcji ekonomicznej, polegającej na dostarczaniu darmowej siły roboczej. Sposób, w jaki siła robocza więźniów była wykorzystywana, różnił się od systemów stosowanych powszechnie. Nie było potrzeby gwarantowania minimum warunków egzystencji, gdyż więźniów zamęczonych można było zastąpić natychmiast innymi. Zagładzie stopniowej towarzyszyły indywidualnie stosowane tortury i morderstwa na więźniach dowolnie wybranych przez oprawców. Specjalnie znacano się nad ludźmi należącymi do elity społecznej swych narodów, jeśli swą postawą ujawnili tę przynależność.

I wreszcie jeszcze jedna funkcja obozu koncentracyjnego Auschwitz, odróżniająca go od Mauthausen, lecz charakterystyczna dla niektórych innych obozów (np. Ravensbrück). Chodzi tu o traktowanie więźniów jako materiału do eksperymentów pseudomedycznych. Tylko niektórym z tych „eksperymentów” ich sprawcy usiłowali przypisać jako cel leczenie chorób (np. tyfusu lub ropowicy) bądź zamiar poznawczy (np. badanie bliźniąt jednojajowych). Parę „eksperymentów” było ściśle podporządkowanych celom zagłady. Do pierwszych wykonanych w Auschwitz „eksperymentów”, których materiałem byli Polacy i Rosjanie, należały doświadczenia polegające na obserwacji procesu umierania w zależności od sposobu, ilości i warunków stosowania trującego gazu. Wyniki tych eksperymentów, prowadzonych początkowo w uszczelnionych samochodach, posłużyły do ulepszenia metod uśmiercania selekcionowanych więźniów, a następnie – do masowego ludobójstwa ludności żydowskiej i rozbudowy przemysłu śmierci dzięki komórkom gazowym, co umożliwiło zagładę

natychmiastową w skali masowej. Zagładzie przyspieszonej służyły głównie „eksperymenty” zabijania zastrzykami w obozowych szpitalach oraz obserwacje przebiegu choroby głodowej. Można to określić jako eksperymentowanie eutanazji.

Problem zagłady pośredniej jest najmniej znany i spopularyzowany. Prowadzono w kilku obozach koncentracyjnych eksperymenty dotyczące sterylizacji mężczyzn i kobiet. Wyniki tych eksperymentów bezpośrednio powodowały bezpłodność więźniów. Jednak ich cel był znacznie szerszy. Ich wyniki miały służyć realizacji powszechnej eksterminacji narodów słowiańskich (zwłaszcza Polaków i Rosjan) przez pozbawienie ich zdolności do reprodukcji.

Jeżeliby podsumować funkcje obozów koncentracyjnych w systemach totalitarnego terroru, to mogły one służyć zagładzie bezpośredniej, lecz również zagładzie przyspieszonej i stopniowej ludności żydowskiej oraz zagładzie przyspieszonej i stopniowej, a także zagładzie pośredniej Słowian.

Wobec europejskich Żydów hitlerowcy planowali powszechną zagładę fizyczną. Zamiar swój w znacznym stopniu zrealizowali. Wobec Polaków obaj okupanci zrealizowali częściowo zagładę fizyczną. Zrealizowali jednak przede wszystkim eksterminację kulturową i duchową narodu przez zagładę elit wzorotwórczych, która trwała również po II wojnie (towarzyszyła temu degradacja społeczna tych, którzy ocalili fizycznie). Pamiętać należy, że od 1917 r. podobny los spotkał inne narody ZSRR.

Ludobójstwo w XX wieku

Wszelkie próby oszacowania skali mordów dokonanych na świecie w XX w. są skazane na niepowodzenie. Zbigniew Brzeziński² nazywa nasze stulecie wiekiem megaśmierci i ocenia w światowej skali ludobójstw XX w. na 167-175 mln, a ludobójstwa motywowane ideologią na około 80 mln. Ofiary ludobójstwa hitlerowskiego szacuje na około 17 mln (w tym około 6 mln obywateli ZSRR – głównie Rosjan i Ukraińców, ponad 5 mln europejskich Żydów, ponad 2 mln Polaków, około 800 tys. Cyganów, około 500 tys. obywateli Jugosławii oraz ponad 2 mln ofiar różnych innych narodowości). Zgodnie z tym samym źródłem w ZSRR Lenin odpowiada za zamordowanie 6–8 mln ludzi, a Stalin – 20–25 mln. Daje to łączną liczbę 26–33 mln. Jednak

²Z. Brzeziński, *Bezład*, Warszawa 1993.

obecnie, po otwarciu radzieckich archiwów, historycy rosyjscy i rosyjska publicystyka oceniają liczbę ofiar sowieckiego komunizmu na około 60 mln.

Można w różny sposób wyjaśniać tak wielką skalę rozbieżności. Dla przykładu podam parę liczb o Polsce z okresu II wojny światowej, które być może zilustrują choć w części charakter trudności statystycznych. Po II wojnie światowej terytorium Polski zmniejszyło się o około 20%, z 389,7 tys. km² do 311,7 tys. km², w wyniku „przesunięcia” Polski ze wschodu na zachód. Według danych statystycznych z 1939 r. ludność Polski liczyła 35,1 mln, według danych z 1948 r. – 23,8 mln, a więc mimo bardzo dużego przyrostu naturalnego w latach 1945–48 zmniejszyła się o 11,3 mln. Jeżeli przyjąć według różnych szacunków, że ludobójstwu uległy blisko 3 mln polskich Żydów i ponad 3 mln Polaków, wystarczy odrobina wyobraźni, by uświadomić sobie, co działo się w kraju, jeśli ci, którzy prawdopodobnie przeżyli wojnę, byli przymusowo wypędzani i przesiedlani lub wynaradawiani. Zmieniali dobrowolnie lub z przymusu przynależność państwową. Tracili rodziny, domy, wolność i dorobek życia całych pokoleń.

Przedstawione przykładowo liczby mogą przybliżyć do zrozumienia, na czym polega istota hitlerowskiego i sowieckiego ludobójstwa.

Doświadczenia naszego społeczeństwa i innych narodów Europy Środkowej i Wschodniej dają dostateczne przesłanki, by odróżnić ludobójstwo od innych przewidzianych w kodeksach karnych zbrodni. Zabójstwo lub morderstwo wymierzone jest na ogół w konkretnych ludzi noszących własne nazwisko i mających znane lub możliwe do odtworzenia biografie. Mają one charakter osobowy, a więc można ustalić kto, gdzie, kiedy, jak, a nawet dlaczego został zamordowany. W reakcji na popełnione przestępstwo poszukiwany i sądzony jest konkretny sprawca. Jemu należy dowieść winy i jemu należy wymierzyć karę, zgodnie z prawodawstwem kraju, w którym czyn został popełniony. Nawet jeśli w dokonaniu przestępstwa uczestniczyło więcej osób i jeśli w jego wyniku śmierć poniosło kilka osób, to każda ofiara jest osobą i każdy zbrodniarz jest oceniany za swoją indywidualną winę.

Ludobójstwo stało się zbrodnią bezosobową i upowszechnioną. Nie jest wiadomo, kto, gdzie, jak i kiedy został zamordowany. Nie wiadomo, ilu ludzi objęła działalność ludobójcza, a także czy i kto uratował się od masowo zadawanej śmierci. A jeśli się uratował, to w jaki sposób: uciekając do innego kraju? przyjmując tożsamość innego człowieka? zmieniając narodowość, religię, pozycję społeczną? Maso-

wość zbrodni ludobójstwa popełnianych w naszym stuleciu powoduje, że nie tylko nie można ustalić tożsamości ofiar, lecz nawet przybliżonej ich liczby. Ofiara zatracą cechy osoby: staje się anonimowa i zbiorowa. To samo dzieje się z mordercą. W zbrodniach ludobójstwa uczestniczą liczni nieznani ludzie, a nawet całe społeczności. Sposób tego uczestnictwa uniemożliwia wskazanie morderców, zróżnicowanie ich winy, a tym samym wymierzenie kary.

W zbrodni ludobójstwa mamy do czynienia nie tylko z bezpośrednim sprawcą (którego rzadko da się ustalić). Została opracowana koncepcja masowej zbrodni oraz zbudowano i usprawniono mechanizmy niezbędne do jej realizacji. Równocześnie opracowano koncepcję i skonstruowano mechanizmy zacierania śladów działań ludobójczych. W realizacji tych zadań uczestniczyły całe rzesze ludzi. Doprowadziło to do sytuacji, w której zbrodnia nie mieści się w kategoriach prawa. Anonimowej zbiorowości, na której popełniono zbrodnię ludobójstwa, można tylko przeciwstawić anonimową zbiorowość sprawców zbrodni. Cierpieniu i śmierci człowieka odebrano indywidualną godność, a zbrodniom popełnianym przez człowieka – indywidualną odpowiedzialność.

Wiele wypowiedzi i publikacji ogłoszonych w USA i Europie Zachodniej świadczy o żenującej niewiedzy na temat zdarzeń, których areną była Europa Środkowa i Wschodnia, a w konsekwencji ich jednostronnej interpretacji. Nasi zachodni sojusznicy, choć uczestniczyli w tej samej koalicji antyhitlerowskiej – brali udział i pamiętają zupełnie inną wojnę i nie przeżyli doświadczeń hitlerowskich i sowieckich zbrodni w pełnym wymiarze. Wynika stąd niezrozumienie naszych losów, postaw, zachowań, metod samoobrony, a może i obojętność wobec tego, że nie im, ale innym ludziom zgotowano ten los. Państwa Europy Zachodniej uczestniczące w wojnie z Niemcami mogą w miarę dokładnie określić liczbę ofiar wojny. Lecz przede wszystkim są to społeczności o nie zakłóconej przez wojnę ciągłości historycznej, społeczności, które nie poznały istoty zbrodni ludobójstwa i nie były jej ofiarą.

Od dociekliwości i mądrości badających współczesne dzieje historyków zależy, czy z miazgi, jaką stała się historia naszej części świata, wyłoni się kompetentnie i uczciwie zinterpretowana wizja całości, oczyszczona z tendencyjnych i przypadkowych zniekształceń. Wyniki tej pracy przesądzą o tym, czy ludzkie losy pozostaną tylko tematami refleksji egzystencjalnej, czy zyskają również wymiar historyczny. Obowiązkiem ludzi dobrej woli jest podjęcie walki z moralną nędzą świata. Wielki cmentarz ofiar totalitaryzmów i ludobójstwa XX w.,

obejmujący przestrzenie Europy Środkowej, Wschodniej i Azji, powinien wzmocnić wspólnotę wszystkich pokrzywdzonych – niezależnie od ich religii, narodowości i klasy społecznej – aby byli zdolni do obrony ludzkości i potrafili mądrością i odwagą walczyć przeciw sile wielkich interesów i wielkiej polityki.

Przesłanie

Pragnę nawiązać do fragmentu modlitwy nieznanego Żyda zgładzonego w obozie koncentracyjnym: *Pokój wszystkim ludziom złej woli! Niech skończy się wszelkie wzywanie do karania i odwetu. Przesłanie przekroczyły wszelkie miary i granice ludzkiego pojmowania. Zbyt wielu jest męczenników. Dlatego, o Panie, policz dla dobra (...) wszystkich złych ludzi całe męstwo i duchową siłę innych, ich pokorę, ich podniosłą godność, ich nieustanne cierpienie (...) całą ich miłość, wszystkie ich udręczone serca, które pozostały silne i pełne ufności w obliczu śmierci*³. Takie słowa mógł wypowiedzieć tylko mąż Boży, wskazujący drogę ekumenicznej wspólnoty prowadzącą do wartości najwyższych, w których realizacji starają się uczestniczyć ludzie o największej wrażliwości moralnej, wyznawcy takich religii i wyznań, których wspólny fundament daje dążenie do miłości i pojednania. Myślę, że wszyscy ludzie dobrej woli pragną przewyciężyć przyczyny zła i nienawiści. Pragną, by zapanował pokój na świecie. Obawiam się jednak, że pokoju nie ma i nie będzie, a więc naszym obowiązkiem jest ratowanie ludzi współczesnych i tych, którym zagrożą ludobójstwo w XXI w.

Politycy, zwłaszcza ci, którzy kierują światowymi dążeniami wielkich mocarstw, głoszą publicznie pięknie brzmiące frazesy. Tworzą nową ideologię pozorów. Jest nią obrona narodów i jednostek przed łamaniem praw człowieka. Praktyka wskazuje jednoznacznie, iż moi tego świata są skłonni tolerować wszelkie formy ludobójstwa i uczestniczyć w zacieraniu jego śladów, jeśli są w to zaangażowane doraźne interesy mocarstwowe i nawet wtedy, jeśli krótkowzroczne działania są wymierzone w bezpieczną przyszłość całej ludzkości. W okresie II wojny światowej rządy Anglii oraz Stanów Zjednoczonych pozostały głuche i bezczynne wobec dostarczanych z Polski – z narażeniem życia wielu ludzi – informacji o ludobójstwie popełnia-

³ W. Hryniewicz, *Pokój ludziom złej woli*, „Znak”, nr 1/1995.

nym na Żydach i innych obywatelach Polski⁴. Głuche na wołanie o ratunek! W okresie II wojny i po jej zakończeniu rządy USA i krajów zachodnich uczestniczyły w zacieraniu śladów sowieckiego ludobójstwa popełnianego na Polakach i na innych narodach Europy Środkowej i Wschodniej. Przywódcy wyposażeni w wiedzę o mechanizmach i trwaniu sowieckich zbrodni ponoszą pełną współodpowiedzialność za utworzenie tzw. stref wpływów, czyli wyrażenie zgody na ludobójstwo sygnowane w Jałcie.

Zasadniczą różnicą, jaką można wskazać po upływie pół wieku, jest fakt, iż przedstawiciele żadnego, nawet średnio wykształconego społeczeństwa, nie mogą udawać niewiedzy na temat narastających w świecie mechanizmów zbrodni i faktów popełniania zbrodni na bezbronnych narodach. Prawda historyczna nie jest warunkiem wystarczającym do ocalenia świata, ale jest warunkiem niezbędnym. Ratowanie i upowszechnianie prawdy może być naszym udziałem w ratowaniu świata. A świat ten jest w wielu rejonach zagrożony. Zagrożona jest też Europa.

⁴Zob. J. Nowak Jeziorański, *Kurier z Warszawy*, Londyn 1978.



Benno Müller-Hill

Genetyka a masowe morderstwa Żydów i innych*

Historia, którą opisuję, zaczęła się w 1921 r. Ukazał się wówczas w Niemczech pierwszy podręcznik genetyki człowieka. Napisało go trzech ludzi: Erwin Baur, Eugen Fischer i Fritz Lenz¹. Była to świetna książka. Stanowiła encyklopedię ówczesnego stanu wiedzy w zakresie genetyki człowieka i zawierała obszerny rozdział o eugenicie.

Program eugeniki w Niemczech

Eugenika była oparta na przeświadczeniu niemal wszystkich ówczesnych genetyków, że większość najważniejszych cech behawioralnych i psychicznych jest uwarunkowana genetycznie. Wiedzieli oni oczywiście, że liczy się także środowisko, ale sądzili, że biologia samej istoty człowieka jest o wiele wiele ważniejsza. Byli zatem przekonani, że istnieją ludzie pośledniejsi, o niższej inteligencji, często o skłonnościach zbrodniczych, którzy rozmnażają się znacznie szybciej aniżeli ludzie bardziej wartościowi. W założeniu do tej pośledniejszej grupy należeli wszyscy czarni i niektórzy biali. Eugenicy byli przekonani, że jeśli nie da się odporu temu procesowi, europejska i angloamerykańska kultura po prostu zniknie z tej planety. Prawa małżeńskie, które istniały wówczas w USA, a poprzednio w niemieckich koloniach, oraz sterylizacja były rozważane jako najlepsze środki zaradcze. Uważano, że odpowiednie ustawodawstwo podatko-

* Jest to tłumaczony za zgodą Autora z niewielkimi skrótami tekst referatu wygłoszonego w Muzeum-Pomniku Holocaustu w Waszyngtonie na konferencji *The Holocaust: An International Conference on the Known, the Unknown, the Disputed and the Reexamined* (5–8 XII 1993). Referat zawiera odsyłacze do licznych publikacji. Przytaczam tu tylko kluczowe (por. też: B. Müller-Hill, *Od Dedala do Mengelego*, „PP”, nr 1/1994, s. 60–70). Śródtytuły pochodzą od redakcji. Za przesłany maszynopis i zezwolenie na jego tłumaczenie dziękuję Autorowi (przyp. tłum.).

¹ *Grundriss der menschlichen Erblichkeitslehre und Rassenhygiene*, J.F. Lehmanns Verlag, München 1921¹, 1936⁴.

we może sprzyjać liczbowemu wzrostowi kategorii ludzi umysłowo bardziej wartościowych.

Książka rozchodziła się dobrze. Jej wydawca miał w ogóle bardzo dobrą rękę. Publikował książki z dziedziny medycyny, a także polityczne o tematyce nacjonalistycznej i antysemickiej. Nazywał się Julius Lehmann. Dwa lata później, w 1923 r., ukazało się II wydanie podręcznika. W tym samym roku Hitler urządził swój pucz. Podczas puczu Hitler ukrył się na kilka godzin w domu wydawcy – swego przyjaciela, a potem musiał pójść na 9 miesięcy do całkiem zresztą wygodnego więzienia. Lehmann przysyłał mu, za darmo oczywiście, swoje interesujące nowości, a także nowe wydania Baura-Fischera-Lenza. Hitler książkę przeczytał. Jeśli czyta się uważnie „Mein Kampf”, książkę napisaną w więzieniu, znajduje się w niej obszerny fragment o tym, co można nazwać genetyką człowieka i eugeniką.

Poświęćmy parę słów autorom podręcznika. Baur był psychiatrą, który porzucił psychiatrię, by się zająć genetyką roślin. Hermann Muller, największy amerykański genetyk lat dwudziestych i trzydziestych, w swojej recenzji angielskiego wydania książki w 1933 r. nazwał Baura *czołowym genetykiem Europy*, a podręcznik *najlepszym dziełem w tej dziedzinie*, choć równocześnie dość krytycznie odniósł się do rozdziału o rasach autorstwa Fischera. Fischer był profesorem anatomii głęboko interesującym się antropologią i genetyką. Lenz był jego dawnym studentem, a wówczas młodym docentem genetyki człowieka w Monachium. Fischer zrobił imponującą karierę. W 1913 r. opublikował książkę o swoich badaniach potomków białych mężczyzn i czarnych kobiet w jednej z niemieckich kolonii w Afryce – obecnej Namibii. Był, jak większość jego kolegów z różnych krajów – wyłączając Mullera – głęboko przekonany o niższości czarnych. I był on, jak wielu jego niemieckich kolegów, aprobującym świadkiem ludobójczej polityki niemieckiego zarządu kolonii².

Kontakty z nazistami

Fischer, jego współautorzy, Baur i Lenz, oraz inni rozglądali się w poszukiwaniu politycznych sprzymierzeńców, którzy urzeczywistniłyby w Niemczech ich program eugeniczny. Okazało się, że było to

²J. Swan, *The final solution in South-West Africa*, „Quarterly Journal of Military History”, nr 3/1991, s. 36-55.

trudne w latach dwudziestych, bowiem wszystkie partie demokratyczne tak czy inaczej nie zgadzały się na sterylizację. W poszczególnych partiach byli eugenicy. Same partie jednak były bezwzględnie przeciwnie propozycjom eugeników, którzy domagali się odpowiednich praw małżeńskich i przymusowej sterylizacji wszystkich osobników określanych jako nieprzystosowani lub upośledzeni. Okazało się, że jedyna partia, która sprzyjała takim propozycjom, to partia narodowych socjalistów. Pociągała ich bodaj jeszcze bardziej przedstawiona przez Fischera koncepcja ras. Uważał on, że rasa nordycka jest najwyższa, natomiast czarna – najniższa. Podobało im się jego stanowisko sprzeciwiające się krzyżowaniu ras, chociaż uważali, że w jego koncepcji ras antysemityzm jest zbyt słabo zaznaczony.

Partia hitlerowska zdobyła wiele głosów w wyborach w 1930 r. Lenz natychmiast napisał recenzję „Mein Kampf” w niemieckim czasopiśmie naukowym czytany przez genetyków³. Jej podsumowaniem było stwierdzenie, że Hitler jest jedynym współczesnym politykiem, który rzeczywiście rozumie, co to jest genetyka i eugenika. W następnych latach hitlerowcy zdobywali coraz więcej wpływów. W 1932 r. władze partyjne rozesłały pisma do Fischera, Lenza i innych z zapytaniem, czy zechcieliby podjąć współpracę w dziedzinie higieny rasowej. Wszyscy oni odpisali, że oczywiście, z przyjemnością na taką współpracę przystają, lecz pragną zachować swoją naukową niezależność.

Tak oto nadszedł rok 1933 i genetycy otrzymali to, czego pragnęli. Fischer, najbardziej ceniony między nimi, został właśnie wybrany w ostatnich wolnych wyborach na uczelni na stanowisko rektora uniwersytetu berlińskiego. Nie był zresztą kandydatem narodowych socjalistów. Jako rektor podpisywał w ciągu następnych dwóch lat zwolnienia swoich żydowskich kolegów. Mówił i pisał w tradycyjnym orędziu rektora, że te zwolnienia były bolesne, lecz konieczne. Widział je w ramach ogólnego eugenicznego oczyszczenia Niemiec. Był on, powiedziałbym, łagodnym lecz głęboko przekonany antysemitą. Stwierdził w 1933 r., że małżeństwa i stosunki seksualne między Żydami i Niemcami nieżydowskiego pochodzenia są z punktu widzenia nauki niepożądane. Domagał się odpowiednich praw. Powitał z uznaniem ustawy norymberskie po ich uchwaleniu jako naukowo uzasadnione. Społeczeństwo polega na opiniach uczonych w takich sprawach. Jeśli sławni uczeni i eksperci głoszą pochwałę

³ „Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie”, nr 25/1931, s. 300-308.

czegoś, to nie może to być złe, cokolwiek sądzi sumienie. Rolą niemieckich genetyków stało się najbardziej przekonujące poparcie propagandy antysemitycznej. Fischer w 1942 r. gorąco poparł nigdy nie urzeczywistniony plan sterylizacji wszystkich Niemców, którzy mieli bodaj jednego dziadka lub babkę żydowskiego pochodzenia. Był honorowym gościem, gdy plan ten ogłoszono. Do 1942 r. Fischer nie powiedział, że wszyscy Żydzi są gorsi. Mówił, że są inni. Ale domagał się apartheidu czy „Trennung” dla Żydów, by uratować niemiecką kulturę. W 1942 r. wypowiedział i opublikował twierdzenie⁴, że Żydzi należą do innego gatunku. Ta metafora miała doniosłe znaczenie dla uzasadnienia ludobójstwa. Mogę dodać, że tak jak inni jego koledzy nastawieni antysemitcko wołał jednak termin „higiena rasowa”.

Eugenik ofiarowywał nazistom to, czego najbardziej potrzebowali: zaufanie i szacunek. Jeżeli naukowcy i lekarze mówią, że wszystko jest w porządku, a działania przeciw Żydom są naukowo uzasadnione, nie mogą się mylić. W zamian eugenicy uzyskali od narodowych socjalistów to, czego żądali – prawo, które przewidywało przymusową sterylizację umysłowo upośledzonych, alkoholików, schizofreników, chorych na manię prześladowczą i paru innych mniej licznych grup: niewidomych i głuchych z dziedzicznym obciążeniem i ludzi z płaswicą Huntingtona. Prawo to zostało wprowadzone 1 I 1934 r. Znany dokładną liczbę ludzi sterylizowanych w ciągu pierwszych trzech lat. Było ich 70 tys. rocznie, co daje razem około 200 tys. do 1939 r. Wszyscy byli poddani sterylizacji wbrew woli. Wiele łez i krwi przelano – śmiertelność w czasie operacji wynosiła 1%. Tak więc około 3500 osób, głównie kobiet, zmarło podczas zabiegu, którego z pewnością nie chcieli. Wszystkie decyzje podejmowali lekarze dokształceni w genetyce.

Sterylicacja i jej ofiary

Jak wspólnota międzynarodowa przyjęła prawo o sterylizacji? Reakcja była bardzo pozytywna⁵. Wreszcie duży kraj uczynił nie-

⁴E. Fischer, *Le problème de la race et la législation raciale en Allemagne*, „Cahier de l'Institut Allemand”, Paris 1942, s. 81-109; „...etyczne skłonności i cała działalność bolszewickich Żydów zdradzają umysłowość tak monstrualną, że można tylko mówić o niższości i o istocie innego gatunku niż nasz” (tłum. z franc.).

⁵M.in. por. W.W. Petr, *Germany's sterilization program*, „American Journal of Public Health”, nr 24/1934, s. 187-191.

zbędny krok na rzecz uporządkowanej i zalegalizowanej procedury sterylizacji. Ta ogólna aprobata zakończyła się w 1935 r. wraz z ustawami norymberskimi. To, że w niektórych południowych stanach USA czarnym i białym nie wolno było się żenić ani utrzymywać stosunków między sobą, eugeniccy łatwo mogli zaakceptować i uzasadnić. Ale to, że niemieckim Żydom nie wolno było pobierać się ani utrzymywać stosunków seksualnych z Niemcami, było nie do przyjęcia, cokolwiek genetycy niemieccy mówili o naukowym uzasadnieniu i niezbędności. Nie pomogły również ich przedłożenia, że prawa norymberskie są łagodniejsze niż niektóre odpowiednie amerykańskie prawa przeciw Murzynom. Od tego czasu eugenika powoli traciła poparcie międzynarodowych środowisk akademickich.

Powinienem dodać, że genetycy rzeczywiście uzyskali to, czego chcieli. Każdy wydział lekarski w Niemczech miał katedrę i zakład genetyki człowieka. Wszyscy lekarze otrzymywali wykształcenie w naukowym antysemityzmie. Te placówki miały różne nazwy. Często nazywano je instytutami Rassenhygiene, ale były one zasadniczo katedrami genetyki człowieka. Niemieccy genetycy uważali się za stojących na pierwszej linii frontu genetyki. Można by pomyśleć, że wszystko to, co publikowano w Niemczech po 1933 r., nie było nauką. Nieprawda. Najpierw była to normalna genetyka, jak i gdzie indziej. Fischer, dyrektor Instytutu Antropologii im. Cesarza Wilhelma, otrzymał np. 3-letni kontrakt z Fundacją Rockefellera na swoje badania bliźniąt. Ta amerykańska fundacja z pewnością nie daje pieniędzy na byle jaką naukę.

Dla wielu genetyków człowieka – byli nimi często psychiatrzy – liczby i kategorie ludzi podlegających sterylizacji były zbyt ograniczone. Franz Kallmann w referacie wygłoszonym w Niemczech w 1935 r. domagał się sterylizacji wszystkich osobników heterozygotycznych noszących domniemany gen odpowiedzialny za schizofrenię. Było to zresztą ostatnie wystąpienie Kallmanna w Niemczech. Zapomniął, że miał żydowskich rodziców. Musiał opuścić Niemcy. Został uznany profesorem psychiatrą-genetykiem w Nowym Jorku, gdzie m.in. prowadził badania nad bliźniętami.

Były również inne kategorie ludzi, o których prawo zapomniało. Jedną z nich byli kolorowi. Była to niewielka liczba, wszystkiego około 600 dzieci pozostałych po kolorowych żołnierzach francuskich stacjonujących w Niemczech po 1918 r. Sterylizację tych dzieci nadzorowali doskonali eksperci. Był wśród nich Fischer, który oglądał każde dziecko i wyrokował, czy jest, czy nie jest kolorowe. Wysterylizowano te dzieci w 1937 r. – bezprawnie z punktu widzenia obowiązujących przepisów. Policja wywierała pewien nacisk na matki.

Istniała ponadto duża grupa, która była szczególnie bliska sercu urodzonego jako Szwajcar profesora psychiatrii w Monachium, Ernsta Rüdina. Głosowano nań w wyborach prezesa Międzynarodowego Towarzystwa Eugenicznego w 1932 r. w Nowym Jorku. Rüdin i niektórzy inni genetycy przedkładali hitlerowskim dygnitarzom, że zapomniano w programie sterylizacji o dużej i ważnej kategorii ludzi, których po niemiecku można nazwać „asozial”, a więc określić jako element antyspołeczny lub kryptokryminalny. Liczebność tej grupy w Niemczech szacowano na około miliona. Pomysł nowego prawa spodobał się bardzo Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Zespół złożony z dwóch lekarzy psychiatrów i starszego oficera policji wyrokowałby, czy dany osobnik jest antyspołeczny i czy winien podlegać sterylizacji oraz zostać umieszczony w obozie koncentracyjnym. Zasadę tę w formie projektu ustawy przygotowano już w 1937 r. i ministerstwo domagało się jej uchwalenia. Do tego jednak nie doszło. Ministerstwo Sprawiedliwości bowiem słusznie uważało, że po wprowadzeniu ustawy w życie sędziowie nie będą mieli nic do roboty. Doszło więc do ostrej walki między obydwoma ministerstwami. Pierwsze popierali wszyscy genetycy, a zwłaszcza Rüdin. Była jednak podgrupa w tej milion liczącej kategorii, której los był szczególny. Byli to Cyganie (Romowie). W 1937 r. powołano do życia osobny instytut afiliowany przy Narodowym Instytucie Zdrowia Rzeszy (Reichsgesundheitsamt) w Berlinie. Kierownikiem tej placówki był psychiatra Robert Ritter. Zadaniem placówki było określenie statusu każdego Cygana żyjącego w Niemczech. Było ich około 30 tys. w Niemczech i Austrii. Myśl przewodnia badania wynikała z następujących przesłanek: Cyganie przybyli do Europy z Indii około 1500 r. Mała liczebnie grupa protoplastów to „czystci” Hindusi, a więc aryjczycy. Ale w ciągu pięciu wieków mieszały się oni z mętami Europy. Dlatego większość współczesnych Cyganów to przypuszczalnie potomkowie europejskich złoczyńców. Jest bardzo mało „czystych” Cyganów. Ci winni być zachowani. Wszyscy inni winni być wysterylizowani i umieszczeni w obozach koncentracyjnych. Tak w zasadzie postąpiono. Dużą liczbę Cyganów niemieckich, około 20 tys., wysłano do Auschwitz. Wymarli tam co do ostatniego dziecka z głodu, chorób i wreszcie w komorach gazowych. Z drugiej strony 6 rodzin uznano oficjalnie za „czystych” Cyganów-aryjczyków i zachowano.

Niemieccy genetycy kształcili studentów medycyny w naukowym antysemityzmie, ale mieli oni niewiele do czynienia z identyfikowaniem poszczególnych Żydów jako Żydów. Określano to przez badanie

metryk chrztu każdego osobnika i jego przodków, poczynając od 1800 r., a kończąc na 1939 r. Zadaniem genetyka była tutaj obrona przedsięwzięć antysemitycznych od strony naukowej. Najbardziej pasjonujące zadanie stało natomiast przed genetykami w 1941 r. Szansa opuszczenia Niemiec przez Żyda równała się wtedy praktycznie zeru. Wszyscy Żydzi byli w obozach koncentracyjnych. Nieliczni – było ich ponad tysiąc – wpadli na zbawienny pomysł (lub pomysł, który uważali za zbawienny), aby utrzymywać, że ich formalni ojcowie nie są ich ojcami biologicznymi. Takie przypadki musiały być rozstrzygane naukowo przez genetyków, tak jak ustalanie ojcostwa. Pytałem wszystkich żyjących jeszcze niemieckich genetyków człowieka, czy przeprowadzali te badania jak prawdziwi eksperci, czy też oszukiwali na korzyść bodaj niektórych spośród tych zdesperowanych ludzi. Wszyscy zapytani mówili mi, że wykonywali tę pracę zgodnie ze swą czystą wiedzą. Należy dodać, że na szczęście ich austriaccy i francuscy koledzy nie byli uczciwi. Brali pieniądze i fałszowali wyniki. Korupcja w warunkach zbrodni bywa oznaką człowieczeństwa.

Mengele i Auschwitz

Podczas wojny dwie okoliczności otworzyły nowe możliwości badań. Jedną z nich były morderstwa psychicznie chorych. I rzeczywiście tych pacjentów masowo używano do doświadczeń przed zabiciem, po śmierci wykonywano odpowiednie analizy. Nie zamierzam mówić o tych zbrodniach. Chcę się skupić na używaniu więźniów obozów koncentracyjnych do doświadczeń lekarskich. Cofnijmy się w czasie. Fischer jako dyrektor Instytutu Antropologii miał współpracownika nazwiskiem Otmar von Verschuer. To właśnie on prowadził badania bliźniąt, które w 1932 r. przyciągnęły pieniądze Rockfellera. Von Verschuer przeniósł się na uniwersytet we Frankfurcie w 1935 r., uzyskując stanowisko profesora genetyki (higieny rasowej). Zaangażował tamże młodego doktora, Josefa Mengelego. W ciągu tych kilku przedwojennych lat Mengele był naukowo twórczy. Opublikował fundamentalną pracę o dziedziczeniu wad twarzy, recenzował książki i napisał sprawozdanie ze zjazdu. Był w składzie delegacji na Międzynarodowy Kongres Genetyczny w Edynburgu (1939), choć z jakichś powodów nie pojechał tam. W 1940 r. wstąpił do SS. Von Verschuer w październiku 1942 r. objął po Fischerze dyrekturę berlińskiego instytutu. W tym samym roku Mengele, ranny w ZSRR, został odesłany do Berlina na rekonwalescencję. Jako wolontariusz pracował przez pół roku w instytucie von Verschuera. W kwietniu 1943 r.

zaproponowano mu wyjazd do Auschwitz na stanowisko lekarza obozowego. Wyraził na to zgodę. Można zasadnie przypuszczać, że przełożeni go pytali, ale nie zmuszali. Mógł równie dobrze odpowiedzieć, że woli iść na front.

Na wiosnę 1943 r., właśnie wtedy gdy Mengele opuścił instytut, by udać się do Auschwitz, von Verschuer napisał w przedmowie do II wydania swego podręcznika higieny rasowej: *Wciąż mamy czas wojny. Połączona siła naszego ludu jest zjednoczona w walce o zwycięstwo i o nową przyszłość Niemiec i całej Europy. W duchowej (sic!) walce o ten cel, we wcielaniu polityki populacyjnej i rasowej, gruntowna wiedza higieny rasowej jest niezwykle ważna. A co napisał o Żydach? W historycznych próbach rozwiązania kwestii żydowskiej można wyróżnić trzy podejścia: 1) wchłonięcie Żydów, które próbowali osiągnąć zachodni Goci w Hiszpanii; 2) zamykanie Żydów w gettach – rozwiązanie stosowane powszechnie w Europie od V do XIX w.; 3) emancypacja Żydostwa w XIX w. Każde z tych usiłowań zawiodło. Dzisiejszym wyzwaniem jest nowe, całkowite rozwiązanie kwestii żydowskiej.*

Tak więc Mengele przybył do Auschwitz i rozpoczął doświadczenia nad żydowskimi i cygańskimi bliźniakami⁶. Rutynowo przeprowadzał selekcję na rampie, stając się w ten sposób odpowiedzialnym za śmierć setek tysięcy ludzi. Natychmiast po przyjeździe Mengelego do Auschwitz von Verschuer przedstawił Deutsche Forschungsgemeinschaft projekt celem sfinansowania badań, jakie jego asystent Mengele mógłby wykonać w Auschwitz. Ten projekt badawczy i sprawozdania z jego wykonania przetrwały wojnę. W jednym z raportów von Verschuer pisze, że Mengele zebrał bliźnięta różnych ras, a ich surowice są analizowane w Berlinie przez naukowca nazwiskiem Günther Hillmann. Hillmann był dyplomantem. Nie pracował w instytucie von Verschuera, lecz u jego kolegi, Adolfa Butenandta, laureata Nagrody Nobla i późniejszego prezesa Max-Planck Gesellschaft. Wykonywał analizy krwi z Auschwitz w instytucie Butenandta. W 1983 r. zapytałam o to Butenandta. Tenże odparł, że nic nie wiedział. Po wojnie Hillmann, który został pierwszym prezesem niemieckiego Towarzystwa Chemii Klinicznej, nie powiedział nikomu, że kiedyś miał do czynienia z tamtą krwią. Von Verschuer napisał i powtarzał wielokrotnie, że miewał tylko luźne kontakty z Menge-

⁶ Opis doświadczenia, por. B. Müller-Hill, *Od Dedala do Mengelego*, „PP” 1/1994, przyp. 1.

lem, który jego asystentem nie był. Nie wiedział zupełnie, co Mengele robił w Auschwitz, nie miał żadnego pojęcia, co się działo w Auschwitz. Butenandt podpisał oświadczenie uznające von Verschuera za wielkiego uczonego i nauczyciela akademickiego i stwierdzające, że nawet Mengele mógł nie wiedzieć, co się naprawdę działo w Auschwitz⁷.

Po wojnie niemal wszyscy niemieccy genetycy uniknęli odpowiedzialności. Tylko Mengele musiał wyjechać do Ameryki Południowej. Wszyscy oni utrzymywali, że nic nie wiedzieli, nic z tym wszystkim nie mieli wspólnego, nie byli antysemitami. Wspólnota międzynarodowa nie była zainteresowana w dochodzeniu prawdy. H.J. Muller wysłał do Niemiec Maxa Delbrücka, aby zorientował się, co się tam dzieje, i Max wygłosił wykład o swoich badaniach bakteriofaga w Harnack House w Berlinie, 300 jardów od instytutu, w którym działali Mengele i von Verschuer. Delbrück napisał do Mullera do USA, że wszystko jest w porządku – ci ludzie tutaj robią dobrą genetykę i nie mieli nic wspólnego z systemem hitlerowskim. Po wojnie Lenz został profesorem uniwersytetu w Getyndze, a von Verschuer – uniwersytetu w Münster. Fischer był na emeryturze, lecz nadal pracował. Poproszono go o napisanie rozdziału o antropologii XX w. w serii wydawniczej „Twórcy naszych czasów”. Tam stwierdził, że narodowi socjaliści fatalnie nadużyli genetyki. Ale eugenika jest poza wszelkim zarzutem. Napisał: *Nie oskarżacie chrześcijaństwa, jeśli uważacie, że inkwizycja była zbrodnią.*

Nauka na przyszłość

Wszyscy żyjemy w świecie zachodnim, w mniej lub bardziej stabilnych demokracjach i oczywiście określone są ramy, które zapobiegają potwórnemu się tego, co się wydarzyło w Niemczech. Nie ma teraz państwa, które otwarcie głosiłoby, że jednostka jest niczym, a lud (das Volk) wszystkim. Takie uroszczenie już teraz nie istnieje.

Istnieje jednak coś, o czym należy pamiętać. Co uczynili genetycy niemieccy? Porzucili swoich pacjentów i podopiecznych. Po prostu odwrócili się, gdy tysiące ludzi wykorzystywano, okaleczano lub mordowano. Jeśli pozostawi się genetykę całkowicie siłom wolnego

⁷ A. Butenandt, M. Hartmann, W. Heubner, B. Rajewsky, *Denkschrift betr. Herrn Prof. Dr. med. Otmar von Verschuer*, September 1949. Autor dziękuje prof. Butenandtowi za kopię.

rynku, mogę sobie wyobrazić wyłonienie się innego, ale w gruncie rzeczy zbliżonego fenomenu⁸. W ciągu niewielu lat może nastąpić masowe zjawisko piętnowania ludzi, którzy mają genotypy nieodpowiednie z punktu widzenia firm ubezpieczeniowych, zatrudnienia czy potocznie akceptowalności człowieka. Sądzę, że ważne jest, aby społeczeństwa i politycy domagali się praw, które by to uniemożliwiały. Nie jestem prawnikiem, nie potrafię ich formułować. Myślę, że eksperci powinni określić, co należy zrobić, i przedyskutować to z genetykami. To jedna sprawa.

Jest jeszcze inny aspekt tego zła, które stało się w Niemczech. Nastąpiło połączenie, stopienie nauki i ideologii. A jeśli nauka wiąże się z ideologią, sama powoli się stacza (...). Co jest ideologią, a co nauką? Nauka mówi, jakie są rzeczy, i przewiduje, jakie one będą. Ideologia lub religia mówi, jakie być powinny. Moim zdaniem nauka i ideologia winny być starannie oddzielone. Nauka nie powinna mówić, jakie winny być rzeczy (...).

Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym wspomnieć. W USA próbuje się wprowadzić program⁹, którego celem jest poszukiwanie genu lub genów, które są przyczyną zbrodni i gwałtu w murzyńskich lub latynoskich slumsach. Zbrodnia jest złem, a zatem znakiem wartości negatywnej. Czy jest możliwy zmutowany gen, który określa wartość negatywną? Jeśli genetycy i sprzymierzeni z nimi psychiatrzy uważają, że istnieje „gen zbrodni”, to znowu łączą i stapiają ideologię z nauką, cokolwiek na ten temat zechcą powiedzieć. Słyszę chichot Rüdina i Fischera. Oni twierdzili już dawno, że istnieje gen antyspołecznego zachowania. Przewiduję, że skutek tego będzie fatalny, zwłaszcza jeśli genetykom uda się coś takiego wykazać. Psychiatrzy te „zbrodnicze” dzieci będą traktować jak biologiczne maszyny – lekami, a nie miłością. Kto redukuje innych do maszyny, sam przestaje być w maszynie. A my znów z odrazą staniemy wobec genetyki jak wobec złowrogiej religii. Tym razem będzie to w USA i wszędzie. Bądźmy czujni!

tłum. Marek Gniazdowski

⁸B. Müller-Hill, *The shadow of genetic injustice*, „Nature” nr 362/1993, s. 491-492.

⁹R. Stone, *HHS Violence initiative caught in crossfire*, „Science”, nr 258/1992, s. 212-213.

Peter W. Breslin SJ

Bioetyczne rozważania nad projektem „genom ludzki”*

Projekt „genom ludzki” (human genome project – h.g.p.) jest ryzykowny. Bezpośrednie początki h.g.p. sięgają połowy lat osiemdziesiątych, kiedy okazało się, że postęp technologiczny sprawił, iż wyznaczony cel jest wykonalny i osiągalny. H.g.p. jest zaplanowaną w skali światowej próbą zlokalizowania wszystkich genów w genomie ludzkim¹. Amerykański Departament Obrony był początkowo pierwszą agencją sponsorującą ten projekt. Jednakże obecnie Narodowe Instytuty Zdrowia, jak również wiele innych instytucji publicznych i prywatnych w wielu krajach uczestniczy w tym zamierzeniu, pomagając w przeprowadzanych próbach h.g.p. wielu laboratoriom na całym świecie. Początkowo całościowy koszt wykonania pracy szacowano na 3 mld dol. amerykańskich. Obecnie, dla tych, którzy biorą udział w projekcie, stało się całkowicie jasne, że suma ta jest znacznie zaniżona. Co więcej, w chwili obecnej projekt jest znacznie opóźniony w stosunku do zakładanego terminu ukończenia.

Oszacowano, że genom ludzki zawiera 100–200 tys. oddzielnych miejsc (loci) genowych, które łącznie kodują wszystkie ewentualne produkty białkowe wytwarzane przez komórki ludzkie². Cały genom

* *Bioethical Considerations for the Human Genome Project* – tekst przekazany redakcji „PP” przez Autora.

¹ Genom jest całkowitą genetyczną budową określonego organizmu zawierającą haploidalny (haploidalność: stan wynikający z posiadania pojedynczego zespołu chromosomów – E.G.) zestaw chromosomów. Ludzki haplotyp męski jest zasadniczo identyczny jak haplotyp żeński dla 22 autosomów; jednakże haplotyp męski zawiera pojedynczy chromosom płciowy „X” i pojedynczy chromosom płciowy „Y”, podczas gdy haplotyp żeński posiada dwa chromosomy płciowe „X”.

² Nie każdy gen jest wyrażony w sposób mierzalny (tzn. jest wyrażony na tyle silnie, że poziom kodowanego przez ten gen białka jest tak wysoki, iż można go zmierzyć dostępnymi metodami – E.G.) w każdej komórce. Podczas rozwoju proces różnicowania komórkowego selekcjonuje, przez mechanizmy biochemiczne, w dużej mierze jeszcze nie poznane, pewne geny, które mają być wyrażone (tj. do poziomu

ludzki składa się szacunkowo z około 3 mld par zasad dezoksyrybonukleinowych. Celem projektu, zgodnie z pierwotnym założeniem, są następujące. Pierwszym celem jest sporządzenie mapy genetycznej sprzężeń, tj. ustalenie kolejności i wzajemnej relacji wszystkich genów na wszystkich 24 chromosomach w genomie. Drugim celem jest sporządzenie bardziej szczegółowej mapy fizycznej wszystkich sekwencji genowych. Trzeci cel nadal pozostaje najbardziej kontrowersyjny; jest nim określenie pełnej sekwencji nukleotydowej dla wszystkich 3 mld par zasad, które tworzą genom. Ten ostatni cel nie tylko czeka na rozwój szybszych, bardziej niezawodnych i tańszych technologii sekwencjonowania. Jest jeszcze wielu, którzy podają w wątpliwość ostateczną przydatność takiej informacji. Weinberg³ kwestionuje wagę i skuteczność sekwencjonowania całego genomu wobec ponoszonych kosztów. Tauber i Sarkar⁴ zgadzają się, że pełna sekwencja genowa jest znacznie mniej naglącym zadaniem w znaczeniu praktycznym niż uzyskanie wyczerpującej mapy fizycznej i genetycznej genomu. Jednak niektórzy, jak np. James D. Watson, główny wnioskodawca projektu i jego siła napędowa, ciągle argumentują, że tego trzeciego i ostatecznego celu projektu nie można pominąć⁵.

Korzyści wynikające z sukcesu h.g.p. mogą być liczne i znaczące. Za minimum można będzie uznać określenie i umiejscowienie specyficznych genów związanych etiologicznie ze specyficznymi zaburzeniami genetycznymi. Obecnie zidentyfikowano ponad 4000 syndromów wywołanych przez specyficzne nieprawidłowości w jednym lub więcej genetycznych loci. Rozpoznanie tych warunków niewątpliwie znacznie się poprawi. Nastąpi również poprawa w dziedzinie poradnictwa genetycznego dla grup podwyższonego ryzyka ze względu na rodzenie dotkniętego chorobą potomstwa. Co więcej, w ciągu ostatnich kilku lat nastąpił istotny postęp w wyjaśnianiu, jakie czynniki genetyczne predysponują do różnych stanów chorobowych. Onkologia kliniczna podaje liczne przykłady jednostek chorobowych, w których leżący u podstaw predyspozycyjnych czynnik genetyczny odgrywa kluczową rolę w etiologii zachorowalności. Poza tym infor-

dającego się zmierzyć), podczas gdy inne są w dużym stopniu reprimowane (represja: proces wyłączania genów w zjawiskach regulacji ich aktywności – E.G.).

³R. Weinberg, *There Are Two Large Questions*, „FASEB Journ.”, nr 5/1991, s. 78.

⁴A.I. Tauber, S. Sarkar, *The Human Genome Project: Has Blind Reductionism Gone Too Far?*, „Perspect. Biol. Med.”, nr 35/1992, s. 220-235.

⁵J. Watson, R.M. Cook-Deegan, *Origins of the Human Genome Project*, „FASEB Journ.”, nr 5/1991, s. 8-11.

macja genetyczna pochodząca z h.g.p. najprawdopodobniej pozwoli na głębsze i bardziej precyzyjne zrozumienie ściśle poligenicznego charakteru i genetycznego ryzyka chorób sercowo-naczyniowych oraz różnego rodzaju chorób wynikających z niedoborów immunologicznych i bez wątpienia także innych większych kategorii chorób.

Już są w toku pierwsze próby kliniczne bazujące na terapii genowej, a wstępne oceny dokonanego postępu są zachęcające. Dalszy postęp w terapii genowej powinien być możliwy, wychodząc poza to, co obecnie dokonuje się w bardzo wąskim zakresie pojedynczych genów, które poddają się takiemu traktowaniu. Lecz taki postęp wydaje się nieodłącznie związany z wiedzą zawierającą więcej szczegółów o lokalizacji, strukturze i funkcji uczestniczących genów. H.g.p. gwarantuje taką wiedzę i dlatego jest postrzegany jako niezbędny dla szybkiego i spektakularnego postępu w próbach leczenia chorób genetycznych.

Wreszcie są wystarczające powody, aby wierzyć, że na takie kompleksowe cechy człowieka, jak zachowanie, osobowość i możliwości intelektualne częściowy przynajmniej ma wpływ wzajemne oddziaływanie produktów różnych genów. Wkład genetyczny w kształtowanie tych cech, będących kwintesencją cech ludzkich, jest prawdopodobnie bardziej złożony od innych znanych dotąd mechanizmów. Jest on prawie na pewno wysoce multigeniczny w swym funkcjonowaniu. Do wyjaśnienia pozostaje wielkość udziału elementów genetycznych. Jest oczywiste, że gdy możliwości techniczne pozwolą na niezawodną nimi manipulację, będzie temu towarzyszyć wiele trudności i fundamentalnych pytań natury etycznej.

Ze wszystkich kwestii bioetycznych, które zrodziły się w związku z h.g.p., żadna nie jest bardziej trafna i w dodatku bardziej niebezpieczna, jak możliwość dyskryminacji genetycznej i dążenie redukcjonistyczne, w którym leży jej etiologia i podstawa. Wyrażony w swej najbardziej elementarnej formie redukcjonizm genetyczny mógłby utrzymywać, że „ty jesteś twoimi genami”. Jako przykład budzących niepokój konsekwencji logiki redukcjonistycznej mamy takie argumenty, jak przedstawione przez Dawsona i Singera. Pytają oni: *Jeśli mamy znaleźć wyznaczniki genetyczne determinujące silne tendencje do popełniania przestępstw, czy byłoby źle podjąć próbę redukcji liczby takich osobników już urodzonych, czy też lepiej ciągle dopuszczać do poczęcia?*⁶ Twierdząc, używając najmocniejszych określeń,

⁶ K. Dawson, P. Singer, *The Human Genome Project: For Better or Worse?*, „Med. J. Austral.,” nr 152/1990, s. 484-486.

że byłoby to rzeczywiście potwornie złe. Taka alarmująca postawa genetycznego redukcjonizmu całkowicie i kompletnie ignoruje fakt kluczowych i wysoce znaczących oddziaływań środowiska, które mają wielki wpływ na rozwój zachowań ludzkich, nie wyłączając wzorów zachowań kryminalnych. Zredukowanie zachowania do szczegółowej analizy indywidualnego genotypu byłoby całkowicie nieuzasadnione, a w swej skrajnej formie stanowiłoby złowieszczą dyskryminację.

Dyskryminacja genetyczna⁷ tak niepokojąca, jak możemy sobie wyobrazić, nie jest czymś, co może się zdarzyć w przyszłości, lecz tym, co już się zdarza. Billings i jego współpracownicy udokumentowali liczne niepokojące przykłady⁸. I tak pacjenci z hemochromatozą przebiegającą całkowicie bezobjawowo zostali pozbawieni podstawowego ubezpieczenia. Nosiciel choroby Gauchera, który był całkowicie zdrowy, napotkał ogromne trudności w objęciu posady rządowej. Kobieta z syndromem PKU, która dzięki starannej i właściwej opiece uniknęła cierpień związanych z przebiegiem tej choroby, została powiadomiona, że nie może uzyskać ubezpieczenia medycznego, ponieważ została zaliczona do grupy wysokiego ryzyka. Fitzgerald z kolei pisze o przypadku kobiety, u której dzieci wykryto синдром kruchości chromosomu X; ubezpieczenie ich zostało natychmiast anulowane, chociaż stan ten nie wymaga żadnej formy leczenia⁹.

Dawson i Singer zapoznają nas z przykładem klasycznego konfliktu pomiędzy interesem wspólnym i jednostkowym. Autonomia obejmuje również prawo do prywatności, lecz prawo to nie jest zachowywane w pewnych określonych przypadkach, takich jak ten, w którym wyrządzenie krzywdy innym może potencjalnie być wynikiem braku dostępu do informacji o genach drugiej osoby. W przykładzie podanym przez Dawsona i Singera można by pozostać przy tym, że zbiorowa korzyść w ochronie przed mogącą nastąpić kryminalną przemocą jest ważniejsza niż prawo i korzyści poszczególnych jednostek. Po pierwsze jednakże musimy zadać ważne pytania dotyczące danych, na podstawie których podejmuje się decyzje. W tym

⁷ Dyskryminacja genetyczna może być zdefiniowana jako dyskryminacja osobnika lub członka jego rodziny na podstawie prawdziwych lub odczuwanych różnic w budowie genetycznej tego osobnika w stosunku do „normalnego” genomu.

⁸ P.R. Billings, M.A. Kohn, M. de Cuevas, J. Beckwith, J.S. Alper, M.R. Natowicz, *Discrimination as a Consequence of Genetic Testing*, „A. Journ., Hum. Genet.”, nr 50/1992, s. 476-482.

⁹ K. Fitzgerald, *Genetic Damages*, „The Sciences”, nr 32/1992, s. 7.

przypadku podejrzenie, że w najwyższym stopniu skomplikowane, trwające przez całe życie wzorce zachowań ludzkich, jak przestępczość, są całkowicie przewidywalne ze względu na dziedziczenie jednego lub więcej kluczowych alleli (allel: jedna z dwóch lub więcej alternatywnych form genu – E.G.) „kryminalnych”, jest absolutnie nie potwierdzone. Prezydencka Komisja Stanów Zjednoczonych określa jako niebezpieczne *tendencje do utożsamiania tego, co jest w rzeczywistości problemem SPOŁECZNYM z NIEDOBORAMI GENETYCZNYMI poszczególnych osób* (podkr. P.W.B.)¹⁰.

Musimy też w tym samym kontekście rozważyć odpowiedzialność poszczególnych osób za ich zachowanie. Redukcjonizm genetyczny, próbując wyciągnąć rozsądne wnioski, prezentuje nam najbardziej skrajną sytuację: że całe zachowanie jest zdeterminowane genetycznie. Oczywiście jeśli tak jest, musimy zapytać o znaczenie wolnej woli. Wydaje się oczywiste, że genetyka ma pewien udział w zachowaniu, nawet w złożonych wzorcach zachowań. Kluczowe pytanie dotyczy zasięgu wpływu genetycznego. Redukcjonizm znosi wolną wolę; zakłada, że w rzeczywistości nie jesteśmy wolni, lecz jesteśmy „ofiarami” ograniczeń nałożonych na nas przez nasze genotypy w chwili poczęcia. Nie jest to jedynie mizerna etyka; jest to także zła nauka. Wszystko, czego nauczyliśmy się lub uczymy się aktualnie, sugeruje, że prawdopodobnie w większym stopniu do postępu w naukach podstawowych prowadzi antyredukjonizm niż redukjonizm. Historia postępu w podstawowych naukach przyrodniczych w ostatnich kilku dziesięcioleciach dosadnie to ilustruje.

Innym niebezpieczeństwem jest zbytne uproszczenie tego, co dotychczas było postrzegane jako bardzo złożone, jako zagmatwany zestaw wewnętrznych związków operacyjnych. Weinberg pisze: *Z chwilą gdy techniki analityczne dotyczące obróbki DNA stały się szybkie, rutynowe i ogólnie dostępne, napotykamy zdumiewająco proste związki pomiędzy złożonymi cechami ludzkimi a pojedynczymi, możliwymi do zidentyfikowania wyznacznikami genetycznymi*¹¹. Faktycznie, musimy się zatroszczyć o rozumienie zasad, zgodnie z któ-

¹⁰ President's Commission for the Study of Ethical Problems in Medicine and Biomedical and Behavioral Research, *Splicing Life: A report on the Social and Ethical Issues of Genetic Engineering with Human Beings*, U.S. Government Printing Office 1982, s. 72.

¹¹ R. Weinberg, dz. cyt.

rzymi geny biorą udział w takich złożonych ludzkich zjawiskach, jak inteligencja, osobowość i zachowanie. Obserwacja Weinberga stwarza niebezpieczną pokusę zbytniego uproszczenia i zbyt szerokiego zastosowania reguł, które odkryliśmy, a które wyjaśniają działanie genów związanych ze stanami patologicznymi. Poszukiwanie „zdumiewająco prostych” wyjaśnień dla skrajnej złożoności jest przede wszystkim zasadniczo kiepską nauką; my po prostu nie możemy wyprzedzać takich rezultatów, zanim badania zostaną wykonane. Co więcej, byłoby to niedocenieniem całej tajemnicy fenomenu ludzkiego.

W postawionym problemie, czy h.g.p. jest atakiem na ludzką godność, Sinsheimer pyta retorycznie: *Czyż preferuje się rozmyślną ignorancję zamiast rozszerzenia ludzkiej wiedzy o samym sobie?* Oczywiście odpowiedź musi brzmieć „nie”, ale w postawionym pytaniu Sinsheimer nie spojrzał odpowiedzialnie szerzej i nie zadał pytania o podobnym ciężarze gatunkowym: Jeśli h.g.p. wiedzie nas wszystkich ku coraz to większemu redukcjonizmowi, z całym jego nieuniknionym bagażem genetycznej dyskryminacji, na skalę, która niewykluczone, że doprowadziłaby do naruszenia kilku granic, to czy jest to atak na ludzką godność? Jeśli ludzkie embriony zostaną zepchnięte do roli zwykłych artykułów, które się kupuje i sprzedaje, czy wówczas godność ludzka nie będzie skompromitowana? Jeśli nasze dzieci będą postrzegane jako zwykły towar, którego cechy będą mogły być selekcjonowane tak, aby pasowały do naszych zachcianek i przemijających fantazji, czyż nie dochodzi do anulowania ich – i naszej – wrodzonej wartości jako osób? Jeśli, gdy otrzymamy szczegółową informację o naszej strukturze genetycznej i okaże się ona bardzo podobna do tej u niższych gatunków, czy to nie powinno nas skłonić do przemyślenia naszych moralnych związków z nimi?¹²

Odpowiedź na te pytania jest oczywista: jesteśmy i zawsze pozostaniemy czymś więcej – znacznie więcej – niż tylko naszymi genami. Tak więc nie możemy usprawiedliwiać manipulacji genami lub nawet zbierania szczegółowych informacji technicznych o ich strukturze i funkcjonowaniu, bez zyskania pewności, że uważnie i całkowicie wytłumaczymy niegenetyczne czynniki ludzkie, włącznie z niezgłębioną tajemnicą ludzkiej godności.

Judeochrześcijańska tradycja religijna kładzie nacisk na szczególny obowiązek spoczywający na nas, aby być odpowiedzialnymi w rozpo-

¹²Ten zmuszający do myślenia problem został podniesiony w: T. Murray, *Ethical Issues in Human Genome Research*, „FASEB Journ.”, nr 5/1991, s. 55-60.

rzządzaniu wszystkimi danymi nam siłami, łącznie z siłą rozumu, która jest podstawą naszego intelektu. Raport Komisji Prezydenckiej USA dotyczący technik genetycznych¹³ zwraca uwagę na oczywisty fakt, że użycie intelektu, ludzkiego obejmuje również naszą znajomość genetyki i techniki genetycznej. Chociaż ten raport z 1983 r. zajmuje się szczegółowo zastosowaniem strategii inżynierii genetycznej (został on napisany, zanim sformułowano pojęcie h.g.p.), to jego podejście do istotnych punktów, w których dochodzi do przecięcia się genetyki i moralnego myślenia religijnego, wiąże się w sposób szczególny z rozważaniami nad h.g.p. Chrześcijaństwo utrzymuje, że istoty ludzkie są w pewnym sensie współtwórcami wraz z Bogiem. Gromadzenie wiedzy o naturze, w tym o naturze ludzkiej, jest w sposób pozytywny usankcjonowane. Wiąza się z tym jednak większe wymagania. Musimy zwracać baczną uwagę, aby nasza wiedza, szczególnie ta dotycząca natury ludzkiej, zawsze służyła rozwojowi, a nigdy nie szkodziła godności człowieka, jego wolności i szczęściu. Dane h.g.p. składają się z lokalizacji, struktur i funkcji genów, jak również ewentualnie sekwencji całego genomu ludzkiego. Lecz dane tego typu, jeśli już staną się dostępne, będą ewidentnie stanowić nowe siły zmierzające w kierunku działania na genom i jego modyfikacji, a co ważniejsze, na fundamentalne aspekty natury ludzkiej na najbardziej podstawowym poziomie. Jesteśmy też upoważnieni przez naszą tradycję do łagodzenia naszego cierpienia o tyle, o ile możemy. Możliwość postępu w leczeniu chorób genetycznych za pomocą terapii genowej jest wobec tego sama w sobie chrześcijańskim usprawiedliwieniem dalszych prac nad projektem genomowym. Maksymalny wpływ na zminimalizowanie ludzkiego cierpienia należy z tego względu wysoko ocenić.

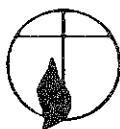
Praca Komisji nie doprowadziła do znalezienia żadnych religijnych czy związanych z wiarą przeciwwskazań, które kategorycznie zabraniałyby stosowania technologii genetycznej ze względu na działanie przeciw naturalnemu prawu. Należy powiedzieć, że nie ma podstaw, aby utrzymywać, że działania związane ze zrekombinowanym DNA (tzn. takim, w którym dokonano wymiany między dwiema cząsteczkami DNA lub dwoma chromatydami chromosomu; rekombinacją jest także łączenie *in vitro* cząsteczek DNA różnego pochodzenia – E.G.) są zabronione z moralnego punktu widzenia jako rzekomo sprzeczne z zamysłem Bożym. Wierzę, że ten sam wniosek można wysnuć dla

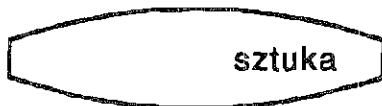
¹³ President's Commission, dz. cyt.

projektu h.g.p. Rzeczywiście tego rodzaju próby są nie tylko dozwolone, ale wręcz konieczne; istnieje obowiązek używania sił rozumu w największym możliwym wymiarze w dążeniu do postępu ludzkości, z zastrzeżeniem, że czynienie tego nie przyniesie szkody. Nie znaczy to, że każda praca naukowa w jakikolwiek sposób związana z gatunkiem ludzkim jest wolna od zakazów moralnych. Ostateczną zasadą musi być i tym razem zachowanie i wspieranie godności i wolności człowieka.

Wnioskiem końcowym Komisji było stwierdzenie, że zamierzona manipulacja genami ludzkimi była moralnie dopuszczalna. Te same warunki i zastrzeżenia, które odnoszą się do pracy ze zrekombinowanym DNA, w równym stopniu dotyczą h.g.p. Cele i realizacja tego wysiłku muszą być nastawione na polepszenie ludzkich warunków i muszą eliminować (lub redukować o tyle, o ile można przewidzieć) wszystko, co potencjalnie zagrażałoby wrodzonej godności człowieka.

thum. Elżbieta Grzesiuk





PRÓBY ODPOWIEDZI

Gdzie jest brat twój, Abel?

**Galeria Sztuki Współczesnej
Zachęta
w Warszawie
maj 1995 r.**

Pytanie o Abła jest pytaniem o niewinnie przelaną krew – pisze we wprowadzeniu do katalogu wystawy jej autorka Anda Rottenberg. Jest jednocześnie pytaniem o pokrewieństwo. Jeżeli na Ziemi żyje tylko dwóch braci, to czy należy aż tak podkreślać, iż chodzi o ten właśnie rodzaj pokrewieństwa? Czy chodzi o to, iż nie ma innej relacji między ludźmi, ponieważ wszyscy należą do tego samego gatunku?

Pytania i sugestie autorki z tej publikacji towarzyszącej zostały rozwinięte w trzech następnych tekstach: Andrzeja Szczypiorskiego, Doreet Le Vitte Harten oraz Michaela Sgan-Cohana. W dwu ostatnich – w odniesieniu do możliwości sztuk plastycznych poza wielką tradycją chrześcijańską (raczej ich niemożności) sprostania prawdzie o ludobójstwie, którego synonimem pod koniec naszego stulecia pozostaje Auschwitz.

Wystawa w Zachęcie zaprezentowała dzieła sztuki najnowszej, w których artyści temat ten, „nie-

możliwy” do zobrazowania, podjęli. Pokaz otwierały w oddzielnych salach parteru prace reprezentujące jakby dwa nurty w sztuce europejskiej, dwa spojrzenia na rzeczywistość: artyści ze Wschodu i artyści z Zachodu. Tomasz Kizny przedstawił zespół fotogramów zatytułowany „Wyrok” (1994). W obszernym, zaciemnionym wnętrzu, na ścianach na wprost siebie, umieścił powiększone wizerunki pasażerów moskiewskiego metra pogrążonych we śnie. Temu kontrolowanemu dosypianiu przeciwstawił twarze z napięciem wpatrujące się w obiektyw na fotografiach przechowywanych w archiwum KGB osób skazanych na śmierć w procesach 1937-38 r. Zaopatrzone w notki: imię, nazwisko, powód skazania i bezapelacyjne „wyrok wykonano”, po 1957 r. zrehabilitowany. Dwanaście osób z tysiąca tysięcy.

Z sali sąsiedniej sączyła się ostra poświata niebieska na przemian z ognistą, emitowane przez ścianę, na którą skierowane były ekrany zestawu 16 telewizorów. Odległość między ścianą a ekranami szerokości dłoni wykluczała bezpośredni odbiór „wieści”. Praca Jochena Gerza „Wieści w wieści” (1995) stanowiła więc rodzaj seansu do ściany, przekaz dla nieobecnych. Dla umarłych? Instalacja Gerza, tak jak i wiele innych prac na wystawie, pobudzając wyobraźnię, dopuszczała wiele interpretacji.

Fotografii jako tworzywa swojej pracy użył również Arnulf Rainer w sali I piętra. Składała się na nią seria czarno-białych zdjęć zniszczonej po wybuchu bomby atomowej Hiroszimy. Osobisty stosunek artysty do widoku ruin i ofiar ilustro-

wały naniesione na fotografii przypadkowe plamy koloru i płatanina linii. Czy da się wyrazić w artystycznej formie prawdę o zagładzie miasta i męczeństwie ludzi za pomocą zamierzenie nieudolnej i bełkotliwej interwencji plastycznej w skromny szary dokument? Można popaść w rozterkę.

W tej samej sali umieszczono sugestywną kompozycję przestrzenną Magdaleny Abakanowicz „Tłum V”, złożoną z naturalnej wielkości figur ludzkich pozbawionych głów. Wykonane z workowego płótna utrwalonego syntetyczną żywicą, wydrążone od tyłu postacie o niemal zatartych cechach swojej płci i wieku tworzyły przerażającą swoją anonimowością wielofigurę.

Jedyną bodaj pracą wyłamującą się z frontu oskarżeń była instalacja „Bliźni” z 1995 r. autorstwa Christiana Boltanskiego. I ona zajmowała oddzielne pomieszczenie. W ciemnym wnętrzu oświetlonym punkcikami żarówek zwieszającymi się z sufitu, wzdłuż ścian na wysokości wzroku umieszczone były w jednakowej odległości prostokątne oszklone ramy o czarnych tłach, w których jak lustrach przesuwwały się twarze zwiedzających. Z ukrytego głośnika dobiegał głos monotonicznie odczytujący listę imion i nazwisk. Nieskończona lista obecności. *Kto jest moim bliźnim?* – pada pytanie w Ewangelii. „On to ja”, „on to ty” – zdaje się odpowiadać Boltanski.

Słynne już magiczne przedmioty sztuki Krzysztofa Wodiczki: „Laska tułacza” (1992) oraz „Rzecznik” (1994), po prezentacjach na świecie i pokazie w Zamku Ujazdowskim, rok temu zaistniały w Zachęcie

w poszerzonej funkcji, w roli moralitetów poświęconych problemowi nietolerancji.

Wymienione prace, jak również instalacja „Mapy mentalne” Penny Yasour, kojarząca się z izbą tortur nowej generacji, sąsiadowały na wystawie z obrazami o tradycyjnym warsztacie: z ekspresyjnymi kompozycjami Antonio Saury i przygnębiającą wedutą Kiefera, z kolorystycznie wyszukаныmi zestawami obrazów Moshe Kupfermanna (1990-95) z ich obsesyjnym motywem zakratowanej rzeczywistości oraz serią ilustracji do Psalmów Moshe Gershumi (1994).

Osobliwy przerywnik na wystawie stanowiło przejście między salami na I piętrze od strony wschodniej, ujęte w dwa ekrany długości 13 m, wysokie na 2 m, pokryte równomiernie warstwą szarego mydła, w zamkniętym wnętrzu cuchnącego i dosłownie zapierającego dech w piersiach. Ta praca Mirosława Bałki, wymuszająca trwożne skojarzenia z mydłem z tłuszczu ludzkiego, pospolitą czynnością prania, umywania rąk albo mydlenia oczu, wydała mi się przedsięwzięciem wręcz ryzykanckim.

Ze względu na rangę niektórych autorów i ryzyko artystyczne, jakie podjęli, wystawa stanowiła wydarzenie. Zbiegła się ona w czasie z radosnymi w wielu krajach obchodami 50. rocznicy zakończenia II wojny światowej, które na chwilę przyćmiły pokazami sztucznych ogni prawdziwe wieści z frontów na Bałkanach i w Czeczenii. Biblijne pytanie o los Abła pozostaje w mocy.

Krystyna Paluch Staszkiel



STUHR PANEM JOURDAIN

Teatr Ludowy w Nowej Hucie

Mieszczanin szlachcicem Moliera

przekład –

Tadeusz Żeleński-Boy
scenografia – Elżbieta Krywsza

reżyseria – Jerzy Stuhr
premiera w czerwcu 1993 r.

Teatr TV, pr. I TVP,
24 VII 1995 r.

Jeśli pominąć słynną scenę lekcji filozofii pobieranej przez pana Jourdain (*...zatem ja już przeszło 40 lat mówię prozą, nie mając o tym żywego pojęcia!!*), w „Mieszczaninie szlachcicem” nie dopatrywali się specjalnych walorów ani historycy literatury, ani ludzie teatru. Trzeba jednak przecież przyznać, że nawet trochę wybrakowany Molier bije na głowę większość konkurentów próbujących zmierzyć się z tym samym problemem. A problem to frapujący, szczególnie w momentach przewrotów socjologicznych, taki zaś właśnie w Polsce przeżywamy. Skoro więc jeszcze nie została napisana znakomita komedia zatytułowana, dajmy na to, „Z cinkciarza biznesmen”, nadal najlepszą w teatrze satyryczną diagnozą zjawiska nuworyszostwa pozostaje stary „Mieszczanin szlachcicem”.

Nasza telewizja żywi, jak się zdaje, sentyment dla tej sztuki – i słusznie. „Mieszczanin”, nader rzadko grywany na scenach po wojnie (przedtem zresztą także nie za często pojawiał się na afiszu), stał się przecież jednym z największych przebojów telewizyjnego teatru; myślę oczywiście o słynnym przedstawieniu z Bogumiłem Kobiełą w roli pana Jourdain. Wiedzioną zapewne po części pamięcią tego wydarzenia, redakcja Teatru TV postanowiła przenieść na ekran spektakl wyreżyserowany w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie przez Stuhra i ze Stuhrem w roli tytułowej. Rzecz zarejestrowano w gmachu nowohuckim, w obecności widzów, która reaguje bardzo żywiołowo i świetnie się bawi, a wreszcie urządza owację na stojąco. Podczas przedstawienia kamera od czasu do czasu przenosi się za kulisy, gdzie widzimy, jak artyści po opuszczeniu sceny ocierają pot ze zmęczonych lic albo przebierają się w panicznym pośpiechu, byśmy na czas dostali kolejną porcję zabawy. Na mojej kanapie, przed telewizorem, było mniej wesoło niż na teatralnej widowni, i to nie tylko z powodu wyrzutów sumienia, iż biedni aktorzy tak się męczą.

Zgodnie z tradycją najlepiej wypadła lekcja filozofii, istotnie śmieszna, także dzięki obecności dwóch lokajów (Roland Nowak i Krzysztof Górecki), prezentujących mimicznie niebotyczne zdumienie i podziw. Poza tym jednak przedstawienie jest ciężkawe, pozbawione, z wyjątkiem nielicznych momentów, wdzięku i pomysłowości. Kostiumy, które pełnią w tej sztuce niesłychanie

ważną rolę, opisują bowiem w dużej mierze postać pana Jourdain i jego otoczenie, zostały zaprojektowane byle jak, niedowcipnie i niestaranie. Nawet w farsie żarty dzielą się na smaczne i niesmaczne; do tej ostatniej kategorii należy występ w menuecie pana Jourdain odzianego w gorset i damski (?) kapelusz. Aktorstwo większości wykonawców należałoby raczej nazwać wygłupianiem się niż grą; jakieś próby zbudowania porządnego ról można było zaobserwować jedynie w przypadku Doroty Zięciowskiej (pani Jourdain) czy Romana Gancarczyka (służący Covielle). Balety, zaprezentowane w finale, lepiej będzie pominąć milczeniem.

Największym jednak rozczarowaniem jest pan Jourdain Stuhra. Oczywiście aktor tej miary nie może chwilami nie być zabawny w takiej roli; Stuhra zbudował jednak tylko karykaturę karykatury, zbyt odczułowieczoną, by mogła budzić prawdziwe zainteresowanie. Tytułowy bohater w jego interpretacji to krzywo umazany różem i szminką chamski pajac, dotknięty w dodatku zespołem Downa. Dziwi to, zważywszy że właśnie ten aktor ma na swoim koncie tyle ról figur śmiesznych czy odrażających – rysowanych z pasją, lecz żywych, pełnowymiarowych. Chwilami wydawało się niemal, że Stuhra tak nienawidzi pana Jourdain, iż z tej nienawiści nie chce dać mu żadnej szansy. Może jest to jakieś wyjaśnienie, w swoich wspomnieniach „Sercowa choroba” aktor oświadczył się przecież publicznie z niechęcią wobec arystów nazwanych przezeń „inżynierami” – pozwolił sobie zacytować: ...*To taki*

facet, który ma już wszystko i tylko jeszcze jakiegoś tytułu (...) mu brak. Ma audi, video Panasonic, zestaw sateliarny, schabowego i pół litra, a kiedyś jakiś lizusowaty klient-inteligencik w jego warsztacie tak go nazwał i „tytuł” się przyjął. Mniejsza o trafność wizerunku i nomenklatury – „inżynier” to najwyraźniej dla Stuhra pan Jourdain naszych czasów. A przecież pan Jourdain przerasta o niebo „inżyniera” – nie ma jego drapieżności i pazerności, za to charakteryzuje się snobizmem obejmującym nie tylko formy, ale i treść. Pan Jourdain chce się uczyć. Molier nie byłby arcyministrem, gdyby nie obdarzył swojego bohatera cechami sympatycznymi – między innymi tym szczerym, choć najwnym szacunkiem dla nieosiągalnej wiedzy. I to sprawia, że bohater ów, komicznie nieporadny w swoim dążeniu do wielkiego świata, w sztuce jest pozbawiony chamskiego wyrażającego się także w prostackim beserwisierstwie. Jest niemądry i śmieszny, lecz również w gruncie rzeczy wzruszający.

Tę delikatną, precyzyjną konstrukcję Molierowskiej postaci naruszono w przedstawieniu nowohuckim, odebrano jej życie. Nie udało się też opisać „inżyniera” panem Jourdain, nie udało się skomentować współczesnego nam nuworyszostwa. Niepotrzebnie artyści tak się naharowali.

Joanna Godlewska



WSPOMNIENIA Z ŁAGOWA

Lubuskie Lato Filmowe 1995

Lubuskie Lato Filmowe odbywa się już od 25 lat. Spotkania w Łagowie mają swój szczególny koloryt. Do maleńkiego miasteczka, malowniczo położonego wśród wzgórz porośniętych bukiem i przegładającego się w taflach jezior, zjeżdżają artyści, krytycy filmowi, publiczność podupadających dzisiaj DKF-ów, po to, by porozmawiać o kinie Europy Środkowej i Wschodniej. Hasło tegorocznej imprezy brzmiało: „Kiedy kino bywa sztuką?” i wokół tego pytania koncentrowały się dyskusje i seminaria z udziałem twórców. Teraz, u schyłku kalendarzowego lata, chciałabym się podzielić z Państwem garścią wspomnień z tego pełnego uroku miejsca.

Filmowy maraton w Łagowie jest dość kameralny, a jednak na pokazy w ciasnym kinie „Świtez” i późnowieczorne projekcje w amfiteatrze ściągają tłumy młodych widzów (niestety, nie zawsze obeznanych z *savoir-vivrem*). Nagrody, które po całym tygodniu rozdziela jury, mają charakter promocyjny i według słów regulaminu *ich celem jest popularyzacja dzieł filmowych powstałych w tej części świata zarówno wśród odbiorców krajowych, jak i zagranicznych*. A zatem tegoroczny podział

nagród jest znaczący – żadnej z nich nie otrzymał film polski – nie mamy czego promować?

Nagrodą Złotego Grona uhonorowano film czeski „Indiańskie lato” w reż. Sasy Gedeona, zaznaczając, że jest to próba docenienia wszystkich osiągnięć tej niedużej kinematografii, umiejętnie nawiązującej do tradycji z lat 60. Wyróżniony film to ciepła, liryczna opowieść o dojrzewaniu dwóch dziewczyn, o ich rozterkach uczuciowych i przekraczaniu progu dorosłości.

Srebrne Grono trafiło do rąk Węgrów *ex equo* za dwa filmy: „Przebudzenie” w reż. Judit Elek i „Cudowną podróż Kornela Estiego” w reż. Józsefa Pacskovszkyego. Pierwszy z wymienionych utworów opisuje losy 13 letniej dziewczynki, której umiera matka. Znajdujemy się w Budapeszcie w 1952 r., ludzie mieszkają w rotacyjnych, zagranych mieszkaniach, ojciec musi zostawić córeczkę pod opieką rodziny, ponieważ został wyznaczony do pracy na jednej z wielkich budów socjalizmu. Mała nie może pojąć faktów. Nie godzi się ze śmiercią i wytwarza we własnej wyobraźni wizerunek matki, który jej stale towarzyszy. Ta specyficzna więź osób tak bliskich, rozdzielonych niewidzialną zasłoną, została pokazana z ogromną delikatnością i wewnętrzną prawdą – był to główny atut filmu utrzymanego w tonie gawędy. Podobnymi walorami odznaczał się drugi z filmów węgierskich. Tytułowa podróż odbywa się w czasie i przestrzeni. Dwa pociągi wyruszają z odległych od siebie punktów. W jednym podróży zbliżający się do kresu życia, znany

w całej Europie pisarz, Kornel Esti. Jest już prawie zima 1933 r., pisarz udaje się na swój ostatni cykl odczytów do Niemiec. Z tej samej stacji, ale o 30 lat wcześniej, w 1903 r., wyrusza inny pociąg, a w nim młody Kornel Esti, spragniony wiedzy badacz sekretów życia, jedzie w swą pierwszą samodzielną podróż nad włoskie morze. Konfrontacja postaw: młodzieńczego entuzjazmu, wiary, że tylko pisarz-artysta potrafi rozstrzygnąć dylematy życia, i starczej goryczy, w której mieści się poczucie zmarnowanych szans – to główny, nostalgiczny wątek filmu. Motyw przemijania, tak często obecny w literaturze (ten scenariusz powstał na kanwie powieści Dezso Kosztolanyiego), okazał się trafnym wyborem artystycznym.

Wreszcie Brązowe Grono przyznano filmowi rosyjskiemu „Wolny i niczyj, czyli efekt Doriana” w reż. V. Pendrakowskiego, filmowi, którego treścią są perypetie miłosnego trójkąta.

Wszystkie nagrodzone filmy łączy osobliwa prawidłowość – odsuwają one gdzieś na dalszy plan historię, problemy społeczne, skupiają się z wyjątkową przenikliwością na losach jednostek, ludzkim mikroświecie, w którym, jak się okazuje, nic nie jest jednoznacznie przesądzone ani dane raz na zawsze. Ujawnia się w nich autentyczna potrzeba poznania wnętrza człowieka, wręcz ze świadomym pominięciem realnego otoczenia, uwarunkowań politycznych czy jakichkolwiek innych. Są chwile, kiedy takie filmy z trudem się ogląda, przełamując w sobie przyzwyczajenie do amerykańskiego tempa, zwrotów akcji czy

efektów specjalnych. One płyną, spowolniałym rytmem drążą wciąż to samo koryto, co nie odbiera im ani piękna (przykładem niech tu będzie białoruska baśń „Dusza moja, Maryja” w reż. Wiaczesława Nikiforowa), ani konsekwencji w prowadzeniu wywodu (pod tym względem bardzo sprawna warsztatowo była czeska adaptacja „Ameryki” F. Kafki w reż. Vladimira Michalka). Z pewnością można im zarzucić, że nie są to „produkty na eksport”, dopracowane niemal kadr po kadrze (tu i ówdzie przydałyby się nożyce przy montażu), ale ich siłą jest to, że wyrastają z własnej gleby, nie usiłują niczego zapożyczać ani udawać.

A takimi właśnie winami obarczone jest najmłodsze kino polskie. Wszystkie zaprezentowane w Łagowie filmy grzeszyły niespójnością, brakiem zdecydowania twórców, jaki gatunek chcą uprawiać, nawet najstarsi i najbardziej doświadczeni reżyserzy (jak Jerzy Antczak czy Jan Łomnicki) nie ustrzegli się sporych pomyłek. Publiczność Lubuskiego Łata obejrzała produkcję kategorii „B” i „C”, ale czy to samo zechcą oglądać widzowie w kinach – mam poważne wątpliwości. Dla porządku wymienię kilka tytułów: „Dama Kameliowa” – papierowa ekranizacja powieści Aleksandra Dumasa, w której duet Antczak-Barańska daje dowód na to, że jest zdolny zaledwie do autoplagiatów. „Prowokator” – reżyser Krzysztof Lang nie mógł się zdecydować, czy obsadzić Bogusława Lindę w roli zamachowca igrającego z carską ochroną, czy może „użyć” go do roli taternika; w rezultacie zrobił film, o którym

w potocznym języku powiedziałoby się: ni pies, ni wydra. „Polska śmierć” – tu przyznam, że chętnie zapytałabym Waldemara Krzystka, co zafascynowało go w temacie seryjnych zabójstw, dokonywanych prawdopodobnie przez osobę niezrównoważoną psychicznie, żeby nakręcić o tym film. Niestety, reżyser do Łagowa nie przyjechał. Na koniec tej wyliczanki jeszcze dwa filmy o młodzieży i chyba (?) dla niej przeznaczone. „Gorący czwartek” w reż. Michała Rosy opowiada o grupie chłopców z górniczego regionu, których marzeniem jest „wielki skok”, a potem zdobycie pieniędzy, aby oderwać się od szarej codzienności. „Młode wilki” w reż. Jarosława Żamojdy to jakby ten sam problem, z tą różnicą, że bohaterami są licealiści ze Szczecina, a formą zarobkowania – usługi dla gangu zajmującego się sprowadzaniem z Niemiec kradzionych samochodów. Oba filmy z pewnością czerpią swe inspiracje z życia (lub powiedziawszy dosadniej – z rynsztoka) i nie zamyka ich happy end. Ale w obu przypadkach nasuwa się refleksja: Jak się czuje młodociany widz wychodzący z kina? Czy po takiej instrukcji jest gotów do obrabowania kiosku, czy „tylko” do pobicia słabszego? Zamiast dalszego moralizowania warto przytoczyć także z życia wzięte słowa piosenki Kuby Sienkiewicza z zespołu Elektryczne Gitary: *Dzieci wesoło wybiegły ze szkoły, zapaliły papierosy, wyciągnęły flaszki, chodnik zapłuły, ludzi przepędziły, siedzą na ławeczkach i ryczą do siebie...* Nic dodać, nic ująć.

Na szczęście w Łagowie można było żyć nie tylko kinem. Słońce grzało, na jeziorach kołysały się kajaki i rowery wodne, w lesie było pełno jagód. Przyznaję, że ulegałam tym wszystkim pokusom z nieklamana przyjemnością. Podobnie radzę i Państwu – chodźcie do kina, kiedy pada deszcz, a na nowe filmy polskie – tylko wtedy, gdy nic lepszego nie ma w telewizji.

Anna Pietrzak

książki

PALIMPSEST

Roman Bąk
Świt

Wiersze, szkice, przekłady

Ilustr. Bogdan Kraśniewski
Muzeum Miasta
Ostrowa Wielkopolskiego 1994,
ss. 70

Poezja Romana Bąka jest trudna, wyrafinowana, operuje złożonymi tropami stylistycznymi, aluzjami kulturowymi, symbolami, skrótami, niedopowiedzeniami, wieloznaczną metaforą. Niewyrobiony czytelnik może się zrazić wieloczęściową formą niektórych utworów i urywkością, szkicowością innych. Autor z pozorną nonszalancją zrywa frazy, stosuje dziwną interpunkcję, często unika wielkich liter, czyni to jednak z pewnością z poczuciem konsekwencji swoich skomplikowanych za-

biegów formalnych. W wykonaniu Bąka poezja zdaje się czystym stanem ducha lub wyrazem życia wewnętrznego umysłu, permanentną walką treści z formą jak w muzyce, ścieraniem się sprzecznych racji jak w filozoficznym dyskursie. Analogie muzyczne podkreśla m.in. forma utworu pt. „pasacaglia na spalenie kościoła św. Ducha w Toruniu”. Poszczególne części utworu są opatrzone podtytułami rodem także z nomenklatury muzycznej. Nie są to wszakże przypadkowe, powierzchowne zapożyczenia. Muzyka jest, jak wiadomo, bliźniaczą siostrą poezji i w wierszach Romana Bąka wyraziście ujawnia się to pokrewieństwo. Niemuzyczna poezja zawsze wydawała mi się mniej wiarygodna. Chromatyczna fraza Różewicza czy dramatycznie minorowa tonacja wierszy Herberta mają w sobie ładunek muzyczny nie mniejszy niż regularny trzynastozgłoskowiec romantyków.

Pojęcia muzyczne w wierszach Bąka to tylko zewnętrzne znaki powiązań tej poezji z muzyką. Wewnętrzne związki obu sztuk można dostrzec po uważniejszej lekturze zbioru. „Świt”, to – jak informuje nota wydawnicza – dopełnienie dwóch poprzednio wydanych zbiorów, a więc debiutanckiego arkusza „ulica gdzie sprzedają zapalki” i tomu „którzy by mogli powiedzieć” (patrz rec. „PP” 1/93). Już poprzedni zbiór stanowił zarówno suplement do debiutu, jak i rozwinięcie całkiem nowych motywów. W „Świecie” powtarzają się wiersze z tomu „którzy by mogli powiedzieć”, zwłaszcza w cyklu „przechodząc do porządku dziennego”, pojawiają się

też cykle nowe. Całą twórczość Bąka można więc odbierać jak poetyckie wariacje na ulubione tematy, w których główny motyw powraca nie zmieniony albo zjawia się przetworzony w nowy zapis słowny. Melodia wierszy Bąka jest rozpoznawalna dzięki swoistości frazy, rozkwitającym barokowym spiętrzeniom słów towarzyszącym nagłym spadkom w milczenie, w ciszę niepojętości. Jeszcze jedno skojarzenie nasuwa mi się przy tej lekturze: utwory Bąka mają charakter palimpsestu. Pisząc przed rokiem o wierszach Władysława Zawistowskiego („PP” 9/94) podkreślałam rolę nabudowanych jedna na drugiej form literackich. Jeśli Zawistowski czynił swoje wstawki jakby elementami poetyckiej gry, Bąk nadaje własnym wierszom cechy całości organicznych. Każdy fragment, każdy szkic liryczny to jakby żywy organizm, który szuka i znajduje dopełnienie w innym fragmencie. Cała ta skomplikowana na pozór akcja kreacyjna jest wyrazem wiary poety w spójność świata ciała i ducha, w najwyższą moc rodzenia czy odradzania się życia. Tę wiarę najdobitniej obrazuje siódma część poematu „pasacaglia” – „ostinato”:

rozgarniając więc
popiół, rozgarniając, jakby kurz
zeirzeć z dmuchawca, nie gubiąc
[nic,
ni płatka; jakby tańczyć na czubkach
traw.
rozgarniając i wiedząc, że jest
jest w nim – popiele – płomień,
[mały,
maleńki; jak człowiek, co rodzi się

*obmyty we krwi; co rodzi się
[w szopie,
gdzie pył, gdzie zeschnię, spróchniałe
krokwie.*

Palimpsestowość, a więc warstwowość struktur lirycznych poezji Bąka, sięga głęboko w treść jego utworów, wypełnia niejako duchową materię wiersza aż po jego najpierwotniejszy rdzeń – prapazis. Przez odniesienia do motywów biblijnych, antycznych, przez przywoływanie istotnych dla poety miar literackich (Norwid, Cummings) poeta sytuuje siebie w myślącej i czującej tradycji świata, hodując na cudzych myślach i uczuciach własne wizje. Podwójne motto zbioru – z Izajasza i Norwida – wprowadza już na wstępie ów nastrój dziania się i nie-dziania równocześnie, poznawczej pasji i poznawczego bezwładu, którym ulegamy wciąż – istniejąc: *Stróżu, która to godzina nocy? Stróż odrzekł: Nadchodzi ranek, ale wciąż jest noc* (Iz 21,11-12); *My nie wiemy, my przez całe życie chcemy coś wiedzieć, ale nic nie wiemy* (C.K. Norwid, „Chwila myśli”). Tytułowy wiersz „Świt” stanowi parafrazę obydwu zacytowanych myśli naraz. Moment świtu, rodzenia się dnia i zapowiedź kresu nocy jednocześnie, wywołuje w poecie równie dwoistą refleksję: *jest tajemnicą ten ruch, zagadką, / period nadymający się, to znów / niknący. // nie chcemy wiedzieć, tak naprawdę / nie chcemy wiedzieć nic. / oczy do wewnątrz...* Pojęcie tajemnicy jako ostateczne rozpoznanie zagadki bytu niczego nie wyjaśnia, a ludzka ułomność może jest w końcu przywilejem...

Życie jest walką: dobra ze złem, Jakuba z Aniołem, światła z ciemnością, prawdy z iluzją prawdy, powtarza poeta za mistrzami. W tej walce jesteśmy zaledwie pionkami: *narodziłem się, umrę, dwa / pojęcia – przeszłe i przyszłe; końce jednego / kija, których nie trzymam*. A przecież istnieje jakieś constans, trwała, niewymienialna na inne wartości zasada wyboru, którą powinniśmy poznać za wszelką cenę. Zasadę tę formuluje poeta w wierszu „bród” zaopatrzonym w motto z „ód Salomonowych”: *tej rzeki nie sposób wyminąć, przecina / każdą drogę. nie da się zwiść płyciz- / nie – bród jest tylko jeden. tylko On / zna przejście*; jeśli więc nawet podejmemy się walki o ostateczne poznanie, ostateczne spełnienie dokona się i tak gdzie indziej, w całkiem innym wymiarze. Poeta znając wagę konkretnu unika rozwiązań abstrakcyjnych, a przecież właśnie konkretny, ów argument sensu stricto w walce z losem, najbardziej narażony jest na zagładę. Obsesyjnie powraca w wierszach Bąka motyw grzechu, śmierci, upadku, a jednocześnie motyw wiary, nadziei i miłości, cnót zdolnych wynagrodzić wszystko oprócz cierpienia. Cierpienie jako egzystencjalny dowód istnienia – cierpię, więc jestem, czytamy między wierszami – zdominowuje tematykę „Świtu”. Cierpienie samotności, cierpienie klęski, cierpienie nierozpoznania, cierpienie życia, cierpienie śmierci, zwłaszcza męczeńskiej: *jak dobrze, że dusza nie świeci; / nad martwym ciałem nie dzwonią dzwoneczki (...)* *gdyby nie to, ustronne lasy / świeciłyby jak lotniska, zaś / nad brzeziną, nad brzegiem rzeki, /*

za murem, obrębem cmentarza /
dzwoneczki dzwoniłyby dzwoniły /
w upiorny redyk. Motyw cierpienia
tropi też Roman Bąk w innych po-
ezjach. Zbiór „Świt” kończy się
cyklem przekładów z Achmatowej,
Brodzkiego, Horacego, Josepha von
Eichendorffa. Wśród nich poraża
tragiczną siłą przesłanie Achmatowej
z poematu „Requiem”:

*Nie, to nie ja, to kto inny cierpi.
Nie mogłabym tak; to, co się stało,
Niech czarne zakryją sukna,
Zabierzcie światło...*
Noc.

„Świt” jest ilustrowany rysunkami
Bogdana Kraśniewskiego, malar-
za, rysownika, rzeźbiarza i organi-
zatora życia kulturalnego z Torunia.
Surowa powaga czarno-białych prac
harmonizuje z metafizyczną głębią
tej poezji, uzupełniając jej muzyczne
wibracje mocnymi rytmami wizual-
nymi.

Adriana Szymańska

MIĘDZY NATURĄ A KULTURĄ

Tadeusz Różewicz
Opowiadania

Wyd. Dolnośląskie,
Wrocław 1994, ss. 760

Wydany właśnie w cieszącej się
dużym powodzeniem Bibliotece
Klasyki Wydawnictwa Dolnośląskie-
go zbiór opowiadań Tadeusza Róże-
wicza zachęca do podsumowań
krytycznych, a może i do pewnej

rewizji poglądów na temat twórczości pisarza. Jak mało która, przechodziła ona w ciągu kilkudziesięciu już lat od swych początków bardzo zmienne koleje recepcji, wzbudzała wiele dyskusji i kontrowersji, była obiektem zarówno najwyższej adoracji, jak i niewybrednych ataków. W końcu Peeteru atakował ją zawzięcie Artur Sandauer, zarzucając Różewiczowi nihilizm i amoralizm; z drugiej strony, czyli kulturalnego podziemia peeterowskiego, Andrzej Werner w esej „Sen o nicości” rozprawiał się z ewidentnym jego zdaniem konserwatyzmem ideowym i indyferentyzmem politycznym autora „Śmierci w starych dekoracjach”.

„Dorośła” krytyka polska nie zaakceptowała jeszcze wiedzy, że zwłaszcza poezja i dramat Różewicza zapewniły sobie trwałą już pozycję w nowoczesnej literaturze europejskiej; o to miejsce zabiega dziś – i chyba z powodzeniem – również proza. „Dorośła” krytyka – o ile mamy prawo jeszcze o takiej w naszym kraju mówić – jakby nie zauważa, że ktoś tam z kolei pokolenie młodych poświęcających się twórczości poetyckiej Polaków w dużej swej części wzoruje się na utworach Różewicza. Mogliby więc krytycy uprawiać na dziele autora wydanych właśnie „Opowiadań” swe harce, gdyby funkcjonował u nas w miarę przyzwoity kanon teoretycznej i historycznej wiedzy o tym pisarstwie, gdyby istniało podstawowe quantum obiektywnych ustaleń, idei i informacji, a nie głównie – wielość rywalizującej z sobą w interpretacjach i rozbieżnej w sądach publicystyki i eseistyki.

Osobiście uważam, że Różewicza nie sposób zaliczyć do współczesnych nihilistów czy amoralistów, tak też nie jest on obsesjonatem tematu wojennego za jakiego się go wciąż uważa. Najnowszy, pełny zbiór opowiadań – aczkolwiek przynosi mnóstwo materiału z czasów okupacji i partyzantki – potwierdza tę opinię. Różewicz jest pisarzem, który na wojnie – osobiście doświadczony, ciężko przeżytej – poznał całą prawdę o człowieku, o naturze ludzkiej, i dla którego prawda ta równoważy wszelkie nauki cywilizacji. Problematyka humanistyczna i etyczna, wydobyta na światło przez wojnę hitlerowską, wcale się dla autora „Opowiadań” z końcem tej wojny nie zamyka. Staje się natomiast podstawą określonej strategii narratora Różewiczowskiego, jak i bazą formułowania nowej, ascetycznej poetyki. Osią owej strategii jest zasadnicza, wyniesiona z totalitarnej wojny wiedza – i pesymistyczna ocena paradygmatu natury ludzkiej: chodzi o to, że natura ta, niedoskonała u swych postaw, pozbawiona jest trwałych „bezpieczników” etycznych; że nie mamy więc gwarancji jej przyszłego rozwoju w stronę dobra; że wystawiona na odpowiednie próby, natura ta skłonna jest ulec największym podłościom, ustąpić wobec najgorszych instynktów.

W jednym z najwcześniejszych swoich opowiadań, pt. „Nowa szkoła filozoficzna”, bardzo ważnym dla całego światobrazu tej twórczości, narrator wylicza cały katalog skaz, spustoszeń duchowych i ujemnych następstw „syndromu wojennego”. Powiada m.in.: *Mylą się ci, którzy*

mówią, że teraz, po wojnie, narosło wiele ciężkich problemów moralnych. Jest tylko życie, a ono nie zna moralności. Po tej wojnie jesteśmy wszyscy podejrzani. Przebieg i charakter rozpętanej przez Hitlera wojny stanowi – zdaniem narratora „Nowej szkoły filozoficznej” – jakby papierek lakmusowy, który wydobył na jawną scenę historii nie dość uświadomioną, spychaną w podświadomość, tę właściwą i stale grożącą katastrofą istotę natury ludzkiej. Wszystkie konstytutywne składniki spajające gmach cywilizacji ludzkiej, wszystkie wydoskonalone hierarchie norm i wartości ujawniły w próbie wojny światowej swą kruchość i niewystarczalność. Potrafiły przecież służyć w równym stopniu potrzebom i interesom katów, i ich ofiar. W związku z tym jednym z fundamentalnych wątków ideowych całej twórczości Różewicza jest poczucie dziejowego posłannictwa, ciężącego na tych, którzy przeżyli: ocaleni muszą mówić, przypominać. Nie tylko dawać świadectwo prawdzie faktów, ale i zabiegać, by prawda ta funkcjonowała jako żywa pamięć w obiegu społecznym, by stanowiła niezbędny „bezpiecznik” moralny wszelkich projektów ducha i czynów ludzkich. Ocaleni, napiętnowani swym udziałem w zbiorowej zbrodni, mają obowiązek i prawo przywoływać innych do porządku elementarnych zasad etycznych.

Niestety narrator Różewiczowski prozy szybko uświadamia sobie, że jest to wołanie na puszczę, szybko ogarnia go gorzyc i poczucie próżności poczyniń owych ocalonych. W takich utworach, jak

„Przerwany egzamin”, „Moja córeczka” i wielu innych pisanych w latach 70. bohater pozostaje samotny i opuszczony ze swymi kompleksami, refleksjami; sam i obcy w rzeczywistości, która spieszy naprzód znowu znanym z niedawnej przeszłości, fatalnym torem. Wszelkie napomnienia, przesłania, słowa prawdy zacierają się na przedprożu pochłoniętej swymi doraźnymi zajęciami współczesnej ludzkiej menażerii, tak bezkompromisowo sportretowanej w „Mojej córeczce”.

Wyrafinowaną grę walczących z sobą w istocie ludzkiej dwóch sprzecznych porządków: natury i kultury, popędów i wyższych racji, poddaje gruntownej analizie narrator jednej z ostatnich jak dotąd wielkich próz Różewicza – „Śmierci w starych dekoracjach”. Bohater utworu, przeciętny obywatel pochodzący z państwa zlokalizowanego w środku Europy, który pod koniec życia wyprawia się w podróż do Włoch, z podobną skrupulatnością i przejęciem odnotowuje swe powszednie marszruty turysty – wypunktowując zwłaszcza detale z zakresu gastronomii – jak rozdziela swe okrzyki zachwytu nad pomnikami i płótnami mistrzów włoskich tudzież rozlicza się ze swych głębokich przeżyć. Ta mikropowieść Różewicza jest skonstruowana na zasadzie już nie monologu, ale wręcz papki myślowej, którą został wykarmiony przez całe swoje ustabilizowane życie drobny urzędnik polski i która teraz, w Rzymie, wylewa się z niego – gęstym strumieniem; taka podróż odblokowuje w psychice pędzącego dotychczas unormowany tryb egzystencji

bohatera różne „zastale” mechanizmy, pokłady podświadomości.

Linia przedziału między naturą i kulturą staje się w tym rozumieniu granicą między poziomem prymitywnego zaspokajania wszelkich potrzeb cielesnych a nadbudową wartości i mechanizmów społecznych uzasadniających ideę człowieczeństwa. Na tym pograniczu sprawuje swą symboliczną straż narrator późnych utworów prozatorskich Różewicza – mający oczywiście w żywej pamięci apokalipsę wojenną. W prezentowanych z upodobaniem na wielu stronach „Śmierci w starych dekoracjach” świątyniach XX w., czyli ekskluzywnych i posiadających regulamin swego *savoir-vivre*’u restauracjach i kawiarniach, odbywa się społecznie usankcjonowany ceremoniał „wielkiego żarcia”. Bodaj żadna z wprowadzanych w krąg widzenia narratora postaci nie wzbudza przy tym ani jego, ani naszego szacunku czy sympatii. Na tle „starych dekoracji” przewija się przed nami korowód maszkar nakręcanych sprężynami instynktów i konwenansów, marionetek ludzkich, których – jak powiada bohater utworu – *całe tabuny pętają się po ulicach wielkich miast, a nawet, że tak trywialnie to wypowiem, zatapiają się pod naszymi drzwiami, dzwonią i proszą o papier toaletowy, którego sami zbyt wiele nie mamy, ale uśmiechamy się uprzejmie*.

Narrator pisanych w latach 60. i 70. opowiadań Różewicza jest szczególnie obserwatorem i komentatorem związanej przez siebie akcji: dociekliwym, do przesady gorliwym w piętnowaniu zła; cechuje go, można rzec, nadwrażliwość moralna.

„Czujnik” uwagi etycznej zapala się w nim natychmiast w momencie wykrywania wszelkich fałszów i zakłamania społecznej świadomości, sztucznych rytuałów pokrywających pustkę i bezprawie, „dekoracji” i atrap zastępujących prawdę.

Sądzę, wracając do uwag zgłoszonych na początku tego omówienia, że tylko ktoś szczególnie głuchy na tego rodzaju poetykę i estetykę albo apriorycznie źle usposobiony do twórczości Różewicza mógł dopatrzeć się w niej amoralizmu czy wręcz posiewu nihilizmu.

Mieczysław Orski

BIERNOŚĆ USA WOBEK SHOAH

David S. Wyman
*Pozostawieni swemu
losowi
Ameryka
wobec Holocaustu
1941–1945*

PIW, Warszawa 1994, ss. 567

Milczenie i bezczynność zachodnich aliantów – USA, Anglii i Kanady – w obliczu stopniowego unicestwiania żydowskiej społeczności Europy okupowanej przez nazizm są nam najogólniej znane. Pełniejszy obraz tej inercji wymaga odpowiedzi na podstawowe pytania: co wiadano? jak wykorzystywano uzyskiwane wiadomości? jakie były postawy społeczeństwa? czy istniały możliwości przeciwdziałania zagładzie?

jak rozkładała się odpowiedzialność?

David S. Wyman – z częściowo szwedzkiej rodziny protestanckiej (ojciec i dziad byli pastorami), profesor historii na uniwersytecie stanu Massachusetts, doradca US Holocaust Memorial Advisory Board – przed 11 laty ogłosił miażdżącą analizę uchybień najważniejszego z trzech wymienionych mocarstw: Stanów Zjednoczonych. Jego dzieło wspiera się na imponującej kwerendzie w 24 archiwach i uwzględnia półtorej setki dzienników oraz czasopism. Mimo że praca jest ogromnie erudycyjna i prawdziwie odkrywczą, dzięki klarowności i wywodów jest też bardzo przystępna. Przetłumaczył ją Wacław Sadkowski.

Pierwsze informacje o zagładzie docierały do prasy anglojęzycznej już jesienią 1941 r. i zwłaszcza w pierwszej połowie 1942 r. Sondaż opinii publicznej wykazywał, że niemal połowa respondentów przyjmowała te doniesienia jako prawdziwe – jednakże nie było ich za wiele i rzadko eksponowano je należycie. Od sierpnia 1942 r. do instancji waszyngtońskich nadsyłano wiarygodne wiadomości o systematycznej już eksterminacji, wszakże dopiero u schyłku tegoż roku oficjalne czynniki świata zachodniego uznały fakt tragedii europejskiego żydostwa.

Administracja amerykańska – z wyjątkiem Departamentu Skarbu – wykazywała skrajną obojętność, a czołowi funkcjonariusze Departamentu Stanu podejmowali działania pozorowane lub wręcz obstrukcyjne. Obawiano się, że Trzecia Rzesza

może oddać w ręce aliantów znaczną liczbę Żydów europejskich, co zmusiłoby W. Brytanię do otwarcia granic Palestyny, a USA (i Kanadę, czego Wyman nie uwzględnił) do przyjmowania uchodźców żydowskich w stopniu naruszającym dotychczasowe proporcje społeczne. Kongres pozostawał otwarcie niechętny wobec przyjmowania Żydów.

Na czele biernych polityków Wyman sytuuje Roosevelta, przemożnie pochłoniętego wirami poczyniń w skali globalnej, lekceważącego akcje pomocowe i właściwie hamującego działalność wymienionej Rady ds. Uchodźców Wojennych. Niewrażliwy na prośby Żydów, rozminął się z wyzwaniem moralnym, jakie był w stanie podjąć.

Nieżydowska opinia publiczna w większości pozostawała obojętna. Wszystkie wysokotąkładowe czasopisma *niemal zignorowały Holocaustu*. Nie inaczej Kościoły: także w większości pozostawały *niemal zupełnie bierne i również w większości nieomal nieme*; wypowiadali się jedynie kwakrzy (o tradycyjnie wysokim stopniu uczulenia na krzywdy) i unitarianie. Kościół katolicki tkwił w bezruchu – tyle że przeciw eksterminacji występowały dwa jego wpływowe tygodniki: jezuicki „America” oraz świecki „Commonweal”. Były oczywiście fakty zasługujące na upamiętnienie: Mercedes Randall opublikowała w 1944 r. broszurę „Głos krwi twego brata”, wzywającą do działania w *jednej z najbardziej palących spraw naszego wieku*; pisarz Max Lerner w popołudniówce „PM” z 22 VII 1943 r. w tekście pt. „No i co z Żydami, FDR?” stwierdzał: *De-*

partment Stanu oraz Downing Street odwracają oczy od tej rzezi – i interpelował prezydenta, który musi objąć przywództwo (...) właśnie nadszedł na to czas; magnat prasowy Hearst w pismach swego koncernu podkreślał dalekowzrocznie: *Pamiętajcie, Amerykanie, to nie jest problem Żydów – to jest problem ogólnoludzki*; niemałą aktywność rozwijał teolog Niebuhr.

Przywódcy amerykańskiego syjonizmu skupili swe wysiłki na walce o przyszłe państwo żydowskie w Palestynie, wobec ograniczoności środków odsuwając sprawę ratowania ofiar nazizmu jako niemożliwą do realizacji. Bardzo niewiele uczynili Żydzi z otoczenia prezydenckiego: nawet tak społecznie uczulony sędzia Sądu Najwyższego Frankfurter w swych działaniach nie uwzględniał ratowania ofiar. Z kolei przeciętny Żyd amerykański – jak wywodził w 1987 r. Elie Wiesel – z braku należytej reakcji wybitnych przywódców własnej wspólnoty wyciągał wniosek o wyolbrzymieniu doniesień z Europy. Zaskakująco wielu Amerykanów ulegało uprzedzeniom antyżydowskim – w 10-lecie poprzedzającym Pearl Harbor propagandą antysemitką zajmowała się ponad 100 organizacji.

Wyman obszernie rozważa – uznawszy je za nieprzekonujące – przyczyny, dla których instancje wojskowe odrzucały w 1944 r. koncepcje zbombardowania Auschwitz. W nurcie jego wywodów Polska – dzięki aktywności rządu na uchodźstwie, staraniom o należyte poinformowanie aliantów oraz wspólnoty żydowskiej, misji Karskiego – wypadła nader pozytywnie.

Sumując – zawiodły trzy siły, które mogłyby pobudzić opinię publiczną do wywierania nacisku na rząd i prezydenta: prasa, Kościoły oraz zorganizowane wspólnoty żydowskie (twierdzi się jednak, że w W. Brytanii znaczna aktywność Kościołów i wspólnot żydowskich nie przyniosła znaczącego rezultatu).

Wyman parokrotnie pisze o waszyngtońskich naleganiach na papieństwo, by potępiło czyny ludobójcze. Przede wszystkim za dwulicowość należy uznać bezczynność Waszyngtonu i jego jednocześnie apele do Stolicy Apostolskiej, by pontifex osadzony w enklawie otoczonej systemem Osi dokonał tego, czego nie zamierzało uczynić najpotężniejsze państwo alianckie. Dalej: papieństwo istotnie milczało zbyt uporczywie, jednakże nie godzi się pomijać płaszczyzny czynów Stolicy Apostolskiej. I tam Wymana – który nie korzystał z 11-tomowej serii papieskiego Sekretariatu Stanu „*Actes et documents du Saint Siège relatifs à la seconde guerre mondiale*” (1965-81) – zawodzi rozeznanie. Gdy pisze, że pod koniec 1944 r. skierowany do Włoch przedstawiciel Międzynarodowego Komitetu ds. Uchodźców wywarł w końcu nacisk na Watykan, by ten spróbował ratować Żydów – to najwyraźniej nie dostrzega, że podobnego nacisku na Stolicę Apostolską nie może wywierać zwykły funkcjonariusz brytyjskiej służby dyplomatycznej; ponadto do akcji na rzecz Żydów papieństwo nie potrzebowało nacisków – oczywiście reagowało na prośby czy supliki. Dla przykładu: po niewiarygodnej podróży transsyberyjskiej 460 polskich rabinów

z miasta Mir na Grodzieńszczyźnie dotarło do Japonii, która osadziła ich w Szanghaju; w 1943 r. papieski sekretarz stanu niejednokrotnie zwracał się do Waszyngtonu, by uzyskać dla nich azyl w USA (udało się to dopiero u schyłku 1945 r.) – zza oceanu odpowiadano, że należy kierować się do rządów angielskiego (?) i... polskiego. Kłopotliwe są liczby: od Pearl Harbor po kres wojny USA przyjęła 21 tys. uchodźców żydowskich, zaledwie – zaznacza Wyman – 10% pułapu przyznanego krajom europejskim poddanym władzy Berlina; z kolei na eksterytorialnych mikroobszarach kościelnych w Rzymie, także w różnych tamtejszych klasztorach i domach katolickich (już nie eksterytorialnych) od zajęcia Wiecznego Miasta przez wojska niemieckie do jego wyzolenia chroniło się 6-7 tys. Żydów: toż to jedna trzecia takiejże pomocy udzielonej na bezkresnych ziemiach USA!

W zakończeniu Wyman hipotetycznie rozważa: *co można było zrobić* (niekiedy, co prawda, przesuwając się ku „myśleniu życzeniowemu”). Wskazuje np., że rząd USA *mógł wyrzucić na Niemcy presję*; gdyby okazała się bezskuteczna, przecież objawiłaby światu, że *Amerika zaangażowana jest w sprawę ratowania Żydów europejskich* – ale wyjaśnia też, iż swym poczynaniom alianci właśnie nie chcieli nadawać charakteru „wojny na rzecz Żydów” (przecież i tak Rooseveltowski Nowy Ład nazywano Żydowskim Ładem, przez grę słów „New Deal” – „Jew Deal”); mogłoby to skądinąd stanowić wodę na młyn propagandy nazistowskiej. Ciekawie kontrastuje

niktość przekazów o zagładzie w programach radiowych z nasileniem na falach eteru relacjonowania przez Niemców wykrycia mordu katyńskiego.

Omawiana tu książka jest doniosła; zaświadcza o rozległym kryzysie amerykańskim wszelkich narodowych autorytetów – politycznych, moralnych, religijnych, intelektualnych, opiniotwórczych... – wobec wyzwania Shoah. Przez skrupulatną i wielokierunkową analizę pozwala domniemywać, że tak uporczywe w USA – po stronie zarówno żydowskiej, jak i nieżydowskiej – aberracyjne doszukiwanie się polskiego współudziału w dokonaniu Shoah (dlaczego nie ratowano? z jakich powodów obozy zagłady sytuowano właśnie na ziemiach polskich?) może najwyraźniej wynikać z chęci osłonięcia zbrukanego sumienia własnego społeczeństwa, w świadomości praktycznie powszechnego milczenia opinii publicznej – i chrześcijańskiej, i żydowskiej, i zapewne również pozareligijnej – najpotężniejszego państwa alianckiego; w poczuciu niewrażliwości administracji waszyngtońskiej na jakiegokolwiek inicjatywy ratowania unieczystwianych.

Dla Wymana Shoah-Holocaust przekracza wymiary doświadczenia żydowskiego i pozostaje *także tragedią dla chrześcijan, dla cywilizacji zachodniej, dla całej ludzkości*. Taki jest podstawowy przekaz jego książki.

Michał Horoszewicz

Giovanni Albanese, *Tak powiedział Jezus*

przet. ks. Marian Bocian MSF
TUM, Wrocław 1994, ss. 309

Rozważania członka włoskiego ruchu misyjnego „Pro Civitate Christiana”, przeznaczone dla ludzi młodych, dręczonych niepokojami i wątpliwościami. Punktem wyjścia każdego rozważania jest fragment Ewangelii.

Józef Augustyn SJ, *Wychowanie do integracji seksualnej*

„M”, Kraków 1994, ss. 317

Książka przybliży progresywną koncepcję seksualności, ukazując ją jako rzeczywistość stworzoną przez Boga, przenikającą wszystkie aspekty życia. Obejmuje m.in. takie tematy, jak rozwój seksualny dziecka, związek seksualności ze światem uczuć, wychowanie do małżeństwa.

Józef Augustyn SJ, Lucyna Słup, *Jak zgadzać się na własne życie*

„M”, Kraków 1995, ss. 101

Książka składa się z dwóch części. W pierwszej ukazano przejawy niezgody na życie i źródła tej postawy. Druga przedstawia proces zgody na życie, będący zawsze zgodą na przyjęcie Bożej miłości.

Maria Chymuk, Janusz Korczak „Dziecko i wychowawca”
WAM, Kraków 1995, ss. 65

Szkic o postaci Korczaka oraz fragmenty jego tekstów.

Z życia Kościoła

1. PAŃSTWO-KOŚCIÓŁ W PROJEKCIE KONSTYTUCJI RP. Biuletyn KAI z 7 lipca opublikował opinię ks. prof. Józefa Krukowskiego, reprezentanta Sekretariatu Episkopatu Polski w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, nt. zapisu relacji między państwem a Kościołem. Zasady te zostały zapisane w art. 16 projektu konstytucji. Wyróżnia się w nim 4 zasady: zasadę równouprawnienia Kościołów i Związków wyznaniowych; zasadę bezstronności władz państwowych wobec przekonań w sprawach religijnych; zasadę poszanowania wzajemnej autonomii i niezależności państwa i Kościoła, każdego w swojej dziedzinie; zasadę współdziałania. Zdaniem ks. Krukowskiego zasada równouprawnienia Kościołów *nie budzi zastrzeżeń, jeśli zostanie należycie zinterpretowana*. Uważa on np., że *nie narusza równouprawnienia Kościołów fakt zawarcia przez państwo umowy międzynarodowej ze Stolicą Apostolską, ponieważ tylko Kościół katolicki – reprezentowany przez Stolicę Apostolską – posiada zdolność zawierania konwencji międzynarodowych (konkordatu)*. Do zaakceptowania przez Kościół jest także zasada mówiąca o autonomii i niezależności państwa oraz Kościołów i Związków wyznaniowych, oraz zasada o współdziałaniu. Z krytyką Episkopatu Polski spotkała się natomiast zasada mówiąca o bezstronności władz państwowych w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych. Zasada bezstronności została zgłoszona w kwietniu br. przez posła T. Mazowieckiego jako przeciwwaga do sformułowań typu: „oddzielenie Kościoła od państwa”, „świeckość państwa”, „neutralność światopoglądowa państwa” – zdecydowanie nie akceptowanych przez stronę kościelną. Episkopat Polski zajmował krytyczne stanowisko wobec tych formuł ze względu na *tragiczne doświadczenia, jakich Kościołowi i ludziom wierzącym wszystkich wyznań dostarczały działania polityczno-prawne tych państw (komunistycznych – „PP”), które do swych konstytucji wpisały już formułę „oddzielenia Kościoła od państwa” lub „świeckości” państwa*. Formuła mówiąca o bezstronności miała na celu kompromisowo zakończyć kontrowersję. Zaraz po jej ogłoszeniu przedstawiciele Kościoła katolickiego zaakceptowali ją. Natomiast w opinii ks. Krukowskiego czytamy: *Formuła bezstronności jest wieloznaczna i tak samo jak formuła neutralności kryje w sobie zagrożenia dla Kościoła i ludzi wierzących*. Jej interpretacja negatywna może oznaczać radykalną prywatyzację religii, czyli

eliminację wszelkich elementów sacrum z życia publicznego. Ks. Krukowski krytycznie ustosunkował się także do braku preambuły w przyszłej konstytucji RP. Brak preambuły i wskazania w niej podstawowych wartości religijno-moralnych, które w tysiącletnich dziejach narodu spełniały rolę integrującą i inspirującą społeczeństwo w dążeniu do niepodległości politycznej i sprawiedliwości społecznej, oraz brak odwagi autorów do odcięcia się od ateistycznej ideologii totalitarnej stwarzają podstawę do zarzutu nihilizmu aksjologicznego – stwierdza autor opinii. Celem tej analizy, jak podkreśla jej autor, jest taka konstrukcja relacji państwo-Kościół, z której byłyby wyłączone skrajne rozwiązania modelowe. Pierwszym z nich jest wyłączenie elementów państwa wyznaniowego katolickiego (...) Drugim zaś wyłączenie elementów państwa skrajnie świeckiego, zmierzającego do prywatyzacji religii.

2. PATRIARCHA BARTŁOMEJ I W WATYKANIE. W dniach 27-29 czerwca br. z oficjalną wizytą w Watykanie przebywał zwierzchnik prawosławia patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I. Wizyty tego typu mają duże znaczenie ekumeniczne. Po prawie tysiącleciu izolacji i polemik papież Jan XXIII i patriarcha Athenagoras zapoczątkowali nowy klimat relacji między Kościołem katolickim i prawosławnym. Punktem kulminacyjnym obecnej wizyty była odprawiona przez Jana Pawła II 29 czerwca msza św., podczas której homilie wygłosili zwierzchnik prawosławia i papież. Poruszono w nich kwestię prymatu papieża oraz teologiczny problem tradycyjnej doktryny Filioque. Patriarcha Konstantynopola nawiązał do tego, co dzieli katolików i prawosławnych. *Pragniemy uroczyście ogłosić całemu chrześcijańskiemu światu, szczerze i z bojaźnią Bożą, nasze przekonanie o potrzebie samokrytyki i nieustannej skruchy – powiedział Bartłomiej I. Ta samokrytyka – wyjaśnił – nie ma polegać na dociekaniu, kto zgrzeszył pierwszy i ciężej, gdyż sprawą zasadniczej wagi jest to, jak służąc bliźniemu możemy go zbawić i jak tylko wraz z nim i poprzez niego staniemy się godni zbawienia.* Mówiąc o kontrowersyjnym dla prawosławia problemie prymatu papieża stwierdził, że chodzi tu nie o prymat między osobami, lecz o prymat między tymi, których misją jest służyć. Zaproponował prymat na sposób kenotyczny, który dla papieża oznacza wyzwolenie się z władzy, aby wziąć na siebie ciężar bliźnich ponieważ *wówczas osiągniemy jedność wiary tak bardzo upragnioną.* Także Ojciec Święty w swojej homilii powiedział, że prawdziwy sens autorytetu i władzy apostołskiej w Kościele jest zawarty w słowie „służba”. Poruszył również problem Filioque, które

w katolickim Credo jest tłumaczone jako wiara w Jezusa złączonego z Ojcem w darze Ducha Świętego. Jan Paweł II powiedział: *Istnieje ze strony katolickiej zdecydowane pragnienie wyjaśnienia tradycyjnej doktryny Filioque zawartej w łacińskiej wersji Credo, aby ukazać całkowitą zgodność z tym, co wyznaje ekumeniczny sobór w swoim symbolu: Ojciec, jako źródło całej Trójcy, jest jedynym początkiem Syna i Ducha Świętego*. Po obu homiliach papież i patriarcha odmówili razem, w języku greckim, wyznanie wiary według Credo nicejskiego na sposób Kościołów bizantyjskich. Na zakończenie wizyty wydano wspólne oświadczenie, w którym obydwaj zwierzchnicy wzywają wszystkich wiernych, katolików i prawosławnych, do pojednania i współpracy w perspektywie Jubileuszu Roku 2000.

Podczas gdy zdaniem Bartłomieja I *jedność chrześcijan nie jest już wizją odległą i nieosiągalną*, jego wizyta w Watykanie została skrytykowana przez metropolitę zagrzebsko-lubaskiego serbskiego Kościoła prawosławnego, a apb Mikołaj, zwierzchnik rosyjskiego Kościoła prawosławnego w Słowacji, nie przyjął zaproszenia papieża na spotkanie ekumeniczne podczas jego wizyty w Bratysławie.

3. EKUMENICZNY ASPEKT PAPIESKIEJ WIZYTY W SŁOWACJI. W niedzielę rano, 2 lipca, przed rozpoczęciem uroczystej mszy św. kanonicznej trzech jezuitów zamordowanych w 1616 r. za to, że nie chcieli się wyrzec wiary katolickiej i przyjąć też Lutra, Jan Paweł II złożył hołd 24 protestantom, ofiarom tzw. jatek preszowskich, którzy w czasach kontrreformacji zostali skazani przez katolickiego generała i straceni. Podczas mszy św. papież wyraził *uznanie Kościoła katolickiego wobec wszystkich świadków wiary prawosławnej i protestanckiej, którzy w czasie wojen religijnych cierpieli tortury i śmierć ze względu na wierność przekonaniom i sumieniu. Jak nie uznać wielkości 24 wierzących ewangelików zabitych w Preszowie?* – pytał papież.

4. LIST PAPIEŻA DO KOBIET. W związku z IV Światową Konferencją ONZ poświęconą kobiecie Jan Paweł II napisał list do *kobiet całego świata*. Na początku papież składa podziękowanie Bogu oraz kobietom za dobro, które przez nie było i jest realizowane. Część ta kończy się słowami: *Dziękuję ci, kobieto, za to, że jesteś kobietą! Zdolnością postrzegania cechującą twą kobiecość wzbogacasz właściwe zrozumienie świata i dajesz wkład w pełną prawdę o związkach między ludźmi*. Następnie papież stwierdza, że *jesteśmy, niestety, spadkobiercami dziejów pełnych uwarunkowań, które we wszystkich*

czasach i na każdej szerokości geograficznej utrudniały życiową drogę kobiety. Ojciec Święty przyznaje, że obiektywną odpowiedzialność ponieśli również liczni synowie Kościoła. W dalszej części listu papież wskazuje na przeszkody, które nadal nie pozwalają kobietom włączyć się w pełni w życie społeczne, polityczne i gospodarcze. Na pierwszym miejscu mówi on o trudnej sytuacji, w jakiej często stawia kobiety dar macierzyństwa. Rzeczywista równość praw to, zdaniem Ojca Świętego, równa płaca za tę samą pracę, opieka nad pracującą matką, możliwość awansu zawodowego, równość małżonków z punktu widzenia prawa rodzinnego. *Polityka przyszłości* – stwierdza Jan Paweł II – będzie wymagała, aby kobieta coraz bardziej uczestniczyła w rozwiązywaniu głównych problemów, takich jak: czas wolny, jakość życia, migracje, usługi socjalne, eutanazja, narkotyki, służba zdrowia i opieka zdrowotna, ekologia itd. Papież zachęca do demaskowania i przeciwstawiania się rozpowszechniającej się kulturze hedonistycznej i komercyjnej, która skłania (kobiety – „PP”) do nadużyć w dziedzinie seksualnej. Komentując pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju papież mówi o wzajemności i komplementarności mężczyzny i kobiety w rozwoju społeczeństwa, szczególnie w wymiarze społeczno-etycznym, nazywając to *geniuszem kobiety*. Ojciec Święty porusza także dyskutowaną kwestię udzielania święceń kapłańskich kobietom. Faktem, że Chrystus wybrał do kapłaństwa służebnego samych mężczyzn, nie należy interpretować jako umniejszenia roli kobiet. To zróżnicowanie należy interpretować w świetle ekonomii sakramentalnej, tzn. ekonomii „znaków”, które Bóg wybrał w sposób wolny, aby ukazać swą obecność wśród ludzi. Na zakończenie Jan Paweł II wyraża życzenie, aby najbliższa konferencja w Pekinie, ukazała pełną prawdę o kobiecie.

Komentując projekt dokumentu przygotowanego na tę konferencję, dyrektorka amerykańskiego Niezależnego Forum Kobiet, Barbara Ledcen, podkreśliła, że dokument inspirowany jest skrajnie radykalnymi teoriami feministycznymi, nawiązującymi do minionych czasów marksistowskich i jest bezpośrednim atakiem na tradycyjne wartości rodziny, małżeństwa i kobiecości. Zwraca uwagę, że w dokumencie praktycznie nie występuje słowo „płeć”, zastąpione występującym 200 razy słowem „rodzaj”. Brak też takich słów, jak „mąż”, „żona”, „ojciec”, „matka”. Mówiąc natomiast o płci, dokument stwierdza: *Istnieją nie dwie, ale pięć płci: kobiety heteroseksualne, lesbijki, mężczyźni heteroseksualni, homoseksualiści i biseksualiści.*

oprac. Z.K.